www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 52 (1042)
23-29.12.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

Numer świąteczny

JERZY M. NOWAK
Trzech wichrzycieli w NATO

MACIEJ STUHR
Aktor nie musi być inteligentny

SPÓR O KOLEJKĘ W JEROZOLIMIE

200 tysiącom Polaków przywrócił słuch

Marzyciel

Prof. Henryk Skarżyński

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 52 >
9 771509 311904

e-prasa.pl 6124944035

sklep.mleczko.pl

Andrzej Mleczko

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

WARSZAWA ul. Marszałkowska 140 tel: 795 029 829 **KRAKÓW** ul. św. Jana 14 tel: 12 421 71 04 www.mleczko.pl

eprasa.pl 6f24944d35

CYTATY

MAREK BOROWSKI, senator
Jak słucham Andrzeja Dudy, to najgorsze słowa przychodzą mi na myśl.
wiadomo.co

PROF. TADEUSZ GADACZ, filozof
Rozsądek i zaufanie. Stare słowa, które musimy przywrócić.
„Charaktery"

MIKOŁAJ LEWICKI, socjolog
Media publiczne są powszechnie traktowane jako tania propaganda.
„Tygodnik Powszechny"

ANNA DYMNA, aktorka
Przed wyjściem na scenę stoję za kulisami i cała się trzęsę, mam okropną tremę.
„Pani"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Lewico, nie leń się

Chciałbym wreszcie napisać o polskich politykach coś optymistycznego. Są wśród nich przecież ludzie mądrzy i ideowi. Niestety, w mniejszości. Co gorsza, ulegają oni wpływom zdeprawowanej machiny władzy. Rok się kończy właśnie takim przygnębiającym widokiem. 30 posłów opozycji nie dotarło na głosowanie w sprawie zmian w sądownictwie. Była wśród nich dwunastka z lewicy. Przykra to niespodzianka. Minęło zaledwie kilka miesięcy od kampanii wyborczej. Obiecywali nam nową jakość, ciężką pracę i służbę państwu. Zaufano im. Zostali wybrani. I co? Po paru tygodniach nie przyszli do pracy. Potraktowali wyborców jak ciemną masę, która już swoje zrobiła. Bardzo się mylą. Na zaufanie pracuje się długo, ale traci się je jednym głupim ruchem. Miałem naiwną – jak się okazuje – nadzieję, że nowy zaciąg lewicowy wykaże się choć pracowitością. Można wybaczyć to, że skromną wiedzę nadrabia się zaangażowaniem, a niezborność myśli ideowością. Ale lenistwo? Dla parlamentarzysty Sejm to zakład pracy.

Naszym Czytelnikom i Przyjaciołom życzymy Świąt bez sporów i narzekania. I jak najwięcej czasu dla siebie i bliskich.
Zespół „PRZEGLĄDU"

Wstyd, że trzeba o tym przypominać. Czy politycy bumelanci wyobrażają sobie lekarza, który nie przychodzi na operację? Policjanta, który nie melduje się na komisariacie? A może sędziego, na którego czekają obwinieni? Dziecinada.

À propos debaty nad stanem polskiego sądownictwa, gdyby wśród 10 tys. polskich sędziów było tyle kadrowych nieporozumień, ile jest w Sejmie i Senacie, to na wyroki czekalibyśmy jeszcze dłużej niż teraz. A procesy byłyby większą loterią niż totolotek.

Ryba psuje się od głowy, a nasze państwo od góry. Od prezydenta, którego wstydzi się większość Polaków. Od parlamentu, który robi wszystko, by nie zasługiwać na szacunek. I od partii, które obsadzają miernymi kadrami wszystkie stanowiska, jakie wpadną im w łapy. Symbolem tego zepsucia, które dotarło na samą górę władzy, jest Marian Banaś, pisowski nominat w NIK.

Takie mamy czasy, że w największej cenie jest spokój. Życzę więc serdecznie naszym Czytelnikom spokojnych Świąt.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 6f24944d35

W NUMERZE

SYLWETKI

8 **Lekarz, który przywraca słuch**
– rozmowa z prof. Henrykiem Skarżyńskim

12 **Marzenia się spełniają**
Profesor wystawia musical

14 **Przypadki Andrzeja Werblana**
W 95. rocznicę urodzin

KRAJ

18 **Pomaganie mają we krwi**
Bydgoscy uczniowie remontują mieszkania ubogim

22 **W NATO mamy trzech wichrzycieli**
– rozmowa z Jerzym M. Nowakiem

ZAGRANICA

26 **Na Górę Oliwną jak na Kasprowy**
Spór o kolejkę linową w Jerozolimie

44 **Światu potrzeba więcej Kanady**
Korespondencja z Toronto

46 **Jak oni jedzą**
Kulinarna wycieczka po Europie

HISTORIA

28 **Mosty szpiegów**
Słynne wymiany schwytanych agentów

KULTURA

32 **Aktor nie musi być inteligentny**
– rozmowa z Maciejem Stuhrem

38 **Halka podbiła Wiedeń**
Beczała promuje Moniuszkę

40 **Qulturalia**

66 **Jasiński & Friends**

NAUKA

42 **Dobry czas dla czarnych dziur**
– rozmowa z prof. Krzysztofem Belczyńskim

OBSERVACJE

50 **Naród kanapowców**
Polacy nie lubią się ruszać

54 **Luksus dobrego opakowania**
Ile warta jest torebka po torebce

56 **Konno po krewetki**
Połowy na liście niematerialnego dziedzictwa UNESCO

58 **Nietypowy odpoczynek**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Lewico, nie leń się

21 **Jan Widacki**
Pisowska reforma sądownictwa

25 **Roman Kurkiewicz**
Na pohybel sowie Minerwy

31 **Tomasz Jastrun**
Tak nam dopomóż Bóg

37 **Ludwik Stomma**
Nie boję się Wigilii

39 **Wojciech Kuczok**
Mogą być skarpetki

53 **Edward Mikołajczyk**
Całkowicie nowiuśki kandydat

HALKA PODBIŁA WIEDEŃ
Beczała promuje Moniuszkę

38
KULTURA

46
ZAGRANICA

JAK ONI JEDZĄ
Kulinarna wycieczka po Europie

KONNO PO KREWETKI
Połowy na liście niematerialnego dziedzictwa UNESCO

56
OBSERWACJE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f24944d35

NASTĘPNY NUMER 30 STYCZNIA

W górę, w dół – polityczny ranking Roberta Walenciaka

Naukowe odkrycia Polaków w 2019 roku

Co pili pisarze i ich bohaterowie

Czym pracodawcy kuszą kandydatów

Syberyjska Wigilia

Mija 78 lat od mojej pierwszej Wigilii na zesłaniu. Wraz z siostrami zostałam wywieziona 10 lutego 1940 r. w głąb Związku Radzieckiego i tam zatrudniona w kopalni rudy miedzi. Nie opisuję dzisiaj mojego życia na tej nieludzkiej ziemi, chcę tylko przedstawić Wigilię w roku 1941. Choinkę przyniosłyśmy z tajgi, do której miałyśmy bardzo blisko. Przez dwa dni przed Wigilią nie jadłyśmy chleba, aby zaoszczędzić go na ubranie drzewka. W wieczór wigilijny przyszedł do nas konspiracyjnie młody Estończyk, jeden z kilku tysięcy jego rodaków przetrzymywanych w obozie w tajdze. Razem zaczęliśmy śpiewać kolędę „Cicha noc", ale kolędowanie było krótkie. Zostało przerwane naszym płaczem.

Ada Żurawska, Kraków

Co wyróżnia PRZEGLĄD wśród tygodników opinii?

Poziom.

Ewa Gojawiczyńska

•

Zawsze ciekawy, zawsze porusza sprawy aktualne. Punkt widzenia ludzi pracy najemnej o sercu po lewej stronie. Jedyny, który czyta się „od deski do deski".

Tadeusz Kalinowski

•

Dobry język.

Ryszard Matura

•

Że jakoś nie potrafię przestać go czytać...

Piotr Płaksin

•

PRZEGLĄD jest po prostu porządny. W tym starym rozumieniu tego słowa.

Krzysztof Ratajek

•

Lewicowy punkt widzenia, brak nachalnych reklam (reklamy w PRZEGLĄDZIE dotyczą głównie książek, filmów czy wydarzeń kulturalnych, a nie drogich zegarków, garniturów czy samochodów, jak w niektórych tygodnikach), przyjmowanie (i często publikowanie) krytyki czytelników, pole do wyrażania różnicy zdań (również między autorami), poruszanie tematów nieobecnych w mediach głównego nurtu, odkłamywanie historii, niezależność od partii politycznych i innych grup interesów.

Michał Siemiński

•

Nie zawsze się zgadzam z poglądami wyrażanymi w PRZEGLĄDZIE, ale to ciekawa gazeta i odmienne spojrzenie na historię. Brak propagandy i ideologii w odróżnieniu od sprzyjających rządowi czasopism. Myślę, że nawet konserwatysta (prawdziwy, a nie pisowiec) może go czytać z ciekawością.

Emil Sulwiński

PYTANIE TYGODNIA Co wyróżnia PRZEGLĄD wśród tygodników opinii?

•

To proste, PRZEGLĄD jest obecnie jedynym tygodnikiem opinii dla lewicowej inteligencji i wszystkich osób o postępowych poglądach. Jako że jestem historykiem, szczególnie cenię Was za podejmowanie tematów praktycznie wyeliminowanych z dyskusji historycznych.

Bogumił Woźniakowski

•

Najlepszy polski tygodnik. Mądre artykuły, świetne wywiady, subtelna refleksja. Dawno temu takim tygodnikiem była „Polityka", ale teraz jej redakcji się wydaje, że wszyscy w Polsce żyją tak, jak w pięknych dzielnicach Warszawy. Sto lat!

Magdalena Marieke

ZDJĘCIE TYGODNIA

Tegoroczny 77. Konkurs Szopek Krakowskich pod pomnikiem Adama Mickiewicza na Rynku Głównym zgromadził tłumy. Kwota przeznaczona na nagrody wyniosła prawie 130 tys. zł.

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl 6f24944d35

630 tys. rodzin w Polsce wychowuje troje i więcej dzieci.

Andrzej Skworz i zespół magazynu „Press", mimo kłopotów po spaleniu się siedziby redakcji sprawnie **przeprowadzili Grand Press 2019. Ciągle utrzymują wysoki poziom oraz obiektywizm publikacji.**

Sędzia Joanna Panasiuk z Sądu Rejonowego w Bielsku Podlaskim (Zamiejscowy Wydział Karny w Hajnówce) uniewinniła siedmioro obwinionych o blokowanie w Hajnówce marszu narodowców czczących pamięć Romualda Rajsa „Burego". **Sędzia uznała, że marsz miał charakter prowokacyjny,** jątrzący, szczególnie w miejscu, gdzie mieszkają rodziny ofiar.

Agnieszka Wolny-Hamkało, poetka, pisarka i nasza felietonistka, **napisała powieść „Lato Adeli", która została uznana za książkę Roku 2019 w konkursie Polskiej Sekcji IBBY** (Międzynarodowej Izby ds. Książek dla Młodych).

Piotr Stolarczyk, autor pracy „Mit generała Karola Świerczewskiego w polityce historycznej PRL" (Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW), **otrzymał Nagrodę im. Mieczysława F. Rakowskiego za najlepszą pracę magisterską o PRL.**

Roman Gutek obchodzi 25-lecie Gutek Film. Wprowadził do kin ponad 400 filmów, które obejrzało 15 mln widzów. Zorganizował m.in. Festiwal Nowe Horyzonty.

Ok. 700 tys. Polaków cierpi na chorobę alkoholową, a 3 mln pije nadmiernie. Corocznie z tego powodu umiera 12 tys. osób.

Anna Zalewska, była minister edukacji, europosłanka PiS, blisko **współpracowała z Jerzym G.,** byłym radnym PiS, i **Piotrem B.**, byłym posłem PiS z Wrocławia, oskarżonymi o **okradanie PCK na Dolnym Śląsku i sponsorowanie z tych pieniędzy jej kampanii wyborczej.**

Przez 243,7 mln dni Polacy przebywali na zwolnieniach lekarskich w 2018 r. Zwolnienia wystawiono dla 6,7 mln osób, które skorzystały z nich przynajmniej raz. **Przeciętna długość zwolnienia lekarskiego wynosiła 12,2 dnia.**

Mariusz Szpikowski, prezes Państwowych Portów Lotniczych, prezentuje wyjątkowy, nawet jak na obyczaje PiS, stosunek do załogi. 90% załogi dostało wypowiedzenia zmieniające warunki zatrudnienia. **Zwalnia fachowców i paraliżuje pracę lotniska na Okęciu.**

Jacek Kurski, prezes TVP, która stała się organem medialnym PiS, może liczyć na wsparcie władzy. **W przyszłym roku media publiczne mają dostać z budżetu 1,95 mld zł.**

Tylko 12 kg ryb zjada w ciągu roku przeciętny Polak.

PRZEBŁYSKI

Skurkiewicz pogromca

Nazywa się Skurkiewicz. Partyjni koledzy opisują go krótko: Wojciech Skurkiewicz to miedziane czółko. Ale przecież nie dlatego partia go trzyma. Atutem Skurkiewicza jest gorliwość w wykonywaniu najgłupszych poleceń. A jedyny problem, jaki z nim mają w PiS, to skromna lotność. Radzą więc sobie tak, że mówią do Skurkiewicza powoli. I powtarzają polecenia tak długo, aż pojmie, o co chodzi. Opłaca się. Bo tylko tak ponura postać jak Skurkiewicz może zaproponować usunięcie z wojska legendarnych patronów, takich jak gen. broni Józef Kuropieska czy gen. dyw. Edwin Rozłubirski. Legendarnych, bo niezwykle odważnych żołnierzy. Bohaterów z krwi i kości. Na wieki. Także wtedy, gdy przeminą rządy obecnych darmozjadów.

Szwagrzyk, wielbiciel „Hubala"

Podejrzewanie o logiczne myślenie ludzi żyjących na koszt podatników, z coraz większych dotacji do osławionego IPN, jest w gruncie rzeczy nielogiczne. Świeżutki dowód to niezborność myśli Krzysztofa Szwagrzyka, wiceprezesa IPN. Prezes, apologeta „Ognia", „Burego" i „Łupaszki", boleje nad kiepskim poziomem filmów o „wyklętych". I pyta, jak to jest możliwe, że w **1973 r.** mógł powstać taki film jak „Hubal". Oglądał go kilkanaście razy i ciągle chce do niego wracać. Szwagrzyk pyta, a my odpowiadamy. Powodów tego, że „Hubal" jest świetny, a filmy o „wyklętych" kompromitująco słabe, jest kilka. Po pierwsze – musi być prawdziwy bohater, taki jak „Hubal", a nie mordercy kobiet i dzieci. Po drugie – potrzebny jest utalentowany reżyser, taki jak Poręba. Po trzecie – musi być mądrzejsza władza. Nie może się składać z tak wielu skretyniałych ideologów jak dziś.

Dolarowe eldorado

Jadą, ciągle jadą. Za wielką wodę. Na seminaria, zloty, zjazdy i co tam jeszcze wymyślą. Kilka razy w roku jeżdżą do USA Antoni Macierewicz i Tomasz Sakiewicz z ekipą „Gazety Polskiej" i jej klubów. Dziesiątki misiów podczepionych pod dojną zmianę lata do USA i Kanady kilka razy w roku. Płacą państwo polskie i gospodarze. A bilans dla wycieczkowiczów zawsze jest na plusie. Z pustymi rękami nie wracają, boby tak często nie fruwali. Polonusi ciągle mają taki nawyk, że wrzucają do kapelusza po parę dolarów. Na walkę o wolną ojczyznę. Nie słyszeliśmy, by ktoś się z tego rozliczył. Albo wspomógł tych prawicowych dziennikarzy, którzy są na śmieciówkach.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 6f24944d35

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak świętować, nie szkodząc środowisku?

KAROLINA BARANOWSKA,
Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła"

Najważniejsze to nie zatracać się w stwarzanej już na długo przed świętami atmosferze konsumpcyjnej gorączki. Spokojnie wszystko zaplanujmy i kupmy tylko tyle, ile naprawdę potrzebujemy. Warto rozważyć możliwość podarowania bliskim własnoręcznie zrobionych lub niematerialnych prezentów, takich jak bilet do teatru czy zestaw kuponów na wspólne wykonywanie ulubionych czynności. Prezenty najlepiej położyć pod samodzielnie zrobioną, ekologiczną choinką – mnóstwo inspiracji można znaleźć w internecie. Jeśli jednak chcemy mieć w domu żywe drzewko, wybierzmy wyhodowane w doniczce, z zachowaną bryłą korzeniową, aby po świętach można było je posadzić na zewnątrz. Gdy nie wyobrażamy sobie świąt bez karpia, nie kupujmy żywej ryby – szamoczące się w foliówkach stworzenia umierają w męczarniach. A może zamiast karpia przygotować tofu po grecku lub selerybę?

MARIA HUMA,
Fundacja Kupuj Odpowiedzialnie

Przede wszystkim nie ulegajmy szałowi nadkonsumpcji i kupujmy na prezenty wyłącznie to, czego dana osoba naprawdę potrzebuje. Przygotowując jedzenie, bierzmy pod uwagę, ile naprawdę jest nam potrzebne, a jeśli i tak okaże się go za dużo – podzielmy się z sąsiadami, przekażmy je na akcję na rzecz potrzebujących lub do tzw. jadłodzielni. Jedna z ogólnych zasad proekologicznego zachowania, odnosząca się także m.in. do prezentów i sposobu ich pakowania, mówi: korzystajmy z tego, co już mamy w domu, zamiast kupować nowe. Warto rozważyć zakup prezentów z drugiej ręki, czemu sprzyja moda na produkty *vintage*. Moją ostatnią radą jest zwracanie uwagi na oznakowania na opakowaniach. Na przykład kupując żywność ekologiczną, ograniczamy zużycie środków ochrony roślin, szkodliwych dla środowiska, a wręczając komuś czekoladki czy kawę z certyfikatem Fairtrade – mamy pewność, że wspieramy zrównoważony rozwój społeczności lokalnych.

ASJA MICHNICKA,
blogerka (Mama na roślinach)

Bliska jest mi idea #lesswaste, czyli ograniczania tych szkód na tyle, na ile damy radę w tym momencie. Mamy do wyboru wiele rozwiązań: od recyklingowego pakowania prezentów, przez świadome obdarowywanie bliskich, do refleksji na temat tego, co się znajdzie na świątecznym stole. Ograniczenie stosowania plastikowych opakowań, robienie zakupów z listą naprawdę potrzebnych produktów, zamiana kupnych prezentów na wspólny czas – dzięki temu nasze świętowanie może być przyjaźniejsze dla planety. Święta to też walka o dobrostan karpi. Z roku na rok, dzięki reakcjom konsumentek i konsumentów, sytuacja zmienia się na lepsze i coraz więcej sklepów podchodzi do sprzedaży tych ryb bardziej humanitarnie.

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Wypożyczać drzewka, a jeśli stosować oświetlenie, to energooszczędne, ledowe. Całkowicie zakazać wszelkich fajerwerków. Zrezygnować z plastiku.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 6f24944d35

Lekarz, który przywraca słuch

U mnie nie ma takiej sytuacji, że coś jest niemożliwe. Jest tylko pytanie, jak to zrobić

Rozmawia Barbara Jagas

PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI

– dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, Światowego Centrum Słuchu

Gratuluję musicalu „Przerwana cisza", do którego napisał pan libretto, a który dopiero co był wystawiany w Basenie Artystycznym Warszawskiej Opery Kameralnej. Kiedy narodził się w panu artysta?

– Pierwszą sztukę napisałem w liceum. Przymierzaliśmy się, aby ją zagrać, ale treść była kontrowersyjna, bo dotyczyła koleżanki, która zaszła w ciążę. W IV klasie stworzyliśmy zespół, z którym mieliśmy wystąpić na studniówce, jednak skończyło się na tym, że zrobiliśmy gitary, bo na resztę zabrakło czasu.

Potrafi pan zrobić gitarę?

– Kupiłem po prostu schemat robienia gitary i postępując zgodnie z instrukcją, poradziłem sobie. Potem podłączyłem ją do radia Tesla, które miało również gramofon. Radio służyło za wzmacniacz i już można było na niej grać.

Co było dalej? Nie chciał pan zostać muzykiem i poetą?

– Niestety, przyszła proza studiów na medycynie. Bo postanowiłem zostać lekarzem. Na inne zainteresowania już nie miałem czasu. Trochę działałem w klubie Medyk, gdzie organizowaliśmy spotkania poświęcone np. Krzysztofowi Komedzie, „Muzyka pozostała". Wtedy dowiedziałem się, że był on także otolaryngologiem. A do zainteresowań artystycznych wróciłem dopiero po latach – dzięki implantowanym pacjentom. Miała w tym ogromny udział Małgosia Strycharz-Dudziak – jedna z pierwszych pacjentek, piękna dziewczynka, która wcześniej chodziła do szkoły muzycznej i nagle ogłuchła. Po operacji odzyskała słuch i kiedy w 1994 r. organizowaliśmy drugą międzynarodową konferencję poświęconą implantom ślimakowym w leczeniu głuchoty, Małgosia ją otwierała, grając na fortepianie utwory Chopina.

Niesamowite!

– Tak, cała sala płakała ze wzruszenia, łącznie ze mną i ówczesnym ministrem zdrowia prof. Jackiem Żochowskim. Napisałem dla Małgosi wiersz „Zaczarowany fortepian", który przedstawia jej losy i został wykorzystany w musicalu „Przerwana cisza". Muszę powiedzieć, że gdy zobaczyłem to na scenie, znowu się wzruszyłem, bo stanęła mi przed oczami tamta mała Małgosia...

...która dalej gra?

– Tak, została laureatką międzynarodowego festiwalu muzycznego Ślimakowe Rytmy, a także festiwali muzycznych w Europie. A potem poszła na studia, została lekarzem, następnie pracownikiem naukowym. Jest doktorem nauk medycznych na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie. Ale podtrzymuje zainteresowania muzyczne, zagrała ostatnio z Januszem Olejniczakiem na cztery ręce w czwartej edycji Ślimakowych Rytmów.

To festiwal dla osób, które odzyskały słuch dzięki operacji wszczepienia implantu ślimakowego.

– W tych koncertach, organizowanych w Warszawie, biorą udział dzieci, młodzież i dorośli ze wszystkich kontynentów, grają na wszystkich instrumentach – muzykę ludową i klasyczną, a także śpiewają. Po pierwszym finale w 2015 r. byłem tak wzruszony, że zacząłem pisać scenariusz do filmu. Dziś jest już gotowy.

O czym będzie ten film?

– Będzie pokazywał działalność Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach, moje operacje w różnych miejscach na świecie, pracę kolegów naukowców z innych krajów oraz życie i kariery zawodowe i artystyczne moich pacjentów. Chodziło mi o pokazanie, że problem głuchoty występuje pod każdą szerokością geograficzną. Fabuła opiera się na prawdziwych życiorysach.

Dopiero widzieliśmy musical, a pan ma już w zanadrzu film?

– Ten scenariusz napisałem wcześniej, ale jeden z autorytetów w dziedzinie kultury zapytał, czy widziałbym możliwość pokazania osiągnięć naszego instytutu w związku

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f24944d35

ze 100-leciem niepodległości Polski. Opowiedziałem wtedy o filmie. A on na to, że „tego się szybko nie da zrobić". Wtedy pomyślałem, że można zrobić musical, bo już napisałem do niego wiersze. Wystarczy skomponować muzykę.

Wiersze?

– Piszę je od lat. Dla pacjentów i nie tylko. Natomiast muzycznie z pomocą przyszedł mi prof. Krzesimir Dębski, z którym wcześniej współpracowałem przy Ślimakowych Rytmach. Ale miałem kłopot ze znalezieniem reżysera, ponieważ postawiłem warunek, że w spektaklu będą grali moi pacjenci. Mówiono mi, że pacjenta można zagrać i lepiej to zrobią profesjonalni aktorzy. W końcu porozumiałem się z Michałem Znanieckim, który zgodził się na takie warunki, ale po otwartych castingach, z równymi prawami dla wszystkich. Wtedy już rozmawialiśmy na terenie Warszawskiej Opery Kameralnej, której dyrekcja zaufała nam, że to będzie światowy przebój – i jest.

Dlaczego panu tak bardzo na tym zależało?

– Bo takie osoby wniosły ducha autentyczności do musicalu. Poza tym mogły rozwinąć się artystycznie i być przykładem dla innych pacjentów, którzy – zwłaszcza z częściową głuchotą – zwlekają z podjęciem decyzji o operacji. Wielu moich pacjentów ma zainteresowania muzyczne i czeka na występ w kolejnych edycjach Ślimakowych Rytmów. Chciałem wszystkim, głównie dzieciakom, dodać skrzydeł.

Postawiłem warunek, że w musicalu „Przerwana cisza" będą grali moi pacjenci. Oni wnieśli do tego spektaklu autentyczność.

Jak pan godzi to wszystko, te różne rodzaje działalności?

– Lubię pracę, lubię być aktywny. Im więcej mam zajęć, tym lepiej są poukładane. Jednocześnie jedna praca jest odpoczynkiem od drugiej. Kiedyś siedziałem na bloku operacyjnym codziennie, od rana do nocy, wykonując po kilkadziesiąt operacji, bo odbywały się na kilku salach równocześnie, byłem jedynym operatorem. Wtedy też sprawy organizacyjne, bo Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu dopiero powstawał, dawały mi oddech. Z kolei operacje dawały odpoczynek od pracy związanej z organizowaniem ośrodka.

Pisze pan poezję w chwilach wolnych.

– Piszę wiersze na różne okazje. Także wszystkie święta zawsze są opatrzone moim komentarzem w postaci wiersza, adresowanego do współpracowników, w którym przemycam uwagi, pochwały, oceny sytuacji. I wiem, że oni na to czekają.

Problem głuchoty występuje pod każdą szerokością geograficzną.

Jest pan oryginalnym dyrektorem.

– Wie pani, że tutaj, w instytucie, nie funkcjonuje takie pojęcie jak dyrektor Skarżyński.

Jak to?

– Jestem od 25 lat profesorem tytularnym. I takiego wszyscy mnie znają. Nikt nie musi do mnie mówić panie dyrektorze, bo i po co. Gdyby tym instytutem kierował tylko dyrektor, naszego Światowego Centrum Słuchu by nie było. Kiedy wykonałem pierwszą operację, mogłem usiąść w fotelu i cieszyć się, że ją zrobiłem, a kiedy przeprowadziłem ich 10, to mogłem usiąść głębiej. A gdy dokonałem pewnego przełomu w światowej medycynie, to już zupełnie nie musiałbym nic robić.

Ciężko i uparcie pracuje pan na swoje sukcesy. Ale też mówi o nich głośno, zwołuje konferencje, aby opowiedzieć o dalszych planach.

– A można inaczej? Przecież to świadczy o tym, że wierzymy w to, co robimy. Pamiętam, jak na pewnej międzynarodowej konferencji powiedziałem, że rozbudowany instytut przyjmie nazwę Światowego Centrum Słuchu. Nikt nie powiedział, że jestem idiotą, ale potraktowano te słowa z przymrużeniem oka. A po dwóch latach, kiedy wybudowaliśmy już główną część centrum i te same osoby przyjechały na otwarcie, już nie musiałem tłumaczyć tej nazwy. Pokazaliśmy, że za tym stoją wykonane po raz pierwszy w świecie operacje. Od 12 lat można je oglądać na żywo podczas specjalnych międzynarodowych warsztatów. W tym czasie przez Kajetany przewinęło się ponad 5 tys. naukowców z całego świata. Gdy zainicjowaliśmy powstanie światowej sieci ośrodków doskonałości na wszystkich kontynentach, przeprowadziliśmy pilotażowe badania przesiewowe pod kątem wczesnego wykrywania wad słuchu u dzieci w ponad 20 krajach Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej, pokazaliśmy pierwszą w świecie krajową, a następnie międzynarodową sieć telemedyczną i dostaliśmy główne nagrody w Europie i Stanach Zjednoczonych, to już nic nie musiałem dodawać. Staram się również dzielić radością z innymi. Dbam, by zarażać tą radością, cierpliwością i sumiennością współpracowników. Jestem realnym optymistą. Można o mnie też powiedzieć marzyciel.

Co się za tym kryje?

– Ciągle nad czymś rozmyślam, chcę coś nowego tworzyć, działać, zmieniać świat. Nie chcę żałować niewykorzystanych szans.

Przykładem jest Kongres Zdrowie Polaków 2019, który zorganizował pan w Centrum Nauki Kopernik. Spotkały się na nim autorytety medyczne – kilkuset profesorów, szefów instytutów naukowych, konsultantów krajowych i wojewódzkich, a także ministrowie zdrowia lub członkowie kolejnych kierownictw resortu z ostatnich 30 lat.

– Miałem dosyć słuchania, jak jest źle w służbie zdrowia. Dlatego poprosiłem przyjaciół, kolegów naukowców i innych znakomitych ekspertów z zakresu medycyny i nie tylko, abyśmy się spotkali poza polityką i podyskutowali o zdrowiu. Bo to nasz wspólny kapitał. Nikt nie może być obojętny, a my, lekarze, musimy pokazać, że szanujemy siebie, swoją pracę i nie jest nam obojętny los żadnego człowieka w kraju. Dlatego zademonstrowaliśmy dokonania na poziomie krajowym, europejskim i światowym, przedstawiliśmy też swoje problemy, dylematy i rekomendacje, co można zrobić, by nam wszystkim żyło się lepiej.

Łatwo było coś takiego zorganizować?

– Słyszałem, że to się nie uda, bo eksperci są zajęci i nie zbiorą się w jednym czasie. Okazało się, że się

eprasa.pl 6f24944d35

zebrali. Przyszli również ministrowie zdrowia. Dali tym samym dowód, że można się spotkać i spokojnie porozmawiać, zamiast ciągle się oskarżać. Mało tego – każdy mógł powiedzieć, że się starał, że dbał i ma określone osiągnięcia. Gdyby nie podjęto w różnych latach pewnych decyzji, bylibyśmy dziś w znacznie mniej komfortowym położeniu.

Co się udało na kongresie?

– Udało się pokazać wiele nieznanych szerzej osiągnięć, uzyskanych niekiedy w bardzo skromnych warunkach, ale przez ludzi oddanych, podchodzących z wielką pasją do naszego zawodu. Zobaczyliśmy, że stać nas na robienie wielkich rzeczy, na realizację fantastycznych programów profilaktycznych, edukacyjnych i klinicznych. Uświadomienie sobie tego daje mi siłę, by odpierać zarzuty, że „wszędzie jest źle", bo wtedy będę mógł pokazać kilkanaście osób czy ośrodków, którym się udało. Już na kongresie mi dziękowano, mówiąc: „Uzmysłowiłeś nam, że od nas wiele zależy". Nie należy się posługiwać określeniami „to jest chore" – służba zdrowia czy całe państwo. Coś może być i pewnie czasem jest chore, ale nie mówmy tak o wszystkim. Jak czują się ci, którzy muszą się leczyć, jakie mogą mieć nadzieje, że im pomożemy, czy mogą nam ufać? Prosiłem uczestników kongresu, aby zaczynali wypowiedzi od pozytywnych wydarzeń, od opowiedzenia o tym, co im wyszło. A dopiero potem mówili o tym, co trzeba naprawiać. Na otwarciu powiedziałem, że w okresie międzywojennym tworzyliśmy podstawy medycyny klinicznej, bo jej nie było, mieliśmy resztki szpitali po jednym czy drugim zaborcy. Ale w okresie powojennym stworzyliśmy podstawy, wzorcowej na ówczesne czasy, opieki nad matką i dzieckiem, co zadecydowało o radykalnym spadku śmiertelności noworodków. Nie od nas, obecnych tu i teraz, wszystko się zaczęło i nie 30 lat temu, ale dużo wcześniej. Jeśli więc docenimy dokonania poprzedników i wyciągniemy wnioski, mamy realną szansę zbudować lepszą przyszłość społeczeństwa.

Lubi pan zarażać optymizmem i mobilizować do działania.

Wcześniej przeprowadził pan akcję „Po pierwsze zdrowie", w ramach której społecznie badaliście słuch dzieciakom.

– Pomogło w tym „Lato z radiem", na którego antenie o tym się mówiło. Dla mojego zespołu była to także nieprawdopodobna edukacja, jak rozmawiać z ludźmi. Potem zaproponowaliśmy tę akcję innym specjalistom. To była całkowicie społeczna aktywność – poświęcaliśmy na te badania weekendy w kolejnych letnich miesiącach i cieszyliśmy się tym. Bo dzięki temu odbudowywaliśmy zaufanie do lekarzy, pielęgniarek, techników i innych pracowników służby zdrowia. Wyjście do ludzi ze swoich gabinetów uważam za jeden z większych sukcesów.

Dla pana chcieć to móc.

– U mnie nie ma takiej sytuacji, że coś jest niemożliwe. Jest tylko pytanie, jak to zrobić. Zawsze jestem przekonany, że to można zrobić. W młodzieńczych latach codziennie potrafiłem przeczytać książkę. Jak siadałem do lektury, musiałem ją skończyć. W marzeniach, które realizuję, prawdopodobnie odtwarzam różne sytuacje z przeczytanych lektur, korzystam z tych doświadczeń.

A zainteresowania historią?

– Historia była moją pierwszą miłością. Trylogię przeczytałem w pierwsze wakacje w szkole podstawowej, bo siostry nauczyły mnie pisać i czytać przed pójściem do szkoły. A zajęcia z historii to była dla mnie zawsze uczta. Nie chodziło o datę jakiejś bitwy, ale zawsze wiedziałem, ilu żołnierzy brało udział w danej potyczce czy batalii, jak były rozmieszczone wojska, kto dowodził, jak akcja się toczyła.

To też pomaga w sprawach organizacyjnych?

– Wszyscy byli przekonani, że pójdę na historię. A ja tę pasję wykorzystuję do śledzenia historii medycyny, wyciągania wniosków z zachodzących procesów i dokumentowania m.in. działalności ośrodka. Mam dwutomową monografię, gdzie są wycinki sprzed 25-29 lat z gazet, które o nas pisały, a których już nie ma. Mam ogromny szacunek dla dokonań poprzednich pokoleń i wiarę, że następcy będą lepsi niż my teraz. Przykładam wielką wagę do analizy i ciągłości zdarzeń. Wtedy łatwiej widzieć i osiągnąć sukces.

Jakie więc marzenia panu się spełniły?

– Przed 30 laty ten instytut budowaliśmy od podstaw. Kiedy poszedłem do pewnego ministra i powiedziałem, że chciałbym, aby mi pomógł w zorganizowaniu Instytutu Słuchu, prawie zostałem wyśmiany przez jednego z dyrektorów, który nazwał to chorym pomysłem, dodając: „Jak to, Instytut Ucha? Przecież jutro może ktoś przyjść i powiedzieć, że chce powołać Instytut Kciuka". Czy to mnie zraziło? Nie. Pomyślałem, że jeśli nie ma takiej woli, to spróbujmy działania etapowego.

Nie odpuścił pan.

– Po roku od pierwszej operacji wszczepienia implantu osobie głuchej w Polsce i przywrócenia pacjenta do świata dźwięku otworzyliśmy Cochlear Center – takie centrum implantów. Otwierała je premier Hanna Suchocka z gronem ministrów. A był to mały ośrodek, o powierzchni nieco ponad 500 m kw., ale był wtedy drugim tego typu ośrodkiem w Europie. Pani premier powiedziała, że chciałaby kiedyś otworzyć coś większego. I po 20 latach zaprosiliśmy ją – a była już ambasadorem RP w Watykanie – by z innymi premierami i ministrami zobaczyła Światowe Centrum Słuchu w Kajetanach.

Przez Kajetany przewinęło się ponad 5 tys. naukowców z całego świata.

Nie wszyscy cieszyli się pana sukcesami. W 2014 r. wytoczono ciężką artylerię, zarzucając panu nieprawidłowości w działaniu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu. Skąd to się wzięło?

– Prawdy najpewniej nigdy nie poznamy. Możemy się domyślać. Może spodobaliśmy się komuś, kto stwierdził, że niezadłużony instytut to doskonałe miejsce, aby je przejąć i zatrudnić w nim 50 znajomych. Albo chodziło o mnie – personalnie. To była przedziwna kontrola, która nie udowodniła żadnych istotnych nieprawidłowości. Przeżyłem wtedy szok. Mój zastępca nie pojechał do przeszło 90-letniej mamy, bo inspektor dał mu czas na złożenie wyjaśnień do godz. 10 czy 11. Mamę kolegi zabrało pogotowie, zmarła na izbie przyjęć w szpitalu. Pamiętam, że to było miesiąc po tym, jak odebrałem tytuł Człowieka Wolności w plebiscycie „Gazety Wy-

eprasa.pl 6f24944d35

borczej" i TVN. Nagle przychodzi dziennikarz i zadaje mi dziwne pytania. Przy czym nie słucha odpowiedzi, a na zakończenie mówi, że i tak napisze, co zechce. Potem pojawiły się dziwne kontrole. Musiałem krok po kroku wyjaśniać, że nie jestem wielbłądem. Tłumaczyć, czy posadziliśmy 2 tys., czy 2,5 tys. cisów i czy wszystkie przeżyły. Nie miałem o tym pojęcia, nie wiedziałem też, czy wszystkie ławki są w dobrym stanie. Ostatecznie wszystko wyjaśniliśmy i wykonaliśmy wszystkie zalecenia pokontrolne dotyczące działalności instytutu.

Czego dotyczyły dziwne pytania?

– Na przykład brakujących ławek lub koszy na śmieci w parku, wspomnianych krzewów, oświetlenia parku, płytek chodnikowych itd.

Wróćmy do początków, jak wyglądały?

– Kiedy otwieraliśmy pierwszą część Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach w 2003 r. i zorganizowaliśmy konferencję prasową, jeden z dalej czynnych dziennikarzy skomentował: „Kto tutaj tak daleko przyjedzie?". A ja na to: „Dziś bliżej tu do lotniska niż do centrum Warszawy. Ale w przyszłości na pewno będą zbudowane drogi i będzie o wiele łatwiej. A jeśli chodzi o miejsce, piękne otoczenie, to takiego na pewno nie znajdziemy w Warszawie".

Czegokolwiek pan dotknie, kończy się sukcesem. A ma pan w ogóle naturę optymisty?

– Tak. I marzyciela. Ciągle marzę. Potem te marzenia spisuję na karteczkach. Z tego powstają plany, zadania. Wykorzystuję każdy moment, np. podczas Kongresu Zdrowie Polaków 2019 usłyszałem wiele bardzo mądrych opinii ekspertów, wiele z nich zanotowałem. Teraz rodzą się nowe pomysły.

Zauważyłam, jak pan notował.

– Potem dzielę się przemyśleniami z otoczeniem. Próbuję zarażać entuzjazmem. Nie jest to łatwe, bo wszyscy mają świadomość, że będzie się wiązało z większą ilością pracy. I każdy zaczyna mnie zniechęcać. Ale ludzie wiedzą, że jestem konsekwentny i jeśli coś wymyślę, zaczynam realizować swój plan. Zabieramy się więc wspólnie do roboty. Jeszcze nigdy nie miałem takiej sytuacji, aby czegoś, co było zależne ode mnie, nie udało się zrealizować.

Jaka jest pana recepta na sukces?

– Pracowitość i konsekwencja. Jestem bardzo wymagający w stosunku do siebie, ale i innych. Ode mnie trudno dostać pochwałę. Kiedyś marszałek Senatu prof. Longin Pastusiak, który był moim pacjentem, przytoczył słowa prezydenta Thomasa Jeffersona: „Jest nieprawdopodobne, ile może zrobić człowiek, jeśli będzie robił to systematycznie". Zdałem sobie sprawę, że tak zawsze postępuję. Dawniej nie pisałem nigdy jednej pracy naukowej, tylko kilka równocześnie. Gdybym pisał jedną i nie zostałaby przyjęta do druku, przeżywałbym frustrację. A tak zawsze miałem powód, by się cieszyć, bo któraś została zaakceptowana.

Ma pan czas na piłkę nożną?

– Gramy zawsze we wtorki, jak jestem na miejscu. I satysfakcją dla mnie jest to, że często biegający obok 30-latek porusza się wolniej. W dalszym ciągu zbieram ślimaki. Mam już kolekcję liczącą ok. 5 tys.

Mówi pan, że jest w stanie pomóc każdemu, kto ma problem ze słuchem. Stulatkowi również?

– Tak, ale warunek jest jeden – musi do nas się zgłosić.

Barbara Jagas

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy krok
Nie zasmakujesz, gdy nie spróbujesz

E-wydanie to wierne odzwierciedlenie papierowego wydania PRZEGLĄDU.
Zawsze w stałej cenie 3,50 zł!

Nie chcesz co tydzień kupować e-wydania?
Wybierz e-prenumeratę lub subskrypcję.
Sam zdecyduj, co będzie dla Ciebie wygodniejsze: płatność jednorazowa czy cykliczne samoodnawianie płatności. Zamów, a już co sobotę dostaniesz nowy numer tygodnika.

Teraz także wszystkie nasze książki dostępne są w formie e-booków już od 14,90 zł!
pdf epub mobi

Masz wątpliwości?
Zadzwoń lub napisz, pomożemy
22 635 84 10 wew. 107; sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f24944d35

Scena finałowa musicalu „Przerwana cisza” Henryka Skarżyńskiego. Warszawska Opera Kameralna.

Marzenia się spełniają

Niedawno nie słyszeli, dziś – dzięki prof. Henrykowi Skarżyńskiemu – występują w musicalu

Barbara Jagas

Oklaski na stojąco. Tak widzowie nagrodzili wykonawców musicalu, którzy śpiewali, tańczyli i grali na różnych instrumentach, a jeszcze niedawno nie słyszeli. Czy niemożliwe stało się możliwe? W ich przypadku tak. A zawdzięczają to nie tylko własnej pracy i wierze w swoje możliwości, ale i lekarzowi, który napisał dla nich musical.

Olaf Kaca urodził się głuchy, rodzice nie wiedzieli o tym, dopóki nie skończył dwóch lat. – Gdyby nasz syn przyszedł na świat rok później, dzięki Jurkowi Owsiakowi na pewno zostałby wcześniej zdiagnozowany. A tak wydawało się nam, że rozwija się w miarę dobrze – mówi ojciec Wojciech Kaca. Zanim dotarli do prof. Henryka Skarżyńskiego, minęło trochę czasu, ale w końcu Olafowi wszczepiono implant ślimakowy, dzięki któremu zaczął słyszeć. Nie od razu doskonale, bo trzeba się przyzwyczaić do tego, że człowiek odbiera jakieś dźwięki. Olaf był za mały, by jak jeden z dorosłych pacjentów znakomitego otochirurga krzyknąć radośnie po założeniu procesora mowy: „Słyszę, słyszę, przerwał pan moją ciszę!”.

Będę lepszy niż profesor

„Przerwana cisza” to tytuł musicalu prof. Skarżyńskiego. Występują w nim m.in. Olaf i jego mama, która doczekała się wiersza „Głos mojej mamy słyszę”. Oto mały Olaf idzie do przedszkola, już jest dobrze, bo ma wszczepiony implant ślimakowy, ale dyrektorka nie chce przyjąć niepełnosprawnego jej zdaniem chłopca. Niektórzy rodzice takich dzieci usłyszą nawet bardziej okrutne słowa. Niemądrzy nauczyciele odeślą ich do szkół specjalnych.

Dla rodziców wiadomość, że dziecko jest głuche, to szok. Mama Olafa była zdruzgotana. Myślała z lękiem: co z nim będzie, co z nami będzie? Mamy się uczyć języka migowego? A jak sobie poradzi jako dorosły, gdy nas już nie będzie?

O takich dylematach są utwory prof. Skarżyńskiego. Ale w musicalu jest też dużo radości, śpiewu, tańca, świętowania zwycięstwa. I prawdziwej sztuki. W wykonaniu tych, którzy odzyskali słuch. Bo w każdym pacjencie doktora dokonuje się pozytywna przemiana. A potem rodzą się w nich artyści. Tacy jak Olaf, który w spektaklu gra na perkusji. A w życiu prywatnym także muzykuje, koncertuje z zespołem w młodzieżowych klubach. Był na warsztatach u Michała Urbaniaka. – Implant to dla mnie wejściówka na wszystko – powtarza.

– Dzięki operacji otworzyły się przed nim nieskończone możliwości – wtóruje mu ojciec. Rodzice są dumni z chłopaka, który nie tylko rozwija się muzycznie, ale także uczy języków obcych i trenuje piłkę nożną. Niedawno zagrał w Kajetanach ze swoim doktorem. – Lubimy tu przyjeżdżać, bo w Kajetanach ciągle coś się dzieje, a to jakieś warsztaty organizują, a to festiwale, a to bicie rekordów Guinnessa – mówi szczęśliwy tata. Opowiadając o kadrze Centrum Słuchu, używa tylko dwóch określeń: – Serce i wiedza, tacy są ci ludzie.

Nie zapomni, jak ich przyjęto, gdy Olafek przyjechał na operację. – Drodzy państwo, powiedział do nas anestezjolog, dziecko wjedzie ooo... tutaj, poczuje takie miętowe powietrze, potem uśnie, operacja będzie trwała tyle a tyle, potem przewieziemy go na inną salę, a następnie do pokoju, gdzie będziecie mogli go zobaczyć – wspomina Wojciech Kaca. – Poczułem się, jak w filmie.

Dziś 15-letni Olaf chce zostać otochirurgiem, tak jak jego doktor, by pomagać innym w odzyskaniu słuchu. Jak sądzi – może to robić na-

eprasa.pl 6f24944d35

wet lepiej, bo do wiedzy doda swoje doświadczenie.

Z implantem na scenę Filharmonii Narodowej

Weronika Niczyporuk, która w musicalu maestro Skarżyńskiego śpiewa, gra i tańczy, jest studentką psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Przyszła na świat jako dziecko niedosłyszące. – Miałam zarośnięte przewody słuchowe – tłumaczy. Dziś, kiedy zdejmie implant, w jej przypadku ze względu na budowę ucha niewszczepiony, znajduje się w innym świecie. – Słyszę głosy jak zza ściany, odróżniam tylko niskie dźwięki: basy gitary i męskie głosy.

Za to z implantem Weronika śpiewa jak Anna German, bo ma bardzo rozległą skalę głosu. Dlatego dostała zaproszenie do udziału w koncercie młodych talentów operowych na festiwalu im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju. A podczas Ślimakowych Rytmów śpiewa nostalgiczny utwór ukochanej artystki. Rok wcześniej, gdy jeszcze nie miała pojęcia, że prof. Skarżyński zamierza zorganizować taki koncert, przyjechała z Podlasia do Warszawy i poszła na grób Anny German. – Chciałam choć przez chwilkę być bliżej tej cudownej artystki – mówi z przejęciem. A potem, podczas wizyty kontrolnej w Kajetanach, dowiedziała się, że ruszają Ślimakowe Rytmy. Następnie poznała prof. Ryszarda Karczykowskiego, światowej sławy tenora, który dał jej wiele wskazówek i namówił, aby dalej szkoliła głos.

Z wczesnego dzieciństwa Weronika pamięta, jak kładła się na tors mamy lub taty, a oni śpiewali jej kołysanki. – Dźwięk rozpływał się po ciele rodzica, a ja tuląc do niego główkę, czułam te wszystkie wibracje. W końcu dźwięki to fale. W podobny sposób działa mój aparat na przewodnictwo kostne – tłumaczy.

Miała cztery latka, gdy implant odmienił jej życie. Nie było jeszcze wtedy zajęć z muzykoterapii, które dziś pomagają małym pacjentom. Ale miała zajęcia z surdologopedą, w których także wykorzystuje się ćwiczenia z muzyki. Zaczęła bawić się śpiewaniem, przyszły marzenia o karierze artystycznej. Ale ta droga nie była usłana różami. I tak, jak to jest pokazane w musicalu, była najpierw obiektem kpin rówieśników. – Dzieci bywają okrutne, nie lubią inności. Już w przedszkolu śmiano się ze mnie, że noszę aparat – wspomina. Potem dokuczano jej w szkole podstawowej. W „Przerwanej ciszy" dawne historie i dziecięce żale wróciły. Przypomniała sobie, jak ktoś nazwał ją głucholem, jak ktoś się śmiał, że ma coś za uchem. Ale udział w musicalu dał jej niezwykłą radość i siłę. I wiarę w siebie, że może być aktorką, bo potrafi zagrać nawet swoje przeciwieństwo – w pewnym momencie musiała na aktora nakrzyczeć, a jest z natury cicha i spokojna.

Olaf Kaca w musicalu zagrał samego siebie.

Osiąga sukcesy, wystąpiła w Filharmonii Narodowej i Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego, miała też recital w Göteborgu. A każdy koncert otwiera nowe drzwi.

Muzykujące siostry

Swoje marzenia spełniła 15-letnia Laura Łabiga z Lublina. Nie jest osobą niesłyszącą, przeciwnie – ma słuch absolutny. Na scenie Warszawskiej Opery Kameralnej znalazła się dzięki starszej siostrze Esterze, która ma implant ślimakowy. – Najpierw zadzwoniono z Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu do siostry, bo chcieli, aby wystąpiła w musicalu prof. Skarżyńskiego. A potem zapytano o mnie – mówi Laura, która uczy się w szkole muzycznej w klasie skrzypiec i uczęszcza na lekcje śpiewu. Pochodzi z muzykującej rodziny, w której wszyscy albo śpiewają, albo grają. Ma czwórkę rodzeństwa – dwie siostry i dwóch braci. – Kiedy mama była w ciąży ze mną, wiadomo było, że kolejna dziewczynka pójdzie na skrzypce – śmieje się Laura.

W przypadku Estery, która jako małe dziecko straciła słuch, prawdopodobnie po podaniu antybiotyku, i w wieku pięciu lat jeszcze nie mówiła, było zupełnie inaczej. Najpierw dostała się na operację do prof. Skarżyńskiego. Dopiero później rodzice mogli mieć wobec dziewczynki jakiekolwiek plany. Poszła do podstawówki, gdzie świetnie sobie poradziła, a potem do szkoły muzycznej. Tu też dała sobie radę. Kiedy więc nauczycielka zapytała mamę Estery: „A może córkę damy na flet poprzeczny?", nie było sprzeciwu. I grą na flecie zachwyciła wszystkich w „Przerwanej ciszy". Tylko znajomi się nie dziwili, bo przecież była finalistką Ślimakowych Rytmów.

Dziś jej umiejętności wysoko ocenia pierwszy flecista Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Narodowej, u którego była na warsztatach. I ma nadzieję, że będzie występowała dalej. Ale Estera nie planuje kariery muzycznej. Może dlatego, że miała pewne problemy na próbach musicalu. Mówiła, że z trudem wsłuchiwała się w to, co działo się na scenie i za kurtyną, po to by w odpowiednim momencie wejść ze swoim fletem. Bardzo się stresowała, bo nie widziała muzyków, a ma problemy z lokalizacją dźwięku. Jednak po premierze była zadowolona. Na razie jednak koncentruje się na studiach na wydziale architektury krajobrazu KUL.

Laura natomiast myśli o karierze artystki. – Bardzo bym chciała iść tą drogą – deklaruje Laura. Chcieć to móc – można by podpowiedzieć. A ona dodaje radośnie, że przecież marzenia się spełniają.

Rok temu była na wycieczce szkolnej w Teatrze Buffo na „Metrze". I po wyjściu krzyknęła na cały głos: – Ojejku, jak bym chciała kiedyś wystąpić w musicalu!

I proszę, nie minął rok, a wystąpiła, i to nawet w tym samym gmachu.

Barbara Jagas

FOT. MACIEJ NOWICKI, KATARZYNA RAINKA

eprasa.pl 6f24944d35

Przypadki Andrzeja Werblana

Zapis spotkania w Czytelniku z okazji 95. rocznicy urodzin

Robert Walenciak

5 grudnia w kawiarni Czytelnika miała miejsce promocja książki „Polska Ludowa. Postscriptum", która jest wywiadem rzeką Roberta Walenciaka z prof. Andrzejem Werblanem. Przedstawiamy zapis spotkania. Pytania zadają Robert Walenciak i goście z sali.

Panie profesorze, gratulujemy 95. urodzin i gratulujemy książki „Polska Ludowa. Postscriptum".

– Do książki chciałbym dorzucić dwie uwagi. Po pierwsze, chciałem też w niej pokazać, jak wiele w życiu człowieka zależy od przypadku, od ślepego losu. Pierwszy przypadek – wywózka. Wywieziono mnie i moją rodzinę na Syberię z powodu ojca, którego aresztowano. Tak nie musiało być; w tamtym czasie, na tamtych terenach nie zamykano wszystkich nauczycieli, nawet nie większość z nich. Doszło do jakiejś nadgorliwości policji. Drugi przypadek – wesz tyfusu, która mnie ukąsiła. Gdyby nie to, gdybym nie zachorował, przez co wysadzono mnie z pociągu, którym jechałem do armii Andersa, i oddano do szpitala, walczyłbym pod Monte Cassino, a nie pod Studziankami. Wreszcie trzeci przypadek – głupi urzędnicy wywodzący się z KPP, pracujący w Ministerstwie Obrony, którzy popierali rozbudowę PPR-owskich organizacji w wojsku, a tępili wszystkie inne, z PPS-owską włącznie. Kiedy wykryli, że wstąpiłem do PPS, zaczęli mnie szykanować, tak że opuściłem wojsko. Gdyby byli mądrzejsi, zostawiliby mnie tam, być może służyłbym dalej i z wolna dosługiwałbym się kolejnych rang, by w czasach gierkowskich zostać generałem, a potem przeżywać te wszystkie udręki, które spadają dzisiaj na ówczesną generalicję. A tak wygonili mnie z wojska i to w dużym stopniu sprawiło, że w PPS, za którą na początku ucierpiałem, miałem ułatwiony start. I w ciągu 15 miesięcy od wstąpienia do tej partii byłem już sekretarzem komitetu wojewódzkiego w Białymstoku. Oto parę przykładów, jak palec boży losem ludzkim kieruje.

A druga uwaga?

– Podkreśliłbym taki aspekt: ja oczywiście bronię w tej książce swojego życiorysu politycznego i Polski Ludowej. Bronię tej formacji, z którą właściwie swoje czynne życie związałem. Ale bronię inną argumentacją, z innych pozycji niż Polska Ludowa sama siebie broniła, wtedy kiedy istniała.

To znaczy?

– Wtedy, kiedy ona istniała, broniła siebie – językiem jej propagandzistów – jako pewnego dobrego, może wręcz doskonałego, wcielenia socjalizmu. Broniła swojego ideologicznego oblicza i rodowodu. To nie bardzo wytrzymywało krytykę. Ja bronię Polski Ludowej inną argumentacją. Ważniejszą dla niej, aczkolwiek nieeksponowaną w jej czasie. W moim przekonaniu dziś, jak na to patrzę, a i wtedy w niemałym stopniu Polska Ludowa była raczej kiepskawym wcieleniem socjalizmu. Natomiast była dobrym – nie bardzo dobrym, ale dobrym – dostosowaniem narodowego i państwowego bytu do sytuacji geopolitycznej, jaka powstała w czasie II wojny świa-

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f24944d35

towej i po niej. Naród musiał się dostosować do sytuacji podziału świata. I dostosował się, dzięki Polsce Ludowej, w miarę pomyślnie. Może nie na piątkę, ale od Października gomułkowskiego właściwie do końca gdzieś na czwórkę. Wtedy Polska wywalczyła szeroki zakres autonomii w polityce wewnętrznej. W okresie gierkowskim uzupełniła to otwarciem na Zachód. W czasach Jaruzelskiego – w próbie ratowania tego wszystkiego od dwóch zagrożeń: od anarchii ze strony Solidarności i od brutalnej restauracji poststalinowskich porządków ze strony Związku Radzieckiego – ten egzamin Polska Ludowa zdała stosunkowo dobrze. Ale to nie znaczy, że my wszyscy, którzy byliśmy z nią związani, równie dobrze go zdaliśmy. Było różnie – raz lepiej, raz gorzej. Niejedno można było zrobić lepiej. Ale ogólnie przez ten okres, jak się wydaje, naród przeszedł dobrze. I to się ostoi. Te dzisiejsze wymyślania o okupacji, o czarnej dziurze – one wszystkie przeminą ze względu na to, że rozmijają się z rzeczywistością.

Panie profesorze, czy nie miał pan czasami ochoty, jak to się dzisiaj mówi, rzucić papierami? Powiedzieć: to już poszło za daleko! Tak jak po inwazji na Czechosłowację, kiedy Geremek rzucił legitymacją PZPR.

– Były takie momenty, ale jak raz nie w roku 1968. I nie była to Czechosłowacja. Oczywiście Czechosłowacją nie byłem zachwycony, uważałem, że to co najmniej przesada. Ale rozumiałem logikę zimnej wojny, która powodowała, że istniejący w tym okresie układ był nie do ruszenia. Próba jego podważenia była ryzykowna i pociągała za sobą tego typu konsekwencje. Ale w roku 1981 rzuciłem papiery. Wycofałem się z życia politycznego i zająłem jego opisywaniem. Bardzo jestem z tego zadowolony.

A czy był ktoś, kto pana rozczarował w życiu politycznym?

– Rozczarowań przeżyłem wiele. Rozczarował mnie Gomułka w 1970 r. Byłem wtedy przekonany, że wchodzenie w kombinacje z podwyżkami cen jest po prostu samobójcze. I byłem głęboko rozczarowany tym, że on się na to zdecydował. Z przerażeniem obserwowałem, że ludzie w jego otoczeniu, którzy podzielali mój pogląd, że to jest polityczny duży błąd, nie zająknęli się, ażeby próbować to pohamować. Myślę o ówczesnych członkach Biura. Gdyby ktoś wtedy się sprzeciwił, tej podwyżki przed świętami by nie było. Gomułka nie zrezygnowałby z niej, ale musiałby najpierw rozprawić się z tym oponentem. I możliwe, że to by się potoczyło inaczej. Byłem rozczarowany w roku 1976, kiedy kierownictwo gierkowsko-jaroszewiczowskie także zaczęło majstrować przy podwyżkach. Ale najbardziej mnie rozczarowało co innego – że po niepowodzeniu i po wycofaniu się z tej podwyżki oni dwa tygodnie później zamierzali ją jednak wprowadzić. Ostatecznie powstrzymał ich Leonid Breżniew, w Berlinie.

PRL była raczej kiepskawym wcieleniem socjalizmu. Natomiast była dobrym dostosowaniem narodowego i państwowego bytu do sytuacji geopolitycznej po II wojnie światowej.

Byłem tego prawie świadkiem, to znaczy nie byłem przy rozmowie, ale godzinę później dokładnie opowiedział mi o niej Gieorgij Szachnazarow (zastępca szefa wydziału KC KPZR – przyp. red.). Że Breżniew dość brutalnie przywoływał Gierka do porządku. Mówił tak: „To, co ja wam, towarzyszu Gierek, teraz mówiłem, że ma być koniec z podwyżkami, że trzeba się z tym pożegnać i trzeba dać narodowi ochłonąć, to nie jest nasza rada, to nasza decyzja". To był język przypominający to, co mogło się dziać w roku 1945, 1946, a nie w roku 1976.

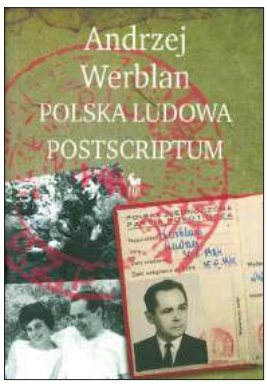

Miałem więc dużo różnych rozczarowań. Ale w polityce jest tak, że ludzie nigdy nie zgadzają się ze sobą na 100%. Zgodność na 80% jest bardzo duża. Na 60% jest wciąż wystarczająca. A to znaczy, że w polityce zawsze trzeba jakieś swoje rozczarowania podporządkować pewnej generalnej zgodzie. I jeśli mam czymś wytłumaczyć fakt, że 20 lat w tej polityce wytrwałem, to właśnie tym.

Jak ludzie władzy w PRL postrzegali Polskę? Jak rozumieli rację stanu? Jaki był ich cel? Powiedział pan już, że nie chcieli budować socjalizmu, co więc chcieli budować?

– Bardzo różnie to wyglądało. Inna była ta pierwsza formacja, wywodząca się z KPP, która miała pewne cechy romantyzmu rewolucyjnego, ideologicznego. To byli ludzie nawiedzeni czy raczej zauroczeni pewnym modelem rewolucji wzorowanym na radzieckim. Załamał ich referat na XX Zjeździe KPZR i chruszczowowska destalinizacja. Oni postrzegali Polskę Ludową dość dziwnie. Ich ideałem był raczej Związek Radziecki, a Polska Ludowa wydawała im się marnym wcieleniem tego ideału. Dlatego w 1948 r. poparli zwrot probolszewicki. Cieszyli się, że nareszcie wraca się do ich ideałów z młodości. Aleksander Zawadzki w gronie bliskich współpracowników z Centralnej Komisji Związków Zawodowych tak relacjonował swoje wrażenia ze spotkania w Szklarskiej Porębie (tajne spotkanie 27 września 1947 r. przedstawicieli partii komunistycznych: Związku Radzieckiego, Jugosławii, Bułgarii, Węgier, Rumunii, Czechosłowacji, Polski, Francji oraz Włoch, na którym podjęto decyzję o powołaniu Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych, Kominformu – przyp. red.): „Coś w naszym sercu grało, wreszcie będziemy z powrotem mieli nasz Komintern, dyrektywy. I nie rozumieliśmy tego Gomułki, dlaczego mu się to wszystko nie podoba". To była jedna filozofia.

Późniejsze pokolenie, gomułkowskie, w dużym stopniu kierowało się tą argumentacją, której ja używam w obronie Polski Ludowej. Ono rozumowało w kategorii racji stanu dyktowanej sytuacją globalną. Nie używało tego argumentu w rozmowie z narodem. Niestety! Szkoda, bo to był racjonalny i trafny argument. Nie mówiono o nim, ale nim się kierowano. Choć w sytuacji krytycznej z Gomułki to wychodziło.

Kiedy?

– W styczniu 1957 r., kiedy zwracał się do społeczeństwa i mówił:

eprasa.pl 6f24944d35

„Kto skreśla kandydatów PZPR z list do Sejmu, skreśla Polskę z mapy Europy". Wskazywał powód, dla którego to mówił, Budapeszt. Gomułka w rozmowach w węższym kręgu był człowiekiem *Realpolitik*. W rozmowie z narodem – nie. W rozmowie z narodem była ideologia.

Dlaczego?

– Języka *Realpolitik* w rozmowie z narodem, niestety, nie można było użyć ze względu na Związek Radziecki, który traktowałby to jako obelgę, że o nim się mówi jako o mocarstwie, z którym trzeba się liczyć. To było nie do przyjęcia. Związek Radziecki chciał być kochany za swoje piękno ideologiczne, nie wystarczał mu szacunek ze względu na pozycję i siłę międzynarodową.

Wreszcie pokolenie epoki gierkowskiej. Ono już było bardzo pragmatyczne. Była to formacja technokratyczna, która chciała budować kraj z ustrojem państwowego socjalizmu, ale bliższy ludziom, wydajniejszy gospodarczo, otwarty na świat, bardziej podobny do Europy. W dużym stopniu to się udawało. To nie przypadek, że w pamięci żyjących pokoleń ten okres rysuje się najlepiej. Choć w mojej pamięci najchlubniejszy okres jest popaździernikowy.

Wspomniał pan, że w Związku Radzieckim panowało przekonanie, że powinien być kochany, a nie szanowany. A jak oni patrzyli na Polskę? I drugie pytanie – w roku 1968 jako kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR był pan profesor na spotkaniu ze studentami Uniwersytetu Warszawskiego. Na tym spotkaniu był również wybitny pisarz Bohdan Czeszko. Dlaczego Wydział Nauki zaprosił literata na spotkanie ze studentami?

– Zacznę od końca – ja nie zapraszałem Bohdana na to spotkanie, on przyszedł sam. Pamiętam, stał w drzwiach i ironicznie przyglądał się temu, co się dzieje. A spotkanie odbyło się w kwietniu 1968 r. i dotyczyło przebiegu wydarzeń marcowych. Zasypywano mnie pytaniami głównie w tej sprawie. A Bohdan Czeszko stał w drzwiach i co pewien czas zachęcał mnie, żebym bardziej bojowo traktował „wrogów". Wydawał takie okrzyki: „Dołożyć im, dołożyć!". A ja nie paliłem się do tego.

Z Bohdanem Czeszką przyjaźniłem się, i to bardzo. I mógłbym sporo anegdot na jego temat opowiedzieć. Na przykład taką: niedługo po Październiku, byłem wtedy kierownikiem Wydziału Propagandy KC, mój ówczesny zastępca Ferdynand Chaber, który zajmował się wydawnictwami, ułożył tezy dotyczące polityki wydawniczej. W jego przekonaniu miały one posłużyć umocnieniu socjalizmu w twórczości. Ja to przeczytałem, entuzjazm Fredzia Chabera nie bardzo mi odpowiadał. Powiedziałem więc do niego: „Roześlij te tezy kilku pisarzom". Wymieniłem Bohdana Czeszkę, ale też 15 innych osób. „Zbierz ich, porozmawiaj, co oni ci o tym powiedzą". Minęło trochę czasu i dostaję list od Czeszki. Pisze do mnie tak: „Dostałem od twojego zastępcy tezy w sprawie polityki wydawniczej. Przynoszą one chlubę jego marksistowsko-leninowskim przekonaniom. Mnie one też odpowiadają, bo ja też chciałbym literatury socjalistycznej. Ale jedna rzecz zaniepokoiła mnie w tych tezach. Mianowicie, jest tam napisane, że literatura afirmująca socjalizm powinna być preferowana. Zrozumiałem, że powinna popłacać. Otóż obawiam się – pisze do mnie Czeszko – że twój przyjaciel, czyli ja, będzie musiał zdechnąć z głodu i będziesz musiał mnie wspierać. Nie dlatego, że ja bym nie chciał afirmować socjalizmu, ale głównie dlatego, że ja dookoła widzę takich, którzy jak najlepsze radary mają wyczucie, co należy afirmować, i oni mnie zawsze wyprzedzą". Poprosiłem więc Fredzia, dałem mu do przeczytania list: „Zobacz, co Czeszko o tym sądzi". On przeczytał i mówi: „Widzisz, jemu to też odpowiada. Z wyjątkiem tego jednego zdania. Więc to zdanie możemy wykreślić".

Natomiast co w Związku Radzieckim sądzono o Polsce? To zależy, kto sądził. Inteligencji radzieckiej Polska wydawała się przedsionkiem zachodniej Europy. Polowano na kolorowe pisma z Polski, zaczytywano się w nich. Z kolei dla radzieckiego kierownictwa partyjnego wyglądało to różnie w różnych okresach, ale ogólnie Polska to był kraj socjalistycznie zacofany.

Co to znaczy?

– W 1969 r. byłem świadkiem rozmowy między Breżniewem a Gomułką, przy kawie, w czasie przerwy w dużej naradzie. Coś Breżniewa podkusiło i zapytał Gomułkę: „Kiedy wy wreszcie skolektywizujecie u siebie rolnictwo? I doszlusujecie do reszty krajów socjalistycznych?". Jak to usłyszałem, pomyślałem: awantura murowana. Rzeczywiście, reakcja Gomułki była taka: „Towarzyszu Breżniew, my jesteśmy nawet gotowi to rozważyć, bo trochę nas dręczy, że wszystkie kraje skolektywizowały, a my nie. Ale wiecie, kiedy my naprawdę pomyślimy nad tym? Wtedy, kiedy wy przestaniecie importować zboże ze Stanów Zjednoczonych i sami zaczniecie je eksportować. Tak, żebyśmy w razie gdyby nam kolektywizacja nie wychodziła, mogli od was kupić miliony ton pszenicy, a nie od Amerykanów czy od Australii za dewizy. Czy wy nie rozumiecie – mówił dalej Gomułka – że wasza polityka rolna nie wyszła?". Zaczęła się taka słowna przepychanka, którą przeciął dopiero Kosygin (Aleksiej Kosygin – premier ZSRR – przyp. red.). Włączył się w pewnym momencie i powiedział: „Towarzyszu Gomułka, my zdajemy sobie sprawę, że w sprawach polskiej polityki rolnej i polskiego rolnictwa wy się lepiej od nas orientujecie. Ale w sprawie naszego rolnictwa to my wszystko wiemy lepiej i żadnych pouczeń nie potrzebujemy". Gomułka machnął ręką i zmienił temat.

> Gdybym nie zachorował na tyfus, przez co wysadzono mnie z pociągu, którym jechałem do armii Andersa, walczyłbym pod Monte Cassino, a nie pod Studziankami.

Mówił pan o swoim niechętnym stosunku do SB i aparatu bezpieczeństwa. Podobny stosunek miał Gomułka. Mimo to aparat ten w Polsce Ludowej wciąż rósł w siłę. Jaki był tego powód? Dlaczego stał się państwem w państwie?

– Gomułka był wobec tego aparatu nieufny, bo przez cztery lata był jego więźniem. We wspomnieniach, które napisał na emeryturze, zawarł przykre dla polskiego wymiaru sprawiedliwości porównania z okresem przedwojennym. Uważał, że przedwojenny aparat wymiaru sprawiedliwości i policja były w sprawach politycznych bardziej praworządne niż w Polsce Ludowej. Że prokuratorzy byli bardziej rzeczowi, policja nie wrabiała

eprasa.pl 6f24944d35

i nie wmawiała przestępstw, których nie popełniono, że sądy kierowały się przepisami prawa. A to, z czym się zetknął jako więzień w Polsce Ludowej, wyglądało inaczej. W czasie jednego z pierwszych przesłuchań zaczął powoływać się na konstytucję. To wtedy kpt. Michalak, tak się nazywał przesłuchujący, wziął gumową pałę i ją pokazał – u nas to jest konstytucja. Więc Gomułka miał taki stosunek. A jednocześnie nie zdemontował tego aparatu całkowicie. Obawiał się, że może się okazać w jakichś krytycznych sytuacjach potrzebny. Zredukował go ilościowo, natomiast struktury zachował. Po procesie Romkowskiego (gen. Roman Romkowski, wiceminister bezpieczeństwa publicznego – przyp. red.) prokuratorzy wystąpili o to, żeby dokonać weryfikacji ok. 6 tys. oficerów Służby Bezpieczeństwa z punktu widzenia ich szacunku dla prawa. Gomułka wniosek ten odrzucił.

Polityka Gierka była inna. Gierek zaczął od bardzo dużej liberalizacji. Wszystkich więźniów politycznych, którzy po wydarzeniach marcowych jeszcze się zachowali, zwolniono w ciągu pierwszego roku ery gierkowskiej. I mniej więcej do 1976 r. nie było u nas żadnych więźniów politycznych. Jak na kraj dyktatorsko rządzony to coś znaczyło. Natomiast później ekipa gierkowska tolerowała ilościową rozbudowę tego aparatu. Głównie z powodu szybkiego wzrostu organizacji opozycyjnych. Ale nie znaczy to, że zakres represji był szeroki. Nie był szeroki, natomiast za opozycjonistami chodziła cała masa ludzi. Był taki generał w bezpieczeństwie, Adam Krzysztoporski, który mówił, że za 500 KOR-owcami chodzi 500 jego funkcjonariuszy. Oni głównie chodzili, a co pewien czas 10 z tych opozycjonistów zamykali. Gierek dawał na to zgodę. Wyglądało, że zmierzają do jakiegoś procesu, ale po trzech miesiącach, za namową Stanisława Kani, Gierek zgadzał się na ich wypuszczenie. Ogłaszano więc amnestię i wypuszczano 10 tys. więźniów kryminalnych, po to żeby tych 10 wypuścić. Niemniej jednak jest to okres, kiedy wpływy koteryjne SB w aparacie władzy rosną i rzucają cień na tę epokę.

Kiedy pan się dowiedział o Katyniu? Mieczysław Rakowski mówił, że on w czasie wojny, z gazet poznańskich. Inny człowiek władzy przyznał mi się, że od Władysława Gomułki. Kiedyś podczas ich rozmowy zeszło na Katyń, więc on powiedział, że to Niemcy. Na co Gomułka spojrzał na niego uważnie i zapytał: „Towarzyszu, a pewni jesteście, że to Niemcy?". A pan kiedy się dowiedział?

– Chyba jeszcze w roku 1943. Ale z prasy radzieckiej i w ich wersji. Bo w jaki inny sposób na Syberii można było się dowiedzieć? Gdzieś na początku 1944 r., kiedy tereny Katynia zostały zajęte przez Armię Czerwoną, wysłano tam delegację z naszej armii. Z naszego batalionu pojechały dwie osoby. Ich relacje były ambiwalentne. Nie byli pewni, kto to zrobił. Dla mnie Katyń był problemem, ponieważ zginęły tam dwie osoby z mojej rodziny. Jeden wujek – policjant z Tarnopola i jeden wojskowy. Na zesłaniu byłem z wdowami po zamordowanych w Katyniu. Bo w tej wywózce, w której byłem ja i moja rodzina, wywieziono rodziny internowanych oficerów. Połowa zesłanych to były żony i rodziny oficerów i policjantów, którzy padli ofiarą tego mordu.

Rozmawiałem kiedyś na ten temat z Gomułką i on mnie pytał, co ja o tym sądzę. Powiedziałem, że my i moi koledzy w wojsku raczej podejrzewaliśmy NKWD. A Gomułka odpowiedział mi tak: „To jest zrozumiałe, bo wy nie byliście w czasie okupacji w kraju, a ja byłem". I dodał: „Ja w czasie okupacji dałem wiarę, że to Niemcy. Bo ja po Niemcach spodziewałem się wszystkiego najgorszego. Ale – mówił – w momencie wyzwolenia zmieniłem zdanie. I już w 1945 r. byłem przekonany, że to zrobiło NKWD".

Panie profesorze, jest pan zbiorem anegdot z czasów socjalizmu. Na różne okazje. Na urodziny również?

– To wydarzenie miało miejsce podczas 70. urodzin Stalina, kiedy delegacje poszczególnych republik składały mu życzenia. Przychodziły całe kierownictwa. I przyszli Gruzini, rodacy, i przyprowadzili poetę. I poeta odczytał wiersz, który z tej okazji napisał. Po każdej zwrotce powtarzał się refren: *„Żyj nam wo sto let"*. Generalissimus tego wysłuchał, skrzywił się i powiedział: *„Nie oceń szczedro"*. Tamci wpadli w przerażenie, tak że na drugi dzień w piśmie „Zaria Wostoka", które się ukazywało w Tbilisi, wydrukowali ten wiersz, ale z innym refrenem. On brzmiał: *„Żyj nam wieczno!"*.

Robert Walenciak

BUNTOWNIK

Książka PRZEGLĄDU!

- W październiku 1956 r. był na Żeraniu.
- Za list do partii, który napisał z Kuroniem dostał 3,5 roku więzienia.
- Pomysłodawca nazwy związku Solidarność.
- Konsekwentny krytyk transformacji.
- Ostrzegał: „Celem PiS jest władza, której nie odda".

65 zł

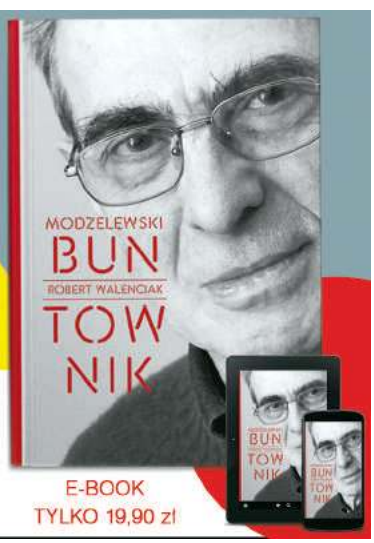

E-BOOK TYLKO 19,90 zł

Wpłat 65 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 6f24944d35

Pomaganie mają we krwi

Bydgoscy uczniowie remontują mieszkania ubogim

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Pomagali ludziom w biedzie już wcześniej. Byli w gminie Sośno (województwo kujawsko-pomorskie), którą ciężko doświadczyła sierpniowa nawałnica w 2017 r. Ale działali osobno. Poznali się dopiero dwa lata temu, po listopadowym pożarze u pani Arlety, mieszkającej na bydgoskim Wzgórzu Wolności, w dzielnicy Adama Jaworskiego. – Pocztą pantoflową doszła do mnie wiadomość o nieszczęściu pani Arlety, samotnej kobiety po sześćdziesiątce – wraca do początków współpracy 42-letni Adam Jaworski, prywatny przedsiębiorca, właściciel hurtowni opakowań ADAM-POL w Bydgoszczy, z zawodu ekonomista. – Poruszyło mnie, że po powrocie ze szpitala będzie siedziała w wypalonym, czarnym, śmierdzącym spalenizną mieszkaniu, bo nie może sobie pozwolić ani finansowo, ani fizycznie, ani psychicznie na remont. Poszedłem zaproponować pomoc. Była wycofana, z trudem nawiązywała kontakt. Tak się objawiała jej głęboka depresja.

Budowlanko, pomóż!

Jaworski szybko zrozumiał, że pani Arlecie najbardziej potrzeba szybkiego remontu mieszkania. Dlatego skontaktował się z dyrektorką bydgoskiego Zespołu Szkół Budowlanych. – Zaproponowałem – wspomina pan Adam – że ja załatwię pieniądze od sponsorów na materiały budowlane i meble, a uczniowie mogliby wykonać potrzebne prace w ramach praktyk zawodowych. Dyrektorka, której wychowankowie pomagali także w Borach Tucholskich, podchwyciła propozycję i skontaktowała mnie z nauczycielami zawodu. Tak się poznaliśmy i polubiliśmy z Kaziem Wrotkowskim, który w bydgoskiej budowlance uczy już przeszło 20 lat.

Szybko zmontowali ekipę uczniowską wspomaganą przez nauczycieli oraz wolontariuszy, m.in. z X Bydgoskiej Drużyny Harcerskiej „Zjawa". Malowali, szpachlowali, osadzali drzwi, zakładali panele, układali płytki w kuchni i łazience, instalowali zlewozmywak i umywalkę, lampy i sprzęt AGD. A Jaworski pozyskiwał kolejnych sponsorów. Castorama dała 2,5 tys. zł, pobliska parafia zebrała ok. 2,6 tys. zł. Przez Facebook Jaworski wytrwale zbierał nie tylko pieniądze, ale i meble.

Daliście mi tyle radości, aż do łez mnie bierze. I ryczę.

Pani Arleta przez długi czas bez słowa, bez uśmiechu otwierała drzwi, wpuszczała ekipę i wracała do osmalonego pokoju. Pierwszy raz nieznacznie uśmiechnęła się przed Bożym Narodzeniem, gdy remont był na ukończeniu. I z dnia na dzień ten uśmiech był coraz szerszy. A ona coraz bardziej zdumiona, że jej mieszkanie jednak pięknieje. I za nic nie musi płacić. Na koniec długo dziękowała

Adam Jaworski otrzymał wyróżnienie w konkursie „Stalowy Anioł" dla osób zasłużonych w działalności społecznej.

eprasa.pl 6f24944d35

całej ekipie, gorąco ściskała i nie kryła łez.

Łańcuszek potrzebujących

To pierwsze udane wspólne remontowanie zachęciło ich do dalszej współpracy. I już niebawem wymalowali pokój samotnemu, przeszło 80-letniemu panu Eugeniuszowi z bydgoskiego Miedzynia w czasie jego pobytu w szpitalu, a następnie także pokój ubogiemu panu Adamowi z trójką dzieci ze Wzgórza Wolności, na Bartodziejach wyremontowali i umeblowali mieszkanie Marcie pogrążonej w depresji, a potem spalone mieszkania kolejnych bydgoszczanek: 82-letniej babci Teresy i przeszło 70-letniej babci Rosity. W końcu – już razem – wrócili do Sośna, którego mieszkańcy ciągle nie ukończyli remontów po nawałnicy, i m.in. pomogli pani Jagódce. Wrotkowski: – Ta samotna kobieta urodziła się z zespołem alkoholowym, ma za sobą pobyt w domu dziecka i bardzo nieudane małżeństwo. Zanim dostała rozwód, mąż zdążył wynieść z domu większość mebli i sprzętów. Schorowana, po udarach, utrzymuje się z biedarenty (720 zł). Ale przez cały remont częstowała nas jedzeniem. Skromnym, zwyczajnym. Coś mnie tknęło, bo sama nigdy nic nie jadła. Zajrzałem do jej pustej lodówki i zrozumiałem, że daje nam wszystko, co ma. Już nic więcej nie zjedliśmy u pani Jagódki.

Wyremontowali jej łazienkę, toaletę i przedpokój. Łzy i wdzięczność pani Jagódki trudno opisać. W SMS-ie do pana Kazimierza napisała: „Daliście mi tyle radości, aż do łez mnie bierze. I ryczę. I nie mogę wytrzymać. Płaczę”.

W każdą akcję remontową angażuje się ok. 60 uczniów. Do samego Sośna przez 13 dni jeździło ponad stu przyszłych budowlańców. Rotacyjnie. Raz jedni, raz drudzy. – W sumie w 13 remontach uczestniczyło ponad 200 uczniów – oblicza Wrotkowski i zapewnia, że nie trzeba młodzieży namawiać.

– Bo pomaganie na wyjeździe jest fajne. Lepsze niż praktyki w przyszkolnych warsztatach. Nie trzeba się śpieszyć. I uczymy się wszystkiego, np. hydrauliki czy – ostatnio – układania płytek PCV – zapewnia Daniel z III m.

Kazimierz Wrotkowski został uhonorowany wyróżnieniem specjalnym XIII edycji Nagrody im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata”.

– I to, co zrobimy, zostaje, nie jest skuwane jak na warsztatach, no i poznajemy miłych ludzi – dopowiada Paweł, kolega z klasy.

Dzięki Wam

Niedawno zaczęli 14. pomocowy remont. I choć to pomaganie ma swoje blaski i cienie, chcą mówić tylko o blaskach. – Bo my chcemy promować dobro – przekonuje Adam Jaworski. A Kazimierz Wrotkowski przytakuje. Zaskakująco to brzmi w ustach przedsiębiorcy. – Po prostu staramy się zapomnieć o tym, co napisał ktoś w internecie, że za darmo pracują tylko frajerzy. A poza tym – odkąd pomagamy – płynie do nas ogromna fala wdzięczności, ciepła i wsparcia. To najważniejsze! – zapewnia Jaworski.

W marcu tego roku Jaworski z Wrotkowskim i 12 innymi osobami założyli Stowarzyszenie Dzięki Wam. – Bo to bardzo ułatwia pomaganie – tłumaczy Jaworski. Nadal on i Wrotkowski są kołem zamachowym tego zespołu. Pomocowy tandem wspierany jest mocno przez dyrektorkę bydgoskiego Zespołu Szkół Budowlanych Magdalenę Popielewską: – Bez Adama, bez stowarzyszenia szkoła pomagałaby nadal. Ale teraz już nie musimy załatwiać materiałów, sponsorów, co było dla szkoły – która przecież ma inne zadania – bardzo czasochłonne, obciążające – mówi. – Postawiliśmy tylko dwa warunki. Ponieważ bezpieczeństwo uczniów jest najważniejsze, domy, w których mają pracować, nie mogą grozić katastrofą budowlaną i muszą być puste. Bez mebli. A chętnych do pomagania nie brakuje. Ciągle mamy kolejkę. Od ponad dwóch lat jest dużo więcej zainteresowanych niż miejsc w ekipach pomagających. Wszyscy zachorowaliśmy na chorobę, która nazywa się pomoc.

Jaworski: – Pomaganie mam we krwi, bo choć pochodzę

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 6f24944d35

z niezamożnej rodziny, rodzice, od kiedy pamiętam, pomagali innym. I robią to do dziś. Oczywiście to wymaga energii i zabiera dużo czasu. Dlatego żona, jak to określiła, nie jest wielką fanką mojej działalności, więc staram się sporo robić przed południem, w czasie pracy. Żeby po południu móc poświęcić jak najwięcej czasu małżonce i czworgu dzieciom.

Pomaganie jest lepsze niż praktyki w przyszkolnych warsztatach. To, co zrobimy, zostaje, nie jest skuwane.

I tu się kłaniam moim pracownikom. Przejęli sporą część moich obowiązków. Dzięki temu mogę więcej czasu poświęcić stowarzyszeniu.

– Mam do Adama pełne zaufanie. Od samego początku. Wiem, że pomaga nie dla poklasku. Poza tym jest pogodny i ma podobny do mojego system wartości – wylicza Wrotkowski,

– Jest między nami dobre porozumienie, bo Kaziu to wesoły, chętny do pomocy facet. Uczniowie mu ufają, lgną do niego. Stwarza taką atmosferę, że sami się dopytują, czy mogą iść z nim na te nasze akcje pomocy i kiedy będą kolejne. Pedagog z powołania.

– Z panem Wrotkowskim na praktyce można od razu nauczyć się praktyki i teorii – zachwala Daniel. – Na wszystkie tematy można pogadać, ludzki, pracowity i można z nim się pośmiać. Chętnie pomaga. Nawet w prywatnych sprawach – wylicza Paweł.

Kuchenka w prezencie

– Obserwuję, jak te dzieciaki dzięki pomaganiu zmieniają się, stają się lepsze. Pokazują swoje dobre strony. I integrują się. No, choćby klasa III m. To nie były anioły, oj, nie były – śmieje się Wrotkowski. – A teraz szpachlują, malują te popalone mieszkania czy zniszczone huraganem domy i jeszcze – na własną rękę – załatwiają potrzebującym sprzęt AGD. Tak jak pani Jagódce z Sośna. Najpierw dowieźliśmy jej nowiutkie pralkę i lodówkę, które Daniel Szafrański, zwany Boczkiem, pozyskał dzięki szefowi firmy, w której pracuje. Teraz chłopak załatwia dla niej kuchenkę z piekarnikiem. A w dodatku, powoli – co nie jest dla mnie zaskoczeniem – tym nieaniołom zaczęło lepiej iść w szkole.

– Dzieciaki się otwierają i dzięki temu są wrażliwsze na to, co się dzieje w ich otoczeniu – dodaje Jaworski.

– Zyskują obie strony: ci, którym pomagamy, ale i pomagający – nie ma wątpliwości Wrotkowski. W dodatku okazuje się, że pomaganie jest zaraźliwe. Coraz więcej osób i firm zgłasza się do Stowarzyszenia Dzięki Wam, żeby remontować mieszkania osobom niezamożnym. Ostatnio grupa menedżerów. Chcą malować, tapetować. Tak jak nasze dzieciaki z budowlanki. Najchętniej jeszcze przed świętami.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

W bieżącym numerze także:

Tony Wood
Mianowani miliarderzy Rosji

Aneta Jerska
Kruchy pokój w Kolumbii

Agnieszka Zielińska
Przystanek Maroko

Jarosław Pietrzak
Filmowcy, PRL i neoliberalizm

Rafał Majka
Perspektywy radykalnej polityki socjalistycznej

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 6f24944d35

Z Galicji

Jan Widacki

Pisowska reforma sądownictwa

Spróbuję raz jeszcze wyjaśnić, na czym polega słynny Monteskiuszowski trójpodział władz na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Władza ustawodawcza to parlament, który stanowi prawo. Władza wykonawcza to rząd i podległa mu administracja, która ma działać w granicach wyznaczonych przez prawo uchwalone przez parlament i w sposób przez to prawo określony. Władza sądownicza to sądy i trybunały, które w sposób wolny, niezależny od władzy wykonawczej i jej aktualnej woli pilnują, by prawo było stosowane, zarówno przez organy państwa, jak i przez jego mieszkańców.

Państwo prawa (albo – jak stanowi nasza konstytucja – państwo prawne) tym się charakteryzuje, że prawo jest w nim przestrzegane przez wszystkie organy państwa, a za łamanie prawa, i przez te organy, i przez zwykłych ludzi, sądy wymierzają kary. Sądy wydają wyroki w imieniu państwa. Część to wyroki karne, większość zaś to wyroki, które rozstrzygają spory między organami państwa, między organami państwa a mieszkańcami, a także spory między podmiotami gospodarczymi lub między zwykłymi ludźmi. Ponieważ w niemałej części sporów rozstrzyganych przez sądy naprzeciw siebie stają obywatele i organy administracyjne państwa, arbitrem musi być właśnie ktoś trzeci. Nie może to być ktoś, kto sam jest organem administracji albo jest od tej administracji w jakiś sposób zależny. Gdyby władza sądownicza była w ręku władzy wykonawczej, ta ostatnia byłaby zupełnie bezkarna i stała ponad prawem, bo za niezgodne z prawem działania musiałaby się sama ukarać.

Ten trójpodział władz jest czymś oczywistym w zachodnich demokracjach i jest jednym z gwarantów demokracji.

W okresie PRL, wzorem Związku Radzieckiego i państw od ZSRR zależnych, zasadę trójpodziału władz odrzucono. Odrzucono w praktyce, a dyżurni teoretycy prawa (każda władza totalitarna ma takich) uzasadniali i rozpowszechniali wymyśloną w Moskwie zasadę „centralizmu socjalistycznego", czasem dla niepoznaki nazywanego „centralizmem demokratycznym". Zastąpiła ona zasadę trójpodziału władz, którą odrzucono, jako „burżuazyjny przeżytek".

„Centralizm socjalistyczny" był zasadą prostą i znakomicie nadawał się do „kupienia" przez „prosty lud" („ciemny lud", jak mawia klasyk pisowskiej propagandy, niejaki Jacek Kurski). Wolę mas pracujących miast i wsi wyrażała partia, a szczególnie jej kierownicze gremia. Także parlament, obsadzony przez nominatów partii rządzącej. Wszystkie organy państwa, zarówno organy rządowe, jak i cały wymiar sprawiedliwości, podlegały zatem upartyjnionemu Sejmowi. Bo przecież wszystkie te organy powinny realizować wolę mas pracujących miast i wsi, wyrażoną przez komitet centralny partii i przekazaną do wiadomości za pośrednictwem parlamentu i produkowanego przezeń prawa. Faktycznie oznaczało to rządy aparatu partyjnego. Ponieważ wymiar sprawiedliwości podlegał władzy politycznej (czyli temu aparatowi), najwyżsi funkcjonariusze reżimu stali ponad prawem.

Tym przetartym szlakiem podąża dziś PiS. Stosując identyczną logikę i odrobinę tylko zmieniając terminologię. Zamiast „ludu pracującego miast i wsi" mamy „suwerena", definiowanego czasem jako „Polki i Polacy". A ponieważ to z ich woli PiS sprawuje władzę, więc z ich woli i dla ich dobra podporządkowuje sobie wymiar sprawiedliwości. Uzasadnia to przewrotnie, że podporządkowuje wymiar sprawiedliwości... społeczeństwu, co więcej, oddaje go pod demokratyczną kontrolę. Sam pomysł utrzymania niezależności sądów, coś, co jest standardem w liberalnej demokracji, przewrotnie nazywa sędziokracją i przedstawia jako patologię. Podporządkowując wymiar sprawiedliwości władzy wykonawczej, faktycznie oddaje go pod kontrolę aparatu i funkcjonariuszy rządzącej partii, tym samym czyniąc ich bezkarnymi, stojącymi ponad prawem. Aby nie było, że mówię o rzeczach abstrakcyjnych, przypominam „ułaskawienia nieskazanych", wieże spółki Srebrna i kilka innych.

Zamiast „ludu pracującego miast i wsi" mamy „suwerena", definiowanego czasem jako „Polki i Polacy".

No to zatoczyliśmy wielkie koło, lądując poniekąd w punkcie wyjścia. Zainteresowanym polecam protokoły obrad stolika poświęconego wymiarowi sprawiedliwości przy Okrągłym Stole. W kontekście tego, co dziś się dzieje, nader ciekawa i pouczająca lektura.

Zaczynamy od początku? Kurczę blade, trochę jednak żal straconych 30 lat.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f24944d35

W NATO mamy trzech wichrzycieli

Polityka wewnętrzna Polski sprawia, że stajemy się coraz bardziej osamotnieni

Rozmawia Robert Walenciak

Czy Polska jest bezpieczna, skoro jesteśmy w sojuszu, który – jak mówi prezydent Francji – poniósł śmierć mózgową?

– Przychylam się do opinii, że pogłoski o śmierci NATO są przedwczesne. Niemniej jednak sytuacja nie jest dobra. Znaleźliśmy się w kryzysie struktur bezpieczeństwa. Podminowany został system bezpieczeństwa europejskiego. A w świecie zaburzona została równowaga z powodu wzrostu potęgi Chin i nieadekwatnej odpowiedzi na to ze strony Stanów Zjednoczonych, które nie potrafią wyjść z dylematu Tukidydesa, co zrobić, kiedy pojawia się nowy, prawie równorzędny partner lub przeciwnik. Stany Zjednoczone nie znalazły dobrej formuły, a sama osobowość prezydenta Trumpa jeszcze pogarsza sytuację. Dla każdego państwa małego i średniej wielkości, a taka jest Polska, dezintegracja systemu bezpieczeństwa stwarza poważne zagrożenie. Dezintegracja systemu wersalskiego skończyła się II wojną światową.

Upadek Układu Warszawskiego przyniósł wojny na Bałkanach i na obrzeżach dawnego ZSRR.

– Do tego prezydent Trump przyczynił się do poważnego kryzysu multilateralizmu, czyli współpracy wielostronnej państw i organizacji międzynarodowych, osłabił te organizacje. Z kolei polityka wewnętrzna Polski sprawia, że stajemy się coraz bardziej osamotnieni. Świat zachodni przestaje nas uważać za swoich. W związku z tym, chcąc nie chcąc, nieformalnie przesuwamy się do szarej strefy. Zwiększając niebezpieczeństwo wchłonięcia nas z biegiem czasu przez najbliższe mocarstwo, czyli Rosję.

Jakiego wchłonięcia?

– W takim sensie, że możemy zostać wessani do rosyjskiej strefy wpływów. W Polsce pomijany jest ten aspekt psychologiczny, że Zachód przestaje nas postrzegać jako swoich. A to ma ogromne znaczenie. Wyobraźmy sobie – gdyby doszło do jakiejś agresji np. na Szwecję, to wiadomo, jak świat by reagował. A na Polskę? Reakcja byłaby inna. Skoro tu się dzieją te różne rzeczy, które opinia publiczna na Zachodzie ocenia bardzo negatywnie… Skoro to jest taki trochę inny kraj…

DR HAB. JERZY MARIA NOWAK
– dyplomata, w MSZ przepracował 50 lat, m.in. były ambasador RP przy NATO. Obecnie profesor Uczelni Vistula

W Europie nasila się przekonanie, że Polska nie jest Europą? Po czym to poznać?

– Dobrych badań tu nie ma. Ale każdy dyplomata z rozmów, z rozłożenia akcentów wie, że nas już się nie traktuje jako zupełnie swoich. Kogo tu bronić? Nie wiadomo, z kim ci Polacy pójdą, w jakim kierunku, jaki wywiną numer. To się wyczuwa. Myślę zresztą, że przyjdą niedługo duże badania, które pokażą przesunięcie w opinii publicznej. I że Polska będzie coraz mocniej odsuwana na bok. Na to nakłada się kryzys Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Więc jednak!

– NATO znajduje się w trudnej sytuacji, choć nie oznacza to w tej chwili jakiejś jego szybkiej śmierci czy niebezpieczeństwa rozwiązania. Ale stopień nieprzewidywalności jest duży. W NATO mamy dziś trzech wichrzycieli. Pierwszy – Trump, który podważał swoimi oświadczeniami art. 5. Choć trzeba mu przyznać, że w jednej rzeczy ma rację – kraje europejskie powinny więcej dokładać do finansów na obronę. Drugim wichrzycielem jest prezydent Francji Emmanuel Macron. On z kolei bez konsultacji z sojusznikami zaczyna zmieniać politykę NATO…

Choćby wobec Rosji.

– I kwestionuje politykę tzw. dwutorowości, która polega na powstrzymywaniu agresywnych poczynań ze strony Federacji Rosyjskiej, ale również na próbach negocjacji, ustanowienia jakiegoś partnerstwa, na warunkach zgodnych z prawem międzynarodowym i porozumieniem NATO-Rosja z 2002 r. No i trzeci wichrzyciel – prezydent Turcji Erdoğan, który wprowadził metodę wzajemnego szantażu w kwestii bezpieczeństwa.

Na szczycie NATO w Londynie.

– Oczywiście Turcja ma prawo domagać się, żeby jej interesy dotyczące bezpieczeństwa były uwzględniane. Ale powinniśmy szczerze sobie powiedzieć, że nie są one całkowicie obronne. Chodzi o stosunek do Kurdów, do Syrii. Turcy wyszli poza swoje granice.

I żądają, by państwa NATO ich poparły.

– Szantażują kraje Europy Środkowo-Wschodniej, że jeśli nie zostaną uwzględnione tureckie interesy, to nie dopuszczą do zabezpieczenia interesów obrony Europy Środkowo-Wschodniej. O co tutaj chodzi?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6f24944d35

Chodzi o pracę nad tzw. planami ewentualnościowymi na wypadek zagrożenia i agresji. W skrócie, gdyby np. w przypadku Polski doszło do uznania, że stosujemy art. 5, to na podstawie tych planów wiadomo, że tyle a tyle eskadr stacjonujących w Rammstein w Niemczech w ciągu tylu a tylu dni leci do Polski. Dywizje, powiedzmy, niemieckie czy holenderska, brytyjska w takich a takich odstępach czasu są do Polski wysyłane. Amerykanie rozpoczynają przerzut swoich sił, co wymaga przynajmniej trzech miesięcy. Bo te, które są w Europie, oczywiście zostaną uruchomione szybciej… Tak ogólnie wyglądają te plany.

I Turcja chciała je zablokować, postawić weto. Ale w końcu się wycofała.

– Nasza obecna władza twierdzi, że prezydent Duda odegrał wspaniałą rolę, dogadał się z prezydentem Erdoğanem. Tymczasem kilka dni później minister spraw zagranicznych Turcji powiedział: „My w niczym się nie dogadaliśmy". I dał do zrozumienia, że prezydent Duda powiedział Erdoğanowi, że Polska uwzględni interesy bezpieczeństwa Turcji. To takie ogólne zdanie, ale diabeł tkwi w szczegółach. Turcy teraz mówią: „Proszę bardzo, powiedzcie, na czym to polega, że wy uwzględnicie? Bo my wam powiemy, na czym polega nasz interes bezpieczeństwa".

I powiedzą?

– Dyplomacja turecka nawiązuje jeszcze do wzorców Porty Otomańskiej, ma tradycję bycia bardzo trudnym negocjatorem, wytrwałym, często dążącym do zamęczenia partnera. I uważam, że nasza dyplomacja nie bardzo potrafiła dać sobie radę z takim typem rokowań i negocjacji.

Dlaczego Macron jest wichrzycielem?

– W jego polityce nastąpiły zmiany. Pierwsza polega na tym, żeby pogodzić się z tym, że USA odchodzą z Europy, i bez Stanów Zjednoczonych budować bezpieczeństwo pod egidą Paryża i z francuskim przywództwem. Ani siły, ani możliwości za bardzo tu nie widzę, ale… Druga zmiana dotyczy traktowania Rosji. Że prędzej czy później będzie konflikt z Chinami, więc lepiej mieć ją po naszej stronie. Takie są również tradycje francuskiej dyplomacji, że Rosja to ważny partner europejski i trzeba ją mieć blisko. To wchodzi w kolizję z naszą polityką.

A co na to nasza polityka? Co na to Polska?

– Jeśli chcemy parę słów optymizmu, to warto podkreślić, że w dziedzinie bezpieczeństwa wojskowego nasza sytuacja nie jest zła. Wzmocnienie wschodniej flanki postępuje, jest ono symboliczne, ale wystarczające. Te 5 tys. amerykańskich żołnierzy nie byłoby dla Rosjan problemem, ale też Rosja nie szykuje się do inwazji na NATO. Jej chodzi raczej o to, żeby zastraszać, wymuszać. Tymczasem u nas Rosję traktuje się jednowymiarowo, jako jedyne zagrożenie. W związku z tym postępuje militaryzacja polskiej polityki w stosunku do Rosji, co nie jest zdrowym zjawiskiem i nawet nie odpowiada natowskiej linii dwutorowej polityki. Błędem także jest to, że jeśli chodzi o nasze bezpieczeństwo, opieramy się właściwie tylko na Stanach Zjednoczonych i jedynie pośrednio na NATO. To dość duży błąd, bo gdyby coś się działo, np. jakieś porozumienie USA-Rosja...

To możliwe?

– Nieprzewidywalny jest rozwój stosunków USA-Chiny. I rola Rosji. Jeżeli dojdzie do jakichś zaburzeń, USA mogą szybko zrobić reset z Moskwą. I co wtedy będziemy mówić?

Sprawa Kurdów pokazała, jak Ameryka może potraktować sojuszników.

– Taki reset jest więc możliwy teoretycznie i praktycznie. A my nie mamy wtedy zabezpieczenia. Co to dla Stanów Zjednoczonych wycofać 5 tys. wojska? Dlatego liczyć jedynie na to, że USA nie będą chciały zaburzyć równowagi militarnej z Rosją – to słabiutki argument.

Dziś rządzący robią wszystko, żeby Polska była w oczach Ameryki ważniejsza. Chcą płacić za stacjonowanie żołnierzy, idą na ustępstwa w handlu…

– Stosunek Polski do USA określany jest na Zachodzie jako „strategiczna służebność", w odróżnieniu od francuskiej koncepcji „samodzielności od USA" i niemieckiej polityki „strategicznej cierpliwości", tzn. oczekiwania na odejście Trumpa.

Dlaczego Donald Trump rozluźnia więzi atlantyckie?

– Myślę, że w jego rozumowaniu, które charakteryzuje się tzw. podejściem transakcyjnym, główną rolę odgrywają interesy gospodarcze. On chce uzyskiwać korzyści finansowe. A prawdziwym konkurentem USA w dziedzinie gospodarczej jest jednak Unia Europejska. Na NATO Trump patrzy przede wszystkim jak na pożeracza pieniędzy. To bardzo ograniczone, prymitywne wręcz spojrzenie, ale musimy się z nim liczyć.

Mówił pan, że Trump ma rację, gdy głosi, że kraje europejskie powinny więcej dokładać do finansów na obronę. Dlaczego Europa nie potrafi przekazywać tych 2% PKB na obronność?

– Wydaje mi się, że zachodni Europejczycy ciągle nie mogą pozbyć się myśli o tym, co wydawało im się największym bonusem w zakończeniu zimnej wojny – że mogą teraz cieszyć się mniejszymi wydatkami na obronę. Wciąż uważają, że nic strasznego na świecie się nie dzieje, więc po cholerę wydawać na wojsko. Utrzymywać je, owszem, żeby formalnie istniało. Ale tylko tyle. Dopiero jakieś nieszczęście może spowodować przełom w tego typu rozumowaniu.

A Rosji potrzebne są siły zbrojne, bo nie ma innych argumentów.

– Nie ma, więc silna armia jest jej potrzebna jako element nacisku, odbudowywania pozycji. Żeby wyjść ze statusu mocarstwa i powrócić do statusu supermocarstwa, jak za radzieckich czasów.

I rywalizować z NATO?

– W takim uproszczonym pojęciu NATO jest militarnie trzy razy silniejsze od Federacji Rosyjskiej. Teoretycznie nie byłoby więc problemu, gdyby nie to, że na flance wschodniej trzy albo cztery razy silniejsza jest

Stosunek Polski do USA określany jest na Zachodzie jako „strategiczna służebność".

Amerykanie zawsze mogą swoje wojsko wycofać – i koniec.

eprasa.pl 6f24944d35

Federacja Rosyjska. Bo na granicy tzw. dystryktu leningradzkiego (ciągle jeszcze nie petersburskiego) stoi doborowa gwardia dywizji liczących 350 tys. żołnierzy, które są wspaniale przygotowane, zdolne do szybkiego przerzutu i mają ogromne zdolności bojowe. Dla nich zajęcie Europy Środkowo-Wschodniej nie byłoby problemem. Ta sytuacja jest odczytywana w Europie, i słusznie, jako zagrożenie. Chociaż można wątpić, czy Rosjanie rzeczywiście chcieliby jakiejś generalnej inwazji w kierunku zachodnim. I Europa Zachodnia tak uważa.

Uznawano, że znamy się na Wschodzie?

– A teraz uważają, że my jesteśmy przeszkodą, zwłaszcza w stosunkach z Rosją.

Krok po kroku nastąpiła absolutna zmiana.

– A był moment, kiedy zbliżaliśmy się do statusu takiego państwa nordyckiego, północnego, ważnego partnera w Unii. Tymczasem teraz znowu jesteśmy jakby wrzucani do tej szarej strefy. Minister Błaszczak cały czas deklaruje, że Polska się wzmocniła, że jesteśmy czołowym państwem NATO itd. No, niestety! Jesteśmy ciągle znaczącym krajem, bo jesteśmy strategicznie ważni, ale w NATO, wewnątrz, w systemie podejmowania decyzji, nie odgrywamy większej roli. Bo ludzie z ważniejszych stanowisk zostali wyeliminowani. Wśród pięciu zastępców sekretarza generalnego NATO bardzo już długo nie ma żadnego Polaka. Nie ma żadnego szefa ważniejszych komitetów, w tym wojskowego. Nie najlepiej to wygląda, jeśli chodzi o stanowiska wyższe w ramach Mons. Jest kilka takich pozycji, ale nie wpływowych. W związku z tym nie jesteśmy w gremiach ściśle decyzyjnych.

W NATO nie odgrywamy większej roli w systemie podejmowania decyzji. Wśród pięciu zastępców sekretarza generalnego nie ma żadnego Polaka.

A my?

– My, żyjąc w cieniu Rosji, uważamy, że nie można spraw bezpieczeństwa lekceważyć. My te wszystkie pomruki doskonale odczuwamy. Do tego dochodzi kwestia białoruska, w której nasza dyplomacja nie wykazuje się umiejętnością wykorzystania pewnych ambicji ochrony suwerenności ze strony Łukaszenki. Nie potrafimy w to się włączyć. Wykazaliśmy się też kompletną niemocą w sprawie Ukrainy. Zupełnie nie liczymy się w rozwoju strategicznej pozycji Ukrainy w Europie.

Jeszcze niedawno się liczyliśmy.

– Kiedyś tak. Do tego obserwujemy upadek naszych ambicji – cztery lata temu roztaczano wizję, że będziemy przewodzić jakiemuś Międzymorzu. To było nierealne, dziś już wiadomo, że to była fantazja.

Nawet Wyszehrad okazuje się bytem nieistniejącym.

– Nie umieliśmy w Europie Środkowej znaleźć uznania dla naszego przywództwa. Wpłynął na to rozwój naszej sytuacji wewnętrznej. I problem się pogłębia. Projekt ustawy o sądach to bardzo niedobry sygnał – że oddalamy się od Europy i jej wartości. W tej sytuacji Polska jest osamotniona. Takiego osamotnienia nie pamiętam.

Za czasów pana służby dyplomatycznej Polska była uważana za część struktury Zachodu.

– Była postrzegana jako państwo, które będzie partnerem w rozszerzaniu strefy bezpieczeństwa na Wschodzie. Na Ukrainę i na inne kraje.

A nie będą mieli pokusy zahandlować Polską?

– To by było trudne. Raczej więc będzie tak, że powolutku pewne rzeczy będą się przesuwały. Bo tak się działa w dyplomacji – powoli, a nie agresywnie.

I określone działania, procesy można zauważyć dopiero z perspektywy lat.

– Jeżeli więc na bezpieczeństwo Polski spojrzymy ogólnie, to pesymistyczne procesy przeważają nad dobrymi. Dobre to wzmocnienie flanki wschodniej, ale długofalowo – nie jesteśmy zabezpieczeni. Bo Amerykanie zawsze mogą swoje wojsko wycofać – i koniec.

A Niemcy nie będą chcieli bronić swojej strefy gospodarczej, której Polska stała się częścią?

– Nie militarnie. To jest problem! Niemcom oczywiście zależy, żeby Polskę utrzymać w swojej strefie wpływów, mimo antyniemieckiej, wojowniczej retoryki z naszej strony. Ale nie będą działać, bo uważają, że w sumie to jednak Rosja jest dla nich ważniejsza.

Przecież Niemcy mają z Polską prawie dwukrotnie większą wymianę handlową niż z Rosją. W roku 2018 wynosiła ona 118 mld euro, a z Rosją – 62 mld euro.

– Mimo to Rosja jest ważniejsza! W ich rozumowaniu. Państwa Europy Wschodniej są przez nich lekceważone, ale Rosja – nie. Bo im ciągle gdzieś siedzi w umysłach taka idea: będziemy cywilizować Rosję! Syberię! I wykorzystywać rosyjskie surowce. Dla nas. To jest nasza przyszłość itd.

U nas Rosję traktuje się jako jedyne zagrożenie. W związku z tym postępuje militaryzacja polskiej polityki w stosunku do Rosji.

Jakie Polska ma w tej chwili pole manewru?

– Weszliśmy w taki tunel, że w gruncie rzeczy poza Stanami Zjednoczonymi nie mamy manewru! A wpływu na politykę USA też nie mamy! Sytuacja nie jest więc dobra. Gdyby coś się zmieniło w świecie i działania Rosji w Europie nabrały nowej dynamiki, to jesteśmy osamotnieni. Bo według mnie interesy bezpieczeństwa Polski i Stanów Zjednoczonych zaczynają się rozchodzić. W myśleniu amerykańskim najważniejsze będą Pacyfik, Chiny. A wtedy rosnąć będzie potrzeba sojuszu z Rosją, znaczenie Polski w polityce amerykańskiej będzie się obniżać.

To są marzenia!

– Te marzenia są stałą częścią niemieckiego spojrzenia na Wschód. Znaleźliśmy się w czarnej dziurze i w tej chwili nie ma z niej wyjścia. Sytuacja jest dynamiczna, będzie się zmieniać. Ale w tej chwili nie można przewidzieć, co się stanie, więc tylko przytoczę odpowiedź brytyjskiego premiera Harolda Macmillana na pytanie, czego boi się najbardziej: *Events, my Dear, events…* Tego, co jest nie do przewidzenia.

Robert Walenciak

eprasa.pl 6f24944d35

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Na pohybel sowie Minerwy

Każda epoka lubi się dopieścić swoją wyjątkowością – czy to monumentalizmem i radykalizmem przemian, czy powszechnie doświadczanym kryzysem lub łagodnym spokojem. Każda i ma rację, i jej nie ma. Domykamy, zawężamy kręgi problemów i przestrzeni, o których możemy mieć jakie takie wyobrażenie, że je rozumiemy, ogarniamy, potrafimy w nich z umiarkowanym sukcesem się poruszać.

Projekty uniwersalne, wszechogarniające, opierające się na przekonaniu, że wszyscy jesteśmy ludźmi i mamy w związku z tym identyczne prawa i przywileje, giną w oparach cyfrowej, niewidzialnej władzy nie wiadomo kogo. Władza ta bowiem, jak dzisiejsze relacje, ma postać wielowymiarowej sieci pajęczynowych połączeń. Niekiedy w opowieści oswajającej ten potworny obraz pojawia się przyswojona figura despoty – współczesnego, jak Erdoğan, Putin, Trump, czy dawnego, jak Hitler, Stalin, Mao, Pinochet. Niekiedy nawet przemknie nam przed oczyma jakaś figurka bohaterska, samotna, choć lubiana – wspomnijmy o Grecie Thunberg i jej nastoletnim krzyku klimatycznej rozpaczy. Wszystko to dekoracje czegoś, co kompletnie wymknęło się nam spod kontroli, spod władzy spójnej opowieści, co uciekło naszej (ludzkiej) największej dumie – rozumowi.

Rozum jest *passé*, nie łączymy go z tym, co jest, a co się kruszy – choćby światem bez wojen o wymiarze globalnym, z użyciem broni masowej zagłady. Czytałem ostatnio z grupą 20-latków „Hiroszimę" Johna Herseya, reportaż z 1946 r., drukowany wówczas w „New Yorkerze" w tajemnicy i z obawą, że nakład zostanie zatrzymany przez cenzurę wojskową. Pedantycznie odtworzone szczegóły ostatnich chwil przed wybuchem oraz sytuacji kilka dni po tej masakrze i zbrodni wojennej porażają okrucieństwem i cierpieniem tych, którzy przeżyli lub którzy umierali. Ta niezwykła książka, tłumaczona na dziesiątki języków, w milionach egzemplarzy obiegła świat i ukształtowała na dziesięciolecia przekonanie, że nie stać nas na powtórkę takiej konfrontacji. Grupa młodych czytelników podzieliła się swoim odczytaniem, że nie bardzo robi to na nich wrażenie, bo mają tak wszechobecny kontakt z kulturą obrazów przemocy w mediach i internecie, że jest to jeden z niezauważalnych epizodów, pozbawiony w ich odczuciu jakiejś wyróżniającej go wyjątkowości.

Zagłada klimatyczna nie nadchodzi tak widowiskowo. Wymagałoby zaufania nauce i wielkiego wspólnego czynu, żeby planeta ocalała. Nie zanosi się na to. Nasze kurczące się kręgi nacjonalistycznych egoizmów, powszechne kłamstwa (Morawiecki po negocjacjach w sprawie osiągnięcia neutralności klimatycznej przez Europę), nasza obojętność, brak zrozumienia wagi problemu (Duda, który podczas polskiej prezydencji na szczycie klimatycznym ONZ zamiast być właśnie tam, idzie na panel Trumpa o religii i czekając na spóźnionego Donalda, wgapia się w smartfon) stawiają pod znakiem zapytania całą naszą przyszłość, nie tylko jej jakość.

Kosmos – wiemy, że za duży na nasze głowy, że z jego perspektywy nie istniejemy albo co najwyżej istniejemy całkowicie nieznacząco i nic nie wskazuje, żeby miało to się zmienić.

Świat – jest tak niejednorodny, że oprócz ogólnej konstatacji, że się rodzimy, chwilę żyjemy i niechybnie umieramy, niewiele więcej da się powiedzieć, bo niesprowadzalne do wspólnego mianownika są żywoty ludzi o skrajnych statusach materialnych, kulturowych, zawodowych i płciowych z najodleglejszych, choć czasami geograficznie bliskich, zakątków. Naszą wyobraźnię i rozumienie (och, jak bardzo przeszacowana to wartość) świata organizowały religie, nauka, hierarchie władzy, w tym patriarchalna dominacja. No i bieda powszechna, światowa, która – choć mamy dzisiaj moce, żeby odebrać jej wszechwładzę – abdykować ani myśli. Kapitalizm by zubożał, gdyby odebrać mu najpotężniejszy instynkt nowoczesności – nie do powstrzymania i skontrolowania – chciwość, obudowaną regulacjami, prawem pilnowanym przez armie i policje.

Europa jako pokojowy, do emerytalnego skonsumowania, projekt nawróconego pirata i wielosetletniego rzezimieszka łupiącego resztę świata, rozpływa się w chaosie, nerwobólach i własnej, do szczętu zbiurokratyzowanej obojętności.

A teraz będą tradycyjne choinki, potrawy, życzenia, festiwal ludzkiej, polskiej głupoty, z którego nie wolno szydzić, bo tak chce lud. I władza przez lud wybrana. Na pohybel ci, sowo Minerwy.

Wszystkiego najlepszego przy wigilijnych, katolickich czy ateistycznych, stołach.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f24944d35

Na Górę Oliwną jak na Kasprowy

Spór o kolejkę linową w Jerozolimie

Tomasz Skowronek

Ruch drogowy w Jerozolimie zawsze był problemem. Stolica Izraela, z prawie milionem mieszkańców, jest celem podróży dla setek tysięcy turystów i pielgrzymów. W 2018 r. do świętego miasta trzech religii monoteistycznych przybyło ok. 3,5 mln turystów. Stąd ogromne korki i zatłoczenie. Aby poradzić sobie z tym problemem, izraelskie władze postanowiły wybudować w Jerozolimie kolejkę linową.

72 kabiny nad miastem

Z pomysłem wielkie nadzieje wiązał były minister turystyki Jariw Lewin. Jak przekonywał opinię publiczną, kolejka nie tylko umożliwi wygodniejszy dojazd turystom i pielgrzymom zmierzającym pod Ścianę Płaczu, ale też sama w sobie będzie atrakcją. Projekt został zatwierdzony przez Komisję ds. Planowania, Budowy i Mieszkalnictwa, a Ministerstwo Turystyki nadało mu priorytet krajowy. To kategoria zwykle zarezerwowana dla szczególnie ważnych projektów infrastrukturalnych i drogowych. Pozwala pominąć czasochłonne komitety planistyczne.

Pomysłodawcy kolejki po dokładnym zbadaniu różnych rozwiązań uważają, że okaże się ona najwydajniejszym, najszybszym i najtańszym rozwiązaniem. Zapewniają, że od momentu otrzymania niezbędnych pozwoleń możliwe będzie ukończenie budowy w ciągu 15 miesięcy, kosztem 220 mln szekli (ok. 240 mln zł). „To strategiczny projekt promujący turystykę na Starym Mieście. Krok po kroku przekształcamy wizję w rzeczywistość", przekonuje minister ds. Jerozolimy i dziedzictwa narodowego Ze'ew Elkin.

Kolejka linowa ma przewozić do 3 tys. osób na godzinę w 72 kabinach na trasie o długości 1,4 km. Połączy zachodnią część Jerozolimy z Górą Oliwną we wschodniej, okupowanej części miasta, a następnie dotrze do Bramy Gnojnej. Rząd twierdzi, że projekt zmniejszy natężenie ruchu drogowego. Plan uruchomienia kolejki wywołuje jednak krytykę z wielu stron.

Jerozolima to nie Disneyland

W lewicowo-liberalnym dzienniku „Ha-Arec" 70 przedstawicieli kultury, nauki, archeologii i architektury – wśród nich laureaci Nagrody Izraela, archeolodzy prof. Amihai Mazar, prof. Amnon Ben-Tor i prof. Benjamin Kedar, oraz były szef izraelskiego Urzędu ds. Starożytności, a także światowej sławy architekt, Mosze Safdie, który zaprojektował muzeum Jad wa-Szem – złożyło petycję przeciwko budowie kolejki. Protest argumentują tym, że „Jerozolima nie jest Disneylandem, a jej skarby widokowe i zabytki nie są przedmiotem negocjacji". Realizacja projektu „odbierze Jerozolimie status miasta światowego" i zmniejszy jej wartość jako światowego dziedzictwa.

Przedstawiciele Emek Shaveh, izraelskiej organizacji pozarządowej działającej na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego, którzy złożyli protest do Sądu Najwyższego, ostrzegają, że kolejka zmieni panoramę Starego Miasta – miejsca z listy światowego dziedzictwa UNESCO – i będzie niekorzystnie oddziaływać na życie palestyńskiej dzielnicy Silwan na obrzeżach Starego Miasta.

Dyrektor generalny organizacji Jonathan Mizrahi zauważa, że tak istotnego projektu nie powinien zatwierdzać rząd przejściowy. Po ostatnich wyborach bowiem rządzący Likud nie utworzył gabinetu, nie utworzyła go też opozycja. W marcu odbędą się trzecie wybory w ciągu roku. Póki nie powstanie nowy rząd, Netanjahu pełni funkcję premiera przejściowego. „Apel do Sądu Najwyższego ma na celu zapobieżenie niszczycielskiemu wpływowi kolejki linowej na krajobraz Starego Miasta i kruchą sytuację polityczną w Jerozolimie – pisze w oświadczeniu Mizrahi. – Rząd nie był w stanie znaleźć pieniędzy dla niepełnosprawnych, ale udało mu się zatwierdzić budżet w wysokości 220 mln szekli na przedsięwzięcie turystyczne. Chyba nie takie priorytety powinna mieć władza".

Organizacje lewicowe twierdzą, że celem budowy kolejki jest wzmocnienie kontroli Izraela nad Starym Miastem.

Jako absurdalny pomysł budowy kolejki określa architekt Mosze Safdie: „Moim głównym zastrzeżeniem jest to, że rozwiązanie byłoby okropne pod względem estetycznym, i to nie tylko dla Starego Miasta. Kolejki linowe są w różnych miejscach, ale nie buduje się ich przecież nad zabytkową Florencją, Kordobą ani żadnym innym historycznym miastem".

Kabiny kilka metrów nad domami

Organizacje lewicowe twierdzą, że projekt jest motywowany politycznie, przede wszystkim w celu wzmocnienia kontroli Izraela nad

eprasa.pl 6f24944d35

W 2018 r. Jerozolimę odwiedziło 3,5 mln turystów. Ściana Płaczu jest obowiązkowym punktem zwiedzania.

Starym Miastem. Ma też przynieść korzyści ELAD, nacjonalistycznej religijnej organizacji pozarządowej, która odgrywa ważną rolę w wielu kontrowersyjnych inicjatywach w Jerozolimie. ELAD zarządza parkiem archeologicznym Miasto Dawida, kontroluje stanowiska archeologiczne i turystyczne w dzielnicy Silwan, a także tunele rozpoczynające się lub kończące pod Ścianą Płaczu. Buduje również osiedla żydowskie w sąsiedztwie. Organizacja ta nie ukrywa swojego celu, a jest nim m.in. stworzenie żydowskiej większości w arabskich dzielnicach Wschodniej Jerozolimy i odnowienie społeczności żydowskiej w Mieście Dawida. Końcowa stacja kolejki linowej przy Bramie Gnojnej zostanie zbudowana właśnie nad budynkiem należącym do ELAD.

Sprzeciw wobec projektu zgłaszają także Autonomia Palestyńska i rząd Jordanii. Aviv Tatarsky z Ir Amim, organizacji pozarządowej badającej konflikt izraelsko-palestyński, uważa, że kolejka nie jest odpowiedzią na duży ruch, ma natomiast charakter polityczny. „Chodzi o to, aby jeszcze mocniej zaznaczyć żydowską obecność w dzielnicy Silwan pod pretekstem rozwoju ruchu turystycznego", powiedział.

Kilka palestyńskich rodzin, które mieszkają tam od pokoleń, już zostało eksmitowanych, aby władze mogły stworzyć park archeologiczny i przyjąć żydowskich osadników. Według „Ha-Arec" rząd Izraela ściśle współpracuje z prawicową organizacją osadniczą Ateret Cohanim, aby eksmitować Palestyńczyków.

Organizacje niechętne planom budowy uważają, że to Palestyńczycy w dzielnicy Silwan poniosą największe koszty operacji: kabiny będą nieprzerwanie krążyć kilka metrów nad ich domami. Do tego dojdzie wywłaszczenie gruntów w celu postawienia elementów konstrukcji.

Mała żydowska sekta karaimska również zgłosiła swój sprzeciw, ponieważ trasa kolejki przechodzi przez starożytne miejsca pochówku i grozi zbezczeszczeniem zmarłych.

Kupcy zostaną na dole

Przeciwnicy wskazują też kolejną wadę planu: turyści będą podróżować nad głowami kupców, którzy prowadzą działalność wzdłuż dróg dojazdowych do świętych miejsc. Ilu wybierze się na spacer po arabskich dzielnicach? Brak klientów będzie miał istotny wpływ na sytuację materialną Palestyńczyków w arabskiej części miasta. „Cały mój dochód opiera się na turystach – mówi Mohammed Fatah, właściciel sklepu z pamiątkami w chrześcijańskiej dzielnicy Starego Miasta. – Jeśli będzie kolejka linowa, turyści zaczną nas omijać, a sklepy będą świecić pustkami".

Z Mohammedem zgadza się jego przyjaciel Rami, który pracuje w piekarni: „Mieszkam w dzielnicy muzułmańskiej. Wydostanie się z miasta zajmuje mi co najmniej pół godziny, ale nigdy nie skorzystam z kolejki linowej, bo jest powiązana z radykalną żydowską prawicą".

Mamoun Abu Amer, ekspert ds. Izraela i wykładowca na Ummah Open University w Strefie Gazy, powiedział redakcji „Al-Monitor", że „kolejka linowa będzie miała katastrofalne skutki dla społeczności arabskiej we Wschodniej Jerozolimie". Zaznaczył, że już teraz w arabskich dzielnicach pojawia się więcej patroli policji lub wojska, które mogą kontrolować mieszkańców – oficjalnie, aby ochraniać żydowskich osadników mieszkających w tych dzielnicach. Przypomniał, że projekt wpłynie na sektor gospodarczy i turystyczny miasta. Argumentował, że rząd Izraela kierowany przez Likud stara się zdobyć dodatkowe głosy przed wyborami. „Budowa kolejki linowej spowoduje, że Izrael zwiększy kontrolę nad Starym Miastem pod pretekstem zapewnienia bezpieczeństwa osadnikom. Może także nałożyć dodatkowe środki bezpieczeństwa na mieszkańców", twierdził. A to wszystko może tylko zwiększyć napięcie w już i tak podzielonym mieście. ■

Wyślij SMS o treści ZOSIA

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

Konie. XXI wiek. Z cudownych zwierząt, które trwale zapisały się w annałach historii, zrobiliśmy surowiec jak drewno czy siarka.
Kiedyś Kasztankę dosiadał Marszałek, a po jego śmierci szła w orszaku za trumną. Dziś jej potomkinie gniją w ciemnych, obskurnych komórkach, bez szacunku, bez prawa do życia. Skazane na śmierć jeszcze przed urodzeniem, bo przychodzą na świat tylko po to, by zostać zabite.
Daliśmy jej na imię Zosia. By miała cokolwiek. By była kimś, a nie tylko kawałkiem mięsa.
Zosia ma piękną, miękką, rudą sierść. Ma łysinę na głowie, ma też wielką ranę na nodze. Podobno weszła na gwóźdź, a potem przestała stawać na nodze. Zrobił się obrzęk, z dziury lała się ropa i zrobiła się martwica. Weterynarz oczyścił ranę kilka razy, podał leki i wysłał na rzeź. Dziś czeka na wypełnienie swojego przeznaczenia.
Zosia smutno zwiesza głowę. Może wspomina czas, gdy noga jej nie bolała? A może marzy, że wraz z wigilijną pierwszą gwiazdką i do niej przybędzie Święty Mikołaj, pogłaszcze po szyi, spojrzy w oczy, zerwie sznurek, otworzy drzwi obory i klepnie zamaszyście zosiowy zad, każąc jej gonić wiatr. I z uśmiechem doda, że chora noga była złym snem, niczym więcej. Zdrowa Zosia pogna ile sił w mocnych nogach. Spod jej kopyt będzie sypał skrzący się śnieg. I tylko przez myśl jej przemknie, co to za dziwny był sen...
Uderzenie skobla wytrąca nas z zamyślenia. Właśnie zatrzasnęły się drzwi zosiowej obory. Noga dalej jest chora i boli, wyrok śmierci czeka na wykonanie.
Mikołaj dziś nie przybył, nie obrócił zosiowego koszmaru w pył. Nie zmienił przeznaczenia. Niebawem przyjdzie Zosi spojrzeć śmierci w oczy.
Jesteście tylko Wy, jej jedyna nadzieja. Jeśli życie Zosi jest dla Ciebie warte cokolwiek, jeśli jest ona dla Ciebie czymś więcej niż jeszcze żywym mięsem, prosimy wesprzyj jej ratowanie. Pomóż podarować jej te najcenniejsze z prezentów, życie i zdrowie.
Cena jej życia to 7900 zł. Zosia jest młoda, ma raptem 3 lata. To jeszcze dziecko, ale dużo waży. Mamy czas do 5 stycznia, by zapłacić za jej życie. Potrzebne są też środki na transport i leczenie. Prosimy, stań się dziś dla niej Świętym Mikołajem.
Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem ZOSIA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 6f24944d35

Konrad Szelest

Mosty szpiegów

Jak wymieniano schwytanych agentów

Kiedy w 2015 r. na ekrany kin wszedł dreszczowiec Stevena Spielberga „Most szpiegów", tematyka wymiany szpiegów między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim z miejsca zainteresowała szeroką publiczność. Po pierwsze, jeden z najsłynniejszych twórców w historii kina sięgnął po inspirujący zimnowojenny wątek, a po drugie, wydarzenia z tamtych czasów są po prostu ciekawe i zagadkowe. Tajne operacje, wywiadowcze podstępy, ale również demaskowanie podwójnych agentów to kwintesencja gry wywiadowczej prowadzonej w podzielonej żelazną kurtyną Europie.

Film Spielberga opowiada historię Williama Gienrichowicza Fishera, którego ostatnią szpiegowską tożsamością był Rudolf Abel. Od 1948 r. działał w USA, szefował m.in. siatce agentów infiltrujących tamtejsze instytucje państwowe. Wpadł przez nieudolność pomocnika, Reina Häyhänena. Zatrzymany w 1957 r., po kilku dniach przesłuchań przyznał się do bycia radzieckim szpiegiem i stanął przed sądem. Został skazany na 30 lat pozbawienia wolności. Jednak odzyskał ją już 10 lutego 1962 r. Punktualnie o godz. 8.52 został wymieniony na amerykańskiego pilota Francisa Gary'ego Powersa, który musiał awaryjnie lądować podczas lotu szpiegowskiego samolotem U-2 nad ZSRR. Miejscem wymiany był most na rzece Haweli, Glienicker Brücke, łączący Berlin Zachodni z enerdowskim Poczdamem, a doszło do niej niespełna pół roku po rozpoczęciu budowy muru berlińskiego.

Osobą, która w największym stopniu doprowadziła do słynnej wymiany na „moście szpiegów", był amerykański prawnik James B. Donovan (w filmie Spielberga grany przez Toma Hanksa). Cała operacja pod kryptonimem „Lyutentsia" wymagała twardych negocjacji między stroną amerykańską i radziecką oraz enerdowskimi prawnikami, którzy reprezentowali Moskwę. Ludzie z KGB kilka razy próbowali zmienić początkowe ustalenia dotyczące wypuszczenia Powersa w zamian za Abla. W pewnym momencie Donovan podsumował sprawę jasno: „Jeżeli umowa nie zostanie dotrzymana, nie mamy o czym mówić, wracam do Ameryki".

Polacy na „moście szpiegów"

Glienicker Brücke związany jest również z inną szpiegowską wymianą, w której wziął udział Marian Zacharski, oficer wywiadu PRL, Departamentu I MSW. Od 1976 r. pracował w Stanach Zjednoczonych w Polish-American Machinery Corporation (Polamco), spółce przedstawicielskiej centrali handlu zagranicznego Metalexport. W rzeczywistości miał za zadanie zdobywać plany instalacji radarowych i naprowadzających używanych przez amerykański system obrony. W ten sposób Zacharski zaprzyjaźnił się z Williamem Holdenem Bellem, inżynierem z Hughes Aircraft Company w El Segundo w Kalifornii. Za przekazywane przez wywiad PRL pieniądze wszedł w posiadanie dziesiątek tysięcy stron dokumentów dotyczących rakiet przeciwlotniczych Hawk, systemów radarowych samolotów typu *stealth*, bombowca strategicznego B-1, myśliwca F-15 oraz sonarów używanych w atomowych okrętach podwodnych. Według nieoficjalnych doniesień miał również ogromny udział w zdobyciu planów najnowszego amerykańskiego czołgu M1 Abrams, o którego sile miała się przekonać armia Saddama Husajna podczas „Pustynnej burzy".

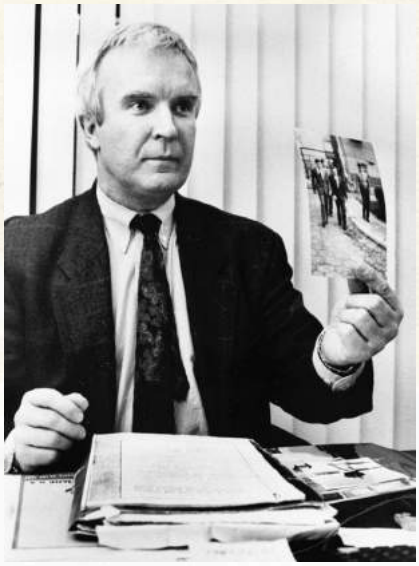

Wolność dla Mariana Zacharskiego oznaczała uwolnienie pięciu osób, które prowadziły działalność wywiadowczą na rzecz Waszyngtonu.

Zacharski został aresztowany 28 czerwca 1981 r. pod zarzutem zdobywania informacji na temat systemów obrony Stanów Zjednoczonych. Został zdekonspirowany przez pracującego przy ONZ Jerzego Korycińskiego, który o działalności Zacharskiego poinformował CIA. Bardzo szybko agenci dotarli także do Bella, który wyjawił sekrety „przyjaźni" z Zacharskim. W trakcie przesłuchań poinformował o 110 tys. dol. otrzymanych w ramach zapłaty za przekazane plany konstrukcyjne. 14 grudnia 1981 r. Zacharski został skazany na dożywocie za działalność szpiegowską. Trafił do więzienia federalnego w Memphis.

Prowadzone przez berlińską kancelarię prawną Wolfganga Vogla negocjacje poskutkowały ułaskawieniem Zacharskiego przez prezydenta Ronalda Reagana. Zacharski stał się częścią dużej wymiany agentów, której dokonano na Glienicker Brücke 11 czerwca 1985 r. o godz. 13.00. Objęła ona 29 szpiegów. Zacharski oraz dwóch obywateli NRD i jeden Bułgar zostali wymienieni na 25 osób odbywających kary więzienia za szpiegostwo w NRD i w Polsce. Wolność dla Mariana Zacharskiego oznaczała uwolnienie pięciu osób, które prowadziły działalność wywiadowczą na rzecz Waszyngtonu: Jerzego Pawłowskiego, Leszka Chrósta, Bogdana Walewskiego oraz Norberta Adamaschka i Jacka Jurzaka.

Marian Zacharski dla polskiego społeczeństwa lat 80. był niczym filmowy James Bond, superszpieg zdradzony przez kreta i swoje źródło kontaktowe, Bella. Sam Czesław Kiszczak miał powiedzieć o nim: „Był największym polskim szpiegiem, z tych wykrytych".

Do ostatniej wymiany na „moście szpiegów" doszło 11 lutego 1986 r.

eprasa.pl 6f24944d35

Władimir Siemiczastny, przewodniczący KGB, w trakcie rozmowy z Rudolfem Ablem, radzieckim oficerem wywiadu (drugi z lewej), i Kononem Molodym (drugi z prawej), wymienionym na Greville'a Maynarda Wynne'a.

Obrońca praw człowieka Natan Szaranski i trzech zachodnich szpiegów zostało wymienionych za Karla Koechera, urodzonego w Bratysławie kreta w strukturach CIA, i czterech agentów z NRD.

Berlin – miasto wymian

Zimnowojenny Berlin był miejscem szczególnym dla wymiany szpiegów między CIA i KGB. Wczesnym rankiem 22 kwietnia 1964 r. na punkcie kontrolnym Heerstrasse brytyjski biznesmen Greville Maynard Wynne został wymieniony za Konona Trofimowicza Molody'ego *alias* Gordona Lonsdale'a. Wynne przez półtora roku był łącznikiem pomiędzy dezerterem płk. Olegiem Pieńkowskim a amerykańskim i brytyjskim wywiadem. Zarówno podczas pobytu w Moskwie, jak i w czasie wizyt w Londynie i Paryżu Pieńkowski przekazywał Anglikowi szkice i rysunki techniczne oraz informował o tym, że Moskwa nie dysponuje głowicami ani systemem naprowadzania do wystrzelenia pocisków nuklearnych w trakcie kubańskiego kryzysu rakietowego.

I Pieńkowski, i Wynne zostali aresztowani w drugiej połowie 1962 r., stanęli przed sądem. Pieńkowskiego uznano za winnego zdrady państwa i skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wynne za działalność szpiegowską dostał trzy lata więzienia i pięć lat pobytu w obozie pracy. Został wymieniony na szpiega działającego na terytorium Wielkiej Brytanii, Konona Molody'ego, który od 1955 r. rozwijał siatkę szpiegowską na Wyspach. Rozpoznał go kret CIA działający w polskim Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Michał Goleniewski, który w 1960 r. uciekł na Zachód. Konona skazano za szpiegostwo na 25 lat więzienia. Wyszedł na wolność po trzech latach.

Koreański „most bez powrotu"

W Azji również istniał most, na którym dochodziło do wymiany szpiegów i jeńców wojennych. Mowa o przeprawie w miejscowości Panmundżom w Koreańskiej Strefie Zdemilitaryzowanej. W języku koreańskim most nosi nazwę *Tora olsu ŏmnŭn tari*, Amerykanie nazwali go „mostem bez powrotu", gdyż osoby pojmane otrzymywały wybór: pozostanie w Korei Południowej albo przejście na północ bez możliwości powrotu.

Najsłynniejszym wydarzeniem na „moście bez powrotu" było oddanie 82 jeńców amerykańskich – załogi okrętu USS „Pueblo", zajętego na wodach międzynarodowych przez siły północnokoreańskie 23 stycznia 1968 r. Amerykanie odzyskali wolność dokładnie po 11 miesiącach – 23 grudnia 1968 r. Dzisiaj most nie jest wykorzystywany przez stronę północnokoreańską, choć przy obu jego końcach znajdują się posterunki wartownicze. Po stronie północnokoreańskiej zamontowane są charakterystyczne cztery niebieskie słupki. Po stronie południowej na moście odbywają się ceremonie promocyjne żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych.

Zupełnie niedawno, w styczniu 2015 r., na „moście bez powrotu" doszło do pierwszej wymiany szpiegów między Chińską Republiką Ludową a Republiką Chińską (Tajwanem). Dwóch pułkowników tajwańskiego wywiadu, Chu Kung-hsun oraz Hsu Chang-kuo, skazanych za szpiegostwo na karę dożywotniego więzienia w 2006 r., zostało wymienionych na chińskiego szpiega Li Zhihao, który od 1999 r. odbywał karę wieloletniego pozbawienia wolności na Tajwanie. Wydarzenie było przełomem w rywalizacji wywiadowczej obydwu krajów, gdyż Pekin bardzo niechętnie informuje o zdrajcach we własnych instytucjach państwowych i wywiadzie.

Most na rzece Piusie

Zimnowojenne historie związane z wymianami szpiegów mają kon-

W Estonii na moście na rzece Piusie Artem Zinczenko, młody agent GRU, został wymieniony na wypuszczonego przez Rosjan Raiva Susiego.

FOT. RIA NOVOSTI/ EAST NEWS, EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 6f24944d35

tynuację również obecnie. W lipcu 2010 r. rosyjski prezydent Dmitrij Miedwiediew podpisał dekret ułaskawiający czterech szpiegów będących na usługach amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu. W zamian do Rosji wróciło dziesięciu agentów działających na rzecz Moskwy na terenie Stanów Zjednoczonych. Do wymiany doszło 9 lipca 2010 r. na lotnisku w Wiedniu. Jednym z wymienionych szpiegów był Siergiej Skripal, były pułkownik GRU, który przeszedł na stronę wywiadu Jej Królewskiej Mości. 4 marca 2018 r. próbowano go otruć w Salisbury.

Sceny przypominające wydarzenia z berlińskiego „mostu szpiegów" rozegrały się 10 lutego 2018 r. na granicy rosyjsko-estońskiej. Po obu stronach mostu na rzece Piusie zaparkowały dwie furgonetki. Wyszło z nich dwóch mężczyzn i spotkało się na środku mostu. Podali sobie ręce na przywitanie, chwilę porozmawiali i dali znak w stronę pojazdów. Z estońskiej strony wszedł na most Artem Zinczenko, młody agent GRU, skazany przez estoński sąd za przekazywanie Moskwie tajnych informacji wojskowych. Z kolei wypuszczonym przez Rosjan był estoński biznesmen Raivo Susi, skazany za szpiegostwo na 16 lat ciężkich robót w kolonii karnej.

Działalność szpiegowska na terenie krajów byłego ZSRR w ostatnim dziesięcioleciu zdecydowanie przybrała na sile, nie może więc dziwić, że co jakiś czas światowe media informują o wymianach agentów obcego wywiadu. Choć od upadku muru berlińskiego minęło już 30 lat, Europa Środkowo-Wschodnia wciąż jest miejscem mniejszych lub większych tarć pomiędzy Rosją a Unią Europejską i NATO.

15 listopada br. doszło do wymiany szpiegów między Litwą i Norwegią a Rosją. Dwóch obywateli rosyjskich zostało wymienionych za dwóch Litwinów i Norwega. Rosjanie zostali skazani za szpiegostwo w 2017 r. i od tego czasu odbywali karę pozbawienia wolności w litewskim więzieniu. Z kolei przedsiębiorcy Jevgenijus Mataitis i Arstidas Tamosaitis mieli być na usługach litewskiego wywiadu, choć Wilno nigdy nie potwierdziło związku z tymi osobami. Norweg zaś, Frode Berg, był emerytowanym funkcjonariuszem straży granicznej. Został zatrzymany w końcu 2017 r. za kopiowanie i wywożenie materiałów o rosyjskich atomowych okrętach podwodnych. Oskarżono go o współpracę z norweskim wywiadem i skazano na 14 lat więzienia. W trakcie składania zeznań twierdził, że był zupełnie nieświadomy swojej misji. „Wykonywałem polecenia jednego z przełożonych, tak jakbym był kurierem", tłumaczył.

Gra szpiegowska mimo zmiany sytuacji geopolitycznej opiera się na schematach, które pozostają takie same jak pół wieku temu. Państwa rywalizują ze sobą i od czasu do czasu dokonują wymiany schwytanych agentów, aby zachować równowagę w relacjach. Wymiany szpiegów przyciągają zaś uwagę opinii publicznej tak jak w czasach zimnej wojny.

Konrad Szelest

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Książki PRZEGLĄDU!

eprasa.pl 6f24944d35

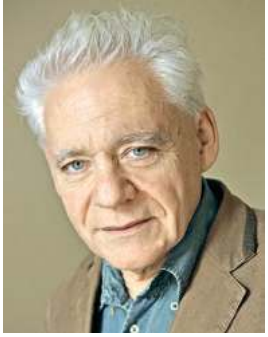

Oko w oko Tomasz Jastrun

Tak nam dopomóż Bóg

Nie wiem, czy w ramach wzmożenia patriotycznego, czy to szkolna rutyna – Antoś ma się nauczyć tekstu „Roty". Napisała ją, jak wiadomo, poczciwa Maria Konopnicka, słynna nudziara literacka. Stworzyła tę patriotyczną pieśń w 1908 r., kiedy w zaborze pruskim gnębiono polskość. Tekst był pewnie archaiczny już w momencie powstania, a teraz brzmi humorystycznie, powiatowo i bogoojczyźnianie.

Twierdzą nam będzie każdy próg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
Ni dzieci nam germanił

Cała „Rota" jest w tej stylistyce. Rozumiem, że ten utwór ma znaczenie historyczne, ale kazać współczesnym dzieciom wkuwać go na pamięć to głupota. Mamy taką wspaniałą poezję dawną i współczesną, Polska jest mocarstwem w poezji, a każe się dzieciom wsuwać taki kleik.

Wiadomość z ostatniej chwili: mój Antoś dostał z „Roty" szóstkę, nauczycielka wymagała, by ją zaśpiewać, zaśpiewał biedak na dwa głosy z kolegą. Kabaret. Pytam go, dlaczego „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germanił". Nie ma pojęcia. Na szczęście wie, że nie należy tego traktować zbyt poważnie.

Inna sprawa, że nasz hymn narodowy to też archaizm – to odbieranie szablą, co nam obca przemoc wzięła, Bonaparte, który dał przykład, a w finale zupełnie kiczowata zapłakana Basia. Oczywiście wzrusza mnie ten tekst, szedł ze mną przez całe życie, ale brzmi dziś kuriozalnie. Nie postuluję jednak zmiany treści. W czasach stalinowskich był taki pomysł, kuszono Władysława Broniewskiego, by napisał nowe słowa. Broniewski, wybitny poeta, piękny, niezwykle odważny człowiek, bohater wojenny, popadł w zupełne zeszmacenie w PRL, też przez alkohol. Ale tu się oparł. Jest scena zapisana w dzienniku przez Marię Dąbrowską: lipiec 1955 r., pisarka siedzi w Belwederze obok Bieruta i poety. Ten, już w sztok pijany, zaczyna krzyczeć: „Wy chcecie, towarzysz Bolesław, żebym ja napisał nowy tekst do hymnu narodowego. Ja to potrafię. Ja jeden. Ale ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Nie będę, bo nie mogę! Bo nie chcę". Po chwili: „Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę". Bierut go przekonuje, że jednak warto, bo słowa są przestarzałe, nie odpowiadają już żadnej życiowej treści. Melodia może zostać. Broniewski jest uparty. Bierut grzecznie go mityguje: „No, dobrze, dobrze. Nie chcecie, to nie napiszecie nowego tekstu".

No i tak nam nie zmieniono hymnu.

•

Piszę te słowa 13 grudnia, 38 lat od stanu wojennego. Ta moja szalona noc, kiedyś dla mnie tak ważna, już nic nie waży. Nastąpiło unieważnienie wszystkiego z tamtego czasu, tak pełnego emocji i znaczeń. Już i Jaruzelski wydaje mi się niemal poczciwy. Myślę, że nawet z funkcjonariuszami SB, którzy mnie „dręczyli" na Rakowieckiej, mógłbym znaleźć nić porozumienia na temat tego, co się teraz dzieje (ciekawe, jakie mają emeryturki), gdy z wieloma kolegami z opozycji łączy mnie teraz tylko czysta, żywa niechęć. Czytam, co piszą na Facebooku: jest tam często antysemityzm, który lubi się łączyć z kpinami z obaw przed ociepleniem klimatu, to ocieplenie to lewacki spisek. Dzisiaj w radiu przypadkiem wpadłem na bredzenie Rydzyka. Ojciec dyrektor głosi swoje prawdy natchnionym tonem, przeciągając słowa: „Panie, gender nie gender, a tu jeszcze jakaś zielona Europa, jakiś tam, panie, klimat niby ocieplony, a w Sejmie chcą zdjąć krzyż, jakieś bluźnierstwa, in vitro, to nienormalne. Pan Bóg jest, a po panu Bogu Polska, Boga najbardziej kocham, a potem ojczyznę. Stalin nas nie zwyciężył, Moskwa nie, a teraz, panie, przekładają wajchę inaczej. Amen. Pomódlmy się". Ale był pewien ciekawy motyw. Ojciec dyrektor raczył zasugerować, że PiS „to czasami są prawicowe konie trojańskie; jaka to prawica, zakamuflowane lewactwo". PiS to ma sprzymierzeńca, wyrazy współczucia.

Pewna sprzeczność miewa się dobrze i w małym, i w dużym człowieku. Trzeba o tym wiedzieć, by zrozumieć ludzkie zachowania.

•

Kuzynka pisze z Londynu, załamana po zwycięstwie prawicy. Spotkali się z grupą znajomych po ogłoszeniu wyników wyborów „i ta kolacja to była jak stypa". Pisze: „Londyn oczywiście prawie cały laburzystowski, ale my jesteśmy »elitami miejskimi« i koniecznie trzeba nas ukarać za takie grzechy jak kosmopolityzm, tolerancja, tendencje lewicowe i picie kawy". Skąd my to znamy.

•

Przeżywam te święta radością swoich dzieci. Nalegały: „Mamo, zamów już te prezenty poprzez Świętego Mikołaja". Nawet 13-letni Antoś, chociaż nie wierzy w Mikołaja, to trochę wierzy. Taka sprzeczność miewa się dobrze i w małym, i w dużym człowieku. Trzeba o tym wiedzieć, by zrozumieć różne ludzkie zachowania.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f24944d35

Aktor nie musi być inteligentny

Inteligencja bywa przydatna i do wielu wspaniałych efektów można dojść dzięki pracy głową, ale nie tylko tędy droga

Rozmawia Beata Nowicka

MACIEJ STUHR

Przez 20 lat na zawodowej drodze spotkał pan wielu reżyserów: Kieślowski, Pasikowski, Bajon, Szumowska, Holland… Czy oni odcisnęli na panu piętno swojej indywidualności, osobowości?

– Różnie z tym bywa. Reżyser pewnego filmu, który pani bardzo się podoba, był elementem zbędnym. Byłoby dużo lepiej, gdyby go nie było, bo tylko się pałętał, coś krzyczał i histeryzował. Film zrobili scenarzysta, operator i aktorzy. Oczywiście są reżyserzy, za którymi idzie się jak w ogień, np. Wojtek Smarzowski. Cała ekipa dałaby się pochlastać za niego. „Wesele" to była jedna z moich największych przygód emocjonalnych. Wszyscy byliśmy wkręceni w Wojtka. Jak widzę ten film na ekranie, od razu mam posmak żołądkowej gorzkiej w ustach. Ten zbiór ludzi: Iwona Bielska, Marian Dziędziel, Tamara Arciuch, Ela Jarosik, Bartek Topa, Tymon Tymański… Moja rola na tle korowodu tych barwnych typasów, postaci i potworów gdzieś tam w sumie znikała, była tylko przewodnikiem po tej historii. O wiele ważniejszy był w ogóle udział w tym przedsięwzięciu i sam Wojtek. Byliśmy w nim absolutnie zakochani.

Tak, to się czasami zdarza, że pomiędzy reżyserem a aktorem nawiązuje się nić sympatii. Dużej sympatii. Czy to w aktorze rodzi szczególne oczekiwania, nadzieje na kolejne role? Na ten telefon, który zadzwoni?

– Najgorsze jest to, że ta sympatia nie jest warunkiem koniecznym. Powiedziałbym wręcz, że spora część moich najfajniejszych filmów powstawała z jakimiś palantami i one nam po prostu wyszły. A niektóre filmy, choć śmiechom i żartom nie było końca i biesiadowało się z reżyserem do piątej nad ranem, codziennie śpiewając „Modlitwę o wschodzie słońca", niestety nie uratowały się dzięki temu.

Mówimy tu dużo o mężczyznach, kolegach ze sceny, z planu, autorytetach, inspiracjach, nauczycielach, przewodnikach, guru… Ciekawe, czy siedział pan kiedyś zahipnotyzowany za kulisami i patrzył z zachwytem na którąś aktorkę. Przecież i w filmach, i w teatrze grał pan z całą plejadą pięknych, utalentowanych, nieobliczalnych, zjawiskowych kobiet.

– Zanim grałem, byłem widzem. Pamiętam taki spektakl w Teatrze Starym, nazywał się „Operetka", gdzie, jak napisał autor, główna bohaterka Albertynka marzy o nagości, nagości chce i tę nagość w finale osiąga. Albertynkę w tym przedstawieniu kreowała Dorota Segda u zarania swojej kariery. Ja wtedy miałem kilkanaście lat i często chodziłem do Teatru Starego, momentami co wieczór tam bywałem. I ten spektakl cechowała wyjątkowa podłość inscenizatorska, ponieważ rozgrywał się on na dwóch scenach. Część na dużej scenie, a potem słynny podest, który Konrad Swinarski postawił w „Dziadach", biegnący przez całą długość widowni, prowadził do malutkiej scenki z tyłu sali, gdzie rozgrywały się różne rzeczy, m.in. tamże właśnie Albertynka się obnażała. No i teraz jak to zrobić, żeby się obrócić i nie mieć na twarzy wypisanego powodu tego obracania. Więc powiem pani, że ponieważ byłem naonczas młodzieńcem niezwykle prawym, może raz tam łypnąłem okiem, a tak to za każdym razem na tym przedstawieniu ostentacyjnie się nie odwracałem, pokazując wszystkim, że mnie to kompletnie nie interesuje. A w końcu była to Dorota Segda, więc nie przelewki, proszę pani. Nie przelewki. No, ale prawość zwyciężyła…

U Swinarskiego ten podest symbolizował drogę dochodzenia Konrada do prawdy o samym sobie.

– Tak, to zabawne. W tym również czasie, albo nawet troszkę wcześniej, rodzice zakupili odtwarzacz VHS i nagrałem sobie z telewizji film pod wdzięcznym tytułem „Pierścień i róża". Była to historia księcia Bulba granego przez młodziutkiego Zbyszka Zamachowskiego, a w roli ślicznej Rózi wystąpiła równie młodziutka Katarzyna Figura. I tam była taka scena, że ta księżniczka, proszę pani, biegnie przez pole. I ona biegła w takiej haleczce… Nie będę się wdawać w szczegóły, powiem tylko, że nasz bardzo nowoczesny odtwarzacz wideo, z pewexu, posiadał funkcję zwolnionego tempa, a nawet oglądania klatka po klatce. Tu okazało się, że sprawdza się to rewelacyjnie, gdy chodzi o klatkę piersiową. I to jedno jedyne miejsce na tej kasecie zupełnie się przetarło i wyblakło, bo za dużo razy głowica po nim przejechała. Dla chłopca to jest straszny widok. Straszny. Ta niemoc realizacji marzeń erotycznych, a jeszcze w stosunku do kobiety starszej, w której się zakochuje, jak ma 12 lat, i wie, że to się nigdy nie stanie, nie spełni…

Teraz żartujemy, ale pomyślałem o tym, pracując nad rolą w „Aniołach w Ameryce". Wtedy, po latach, przypomniałem sobie tamte uczucia i uświadomiłem sobie, że to właśnie może odczuwać gej, który patrzy na mężczyznę hetero i wie, że nigdy go nie będzie miał, nigdy go nie dotknie. Pamiętam, któregoś wieczoru po jednej z prób wróciłem do domu, malutka Matylda spała, żona coś tam sobie czytała, usiadłem w fotelu,

Spora część moich najfajniejszych filmów powstawała z jakimiś palantami i one nam po prostu wyszły.

eprasa.pl 6f24944d35

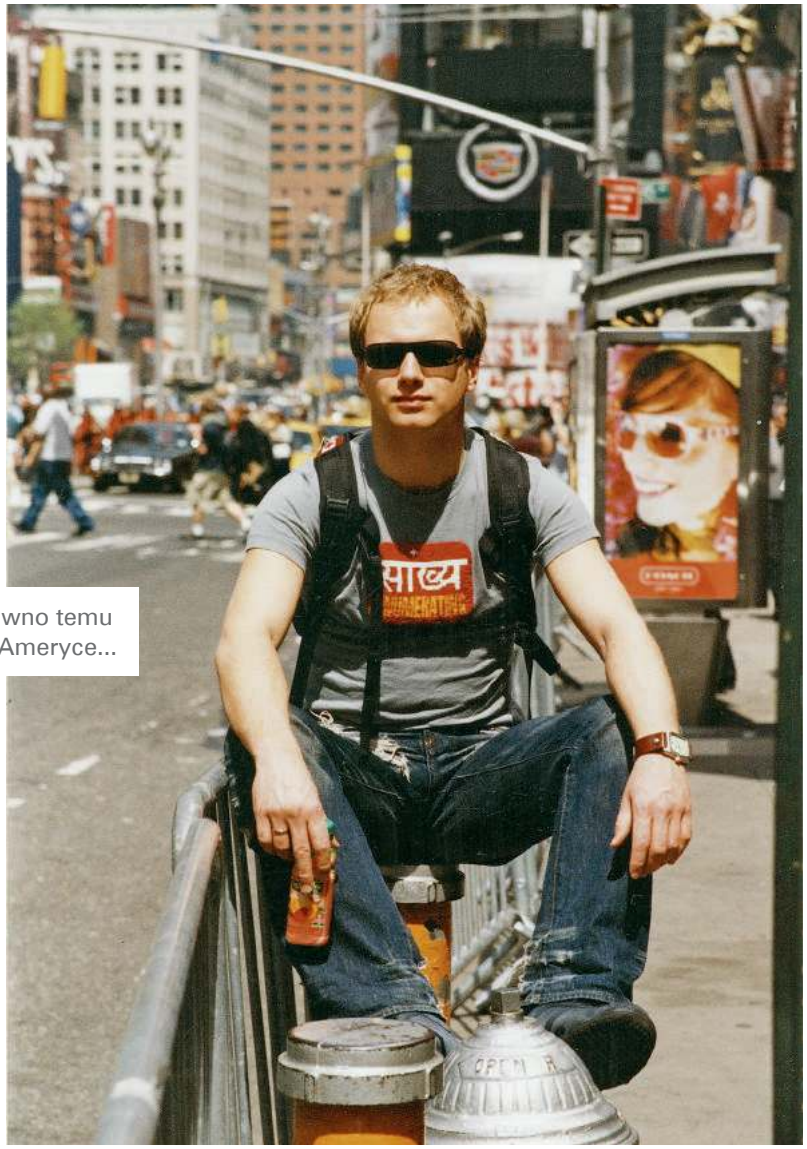

Dawno temu w Ameryce...

popatrzyłem na nie i pomyślałem: „Kurczę, a gdyby to było zakazane? Co by dla mnie to oznaczało?". Zacząłem tworzyć różne konstrukcje teoretyczne i wtedy przeraziłem się kompletnie, bo przez chwilę naprawdę poczułem, co to musi znaczyć. Ale dygresja dygresję zaczęła gonić, a myśmy byli przy kobietach.

Wiem, czego nauczył się pan od mężczyzn: Globisza, Peszka, Gajosa, Pasikowskiego, Warlikowskiego… Czy aktor może nauczyć się czegoś od koleżanki aktorki? Czy w ogóle CHCE się nauczyć czegoś od kobiety w teatrze, w filmie?

– Podczas realizacji jednego z pierwszych moich filmów wystąpiłem u boku przepięknej aktorki i bardzo zdolnej, z którą odgrywaliśmy role protagonistów. Ja się zaraziłem aktorstwem dawno temu, w latach 90. w Teatrze Starym. Mimo że minęły wieki, zmieniły się epoki, a ja jestem w zupełnie innym teatrze, pewien sposób podejścia do tekstu, analizy psychologicznej, intelektualnej mam wrażenie został mi zaszczepiony właśnie wtedy. I tak też większość swoich ról konstruowałem. Myślałem, że to jest jedyna droga do osiągnięcia spełnienia aktorskiego. No i życie mnie zaskoczyło.

Otóż ta koleżanka, z którą występowałem, nie tylko nie rozumiała, co się dzieje na planie, ona w ogóle czasami nie wiedziała, gdzie jest. Dopiero po latach dowiedziałem się, że przechodziła bardzo trudny moment narkotyczny, ale wtedy byłem za młody, żeby takie rzeczy zrozumieć. Pytania, które zadawała, albo odpowiedzi, których udzielała, świadczyły o tym, że była kompletnie odklejona. Coś się do niej mówiło, a ona nie wiedziała, że to do niej. Forrest Gump przy niej to był Leszek Kołakowski. Tymczasem padało słowo „akcja" i ona grała. Ale jak grała! Grała jak z nut! Koncertowo! To było coś niesamowitego. Po raz pierwszy zobaczyłem, że ktoś może nic nie rozumieć i świetnie grać.

Wtedy sam zrozumiałem, że inteligencja nie jest w zawodzie aktora niezbędna. Bywa przydatna i do wielu wspaniałych efektów można dojść dzięki pracy głową, ale nie tylko tędy droga. Wręcz powiedziałbym, jest takie piękne zdanie Witkacego, „nadmiar intelektu odbiera odwagę czynu". Uwielbiam to zdanie, ale zawsze się go bardzo bałem.

Dlaczego?

– Bałem się, bo zawsze miałem ciągoty do tej analizy psychologiczno-intelektualnej, aż któregoś dnia za sprawą mojego osobistego Zygmunta III Wazy, czyli Andrzeja Domalika, który przeniósł mnie z Krakowa do Warszawy, stawiłem się na próbach do „Rewizora", do roli Chlestakowa. Ten urzędniczyna z Petersburga zostaje omyłkowo wzięty za ważną figurę, za urzędnika wyższej rangi, więc gospodarze pięknie go podejmują, podlizują się, upijają, wręczają łapówki, a dziewczyny go całują. No i on w pewnym momencie odlatuje zupełnie i zaczyna swój wielki monolog, jeden z najsłynniejszych monologów teatralnych, tzw. lot Chlestakowa. Tam opowiada, że zupa przyjechała w rondlu okrętem wprost z Paryża, podnosi się przykrywka od wazy, bucha para taka, że podobnej nie ma w całym świecie. I ja tę całą rolę próbowałem właśnie od a do b, do c…

Próbowaliśmy, próbowaliśmy, Janusz Gajos na scenie, trzeba się pilnować. Bo pan Gajos jest niezwykle ciepłym, uprzejmym, przyjacielskim i cudownym, do rany przyłóż człowiekiem, ale jako aktor doskonale wie, co musi zrobić, żeby mu wyszła rola. I to zrobi. Nie może się wydarzyć nic, co by mu w tym przeszkodziło.

Nie chodzi o to, że ty nie możesz odnieść przy nim sukcesu, tylko on się nie będzie za tobą oglądał, bo to nie jest jego cel. Oczywiście zawsze lepiej się gra w lepszym przedstawieniu z lepszymi partnerami, ale jak, nie daj Boże, staniesz mu na drodze do celu, to będzie z tobą źle.

No więc maksymalne skupienie, żeby mu nie przeciąć linii łączącej jego wzrok z oczami widzów, i nawet szło dość dobrze, dość dobrze, aż dochodziło do tego monologu i klapa. Bo, rany boskie, jak zanalizować

eprasa.pl 6f24944d35

Zawsze chciałem umieć latać. No, w ostateczności zagrać Batmana.

intelektualnie: „Zupa przyjechała w rondlu okrętem wprost z Paryża"?! Nie rozbierzesz tego zdania. Zbliżała się premiera, no i w tej największej mojej scenie, na którą każdy recenzent będzie czekał jak na „Być albo nie być" Hamleta, cały czas był ogromny niedosyt.

Postanowiłem zaprzeczyć szkole krakowsko-jarockiej, kupiłem sobie, proszę pani, whisky typu Johnnie Walker, walnąłem 200 ml przed próbą, na której mieliśmy to ćwiczyć, no i poleciałem metodą mojej koleżanki z filmu. Na tyle jeszcze zachowałem przytomność, że zdołałem zapamiętać to, co się wydarzyło. A wydarzyły się przepiękne rzeczy, zacząłem chodzić po krzesłach. Wymyśliłem taką defiladę, że maszerowałem po łuku z krzeseł, które stały puste po moich gospodarzach. W pewnym momencie musiałbym dojść do końca, więc w strachu, żebym nie spadł, Dobczyński i Bobczyński zrobili taki taniec z dwoma krzesłami, że ja sobie szedłem, a oni pach, pach, pach i na zmianę podkładali mi kolejne krzesła. Gdzieś tam w końcu spadłem na pysk, ale scena wyszła brawurowo. Oczywiście potem już nie musiałem co wieczór pić, żeby tak zagrać.

Skorzystał pan doraźnie z dobrodziejstwa alkoholu także przy słynnej scenie balu w „Przedwiośniu". Zastanawiam się, czy można w tym zawodzie używać alkoholu co wieczór, czy następuje szybkie zużycie materiału.

– To jest bardzo, proszę pani, trudny temat. Właśnie ten fragment, gdybym odpowiedział na niego szczerze, byłby cytowany przez wszystkie plotkarskie portale. Bo, niestety, można i jest wielu, którzy tak robią. Jedna rzecz jest przerażająca i jest pułapką, w którą wielu aktorów wpada, a o której przypomina anegdota opowiedziana przed chwilą, że jak się napijesz, to się rozluźnisz, przestajesz kombinować, tylko „lecisz". Po prostu robisz rzeczy odważnie, błyskotliwie, niekonwencjonalnie. Nagle masz w sobie moc: patrz na tego faceta, patrz, co on robi, patrz, patrz, patrz… No bo przestajesz się pilnować. I jak ktoś w tym zagustuje, to rzeczywiście się wspomaga. Ja pamiętam… O Jezus, no i teraz mówić czy nie mówić? Bo to się będzie potem ciągnąć za mną latami…

Spróbujmy. Najwyżej potem się ocenzurujemy.

– Pamiętam jedno przedstawienie Warlikowskiego w Paryżu, gdzie przesadziłem z rozluźnieniem i niestety leciutko bełkotałem. Na szczęście publiczność francuska mogła się nie zorientować. Po ukłonach schodzę ze sceny, a tam stoi Krzysiek, który się rozpływa nade mną w zachwytach: że to było genialne, że dotknąłem tego, o co zawsze mu chodziło, że jemu nie mieści się w głowie, że można tak zagrać! Nigdy mnie tak nie skomplementował jak wtedy. I ja taki unoszący się 15 centymetrów nad ziemią poszedłem dalej korytarzem w stronę swojej garderoby, minąłem róg, a tam pluton egzekucyjny w składzie Ostaszewska, Cielecka, Poniedziałek, którzy chcieli mnie rozstrzelać: „Kurwa, Maciek, ja pierdolę, nie da się z tobą grać! Zabiję cię, ty padalcu!". Z nieba do piekła w 15 sekund.

No ale rozumiałem ich doskonale, bo też miałem okazję grać z pijanym kolegą i wiem, że dla partnerów to jest ogromny stres.

Nigdy nie wiecie, co, jak, gdzie i do czego wam się przyda. Na co szycha z branży zwróci uwagę w waszym zawodowym życiorysie.

Bo to jest kompletna niewiadoma? Nieprzewidywalność?

– Wstyd. Wstyd za niego i za siebie. Zażenowanie, wściekłość. Jak ty widzisz, wydaje ci się, że wszyscy widzą, chociaż myślę, że aktor musiałby już naprawdę być pijany w sztok, żeby ludzie to zobaczyli. My jednak mamy cholerną kontrolę nad swoim ciałem, a już zwłaszcza w teatrze, gdzie mamy wyuczone gesty i słowa. Znam fachowców, którzy mogą naprawdę dużo wypić i zagrać przedstawienie. Zna pani historię, jak Z., pewien znany, wielki aktor, przyniósł ogłoszenie do teatru?

Znam mnóstwo historii z terytorium Krakowa, ale Z., jak się domyślam, był z Warszawy.

– Otóż Z. przychodzi do teatru i wiesza kartkę na tablicy ogłoszeń:

eprasa.pl 6f24944d35

„Chciałem bardzo przeprosić cały zespół artystyczny, techniczny oraz dyrekcję, że wczoraj z powodu moich kłopotów zdrowotnych nie zagrałem przedstawienia. Obiecuję pracować nad sobą. To już nigdy w życiu więcej się nie powtórzy". Przychodzą koledzy, czytają to ogłoszenie i mówią: „Zbyszku, ale przecież ty grałeś wczoraj spektakl…". Oczywiście, ja to znam z anegdot, z opowieści, tak naprawdę nie wiem, czy to było akurat o nim.

Pamiętam, kiedyś przy okazji „Rewizora" siedzę w bufecie Teatru Dramatycznego i opowiadam anegdoty. Anegdota goni anegdotę, śmiechom i żartom nie ma końca. I siedzi z nami Adam Ferency, i ja mówię: „Adaś, a słyszałeś to? Kabaret Dudek, lata 70., wracali skądś tam po całonocnej bibie kompletnie nawaleni, jeszcze piją w tym aucie, upał straszny i Gołasowi zachciało się rzygać. Kazał zatrzymać samochód, otworzył drzwi i wyrzygał się prosto z siedzenia na chodnik, a tu akurat ludzie z kościoła wychodzili. Natychmiast rozpoznali i Gołasa, i Dziewońskiego, który siedział obok. Gołas tak patrzy na nich, oni na niego i mówi: „TAK! To MY! Wasi U-LU-BIEŃ-CY!". Wszyscy dookoła się śmieją, a Ferency siedzi ponury. „Adaś, co się stało, czemu się nie śmiejesz?". Nic się nie odzywa, aż w końcu słychać: „Kurwa, to nie był Gołas". „Jak to nie był? Ja tak słyszałem. A kto to był?". „Ja!".

Wróćmy jeszcze do aktorek, które miały na pana wpływ.

– Myślę, że Krysia Janda jest najlepszym przykładem. Jakbym widział mojego ojca w spódnicy. Oni są z jednego pnia ciosani. Mają dokładnie to samo podejście do zawodu, sposobu uprawiania, to samo im się podoba w kinie, w teatrze. Mają podobne doświadczenia życiowe. Takie dwa czołgi, których nie rozjedziesz niczym.

Pamięta pani film „Tatarak"? W tym filmie Krystyna ma na łóżku monolog o śmierci swojego męża i mówi takie zdanie: „Jak ja mogłam tego wieczoru pójść do teatru i zagrać… Nie wiem, nie rozumiem tego…". No więc ja grałem to przedstawienie razem z nią. I chociaż, jak pani dobrze wie, nienawidzę traktowania tego zawodu jako misji, to widziałem po tej kobiecie, która grała farsę cztery godziny po śmierci męża, że ten zawód może być czasem misją. To była misja, bo przyjechali widzowie z Ostrołęki autokarem, wszystkie bilety były – kurwa – wyprzedane i ona nie chciała ich zawieść. Uważała, że Edward dlatego umarł o 15, żeby ona zdążyła na spektakl na 19.

To mnie wtedy dużo nauczyło. Nie wiem, czy zrobiłbym to samo na jej miejscu. Nie śmiem tego oceniać w żadnych kategoriach. Ale nie zapomnę tego do końca życia. (…)

Z synkiem Tadeuszem.

Opowiadał mi pan kiedyś, ale dość nieśmiało, o swoich próbach podboju Hollywood. W Polsce od czasu „Pociągu do Hollywood" z Kasią Figurą w roli głównej jest to temat, który rozpala emocje. Wygląda na to, że panie wykazują tu zdecydowanie większą aktywność i determinację: Weronika Rosati, Alicja Bachleda-Curuś, Iza Miko… Panów w tym gronie poszukiwaczy szczęścia nie ma. Chyra, Dorociński, Szyc, Więckiewicz, Kot… nikt z nich tam się nie wybiera. To może wrócimy do tematu, mamy idealną okazję.

– Pewnego dnia, za pośrednictwem Weroniki Rosati, z którą graliśmy akurat w „Obławie", zwrócił się do mnie amerykański agent z prośbą o nagranie na jakiś casting. To jest zresztą fantastyczne, że teraz udział w castingach jest o wiele łatwiejszy, ponieważ można nagrać się w przysłowiowej Koziej Wólce, a po paru minutach producent w Hollywood ma to nagranie u siebie na biurku. Więc jeśli ktoś naprawdę chce, można się wszędzie pokazać. W każdym razie w ten sposób nawiązałem kontakt, a nawet zapytałem tego agenta, czy moglibyśmy bardziej się zaprzyjaźnić, bo kto wie, może kiedyś to się na coś przyda. Odpowiedział szybko, konkretnie, po amerykańsku: „To przyjedź, poznamy się, skontaktuję cię z paroma osobami i zobaczymy, co z tego wyniknie".

Wszystko odbywało się mejlowo i w pewnym momencie tak się akurat złożyło, że miałem dwa tygodnie wolne, więc kupiłem bilet, poleciałem do Los Angeles. Dotarłem, poznałem agenta-menedżera i on natychmiast wysłał mnie na parę castingów, bo tam bez przerwy dzieje się bardzo dużo rzeczy. I już samo pójście na casting oznacza, że robisz karierę. Nie rozumiałem tego, ale w jednym z klubów poznałem aktora, który mieszkał w Los Angeles od dwóch lat, i kiedy dowiedział się, że ja przyleciałem kilka dni wcześniej i już byłem na trzech castingach, to po prostu zwariował. On o tym marzył, ale nie mógł się dobić, bo był jednym z dwóch miliardów aktorów, którzy czekają na swoją szansę, a producenci mogą zobaczyć tylko kilkadziesiąt osób. Znaleźć się w tej wyselekcjonowanej grupie jest cholernie trudno. Pamiętam, jak mi tłumaczył, jakie mam szczęście, że mój agent mi to załatwił.

Tak więc chodziłem na te castingi, spotykałem się z różnymi ludźmi, z którymi mnie umówił, dużo gadaliśmy. Oczywiście w takiej sytuacji pierwsze pytanie do wszystkich aktorów z zagranicy jest identyczne: „*What's your status?*". Jak jest z twoim obywatelstwem? Czy masz zieloną kartę i pozwolenie na pracę? – bo tam jest duży problem ze związkami, które burzą się, gdy ktoś chce zatrudnić aktora niezrzeszonego w związku. Więc kiedy studio mimo wszystko decyduje, że chce mieć aktora spoza Ameryki, musi wystąpić o wizę pracowniczą i udowodnić, że właśnie

eprasa.pl 6f24944d35

ten aktor i żaden inny jest niezbędny do stworzenia tego arcydzieła i bez niego Ameryka dozna wielkiego oraz nieodwracalnego uszczerbku na polu kultury. Czasami to się rzeczywiście udaje, ale produkcja musi naprawdę się uprzeć i bardzo chcieć zawalczyć o aktora. Dlatego najlepiej mieć zieloną kartę.

***Green Card* była nawet tytułową bohaterką zgrabnego filmu Petera Weira. Czy zdobycie tej mitycznej karty jest w ogóle realne dla polskiego aktora?**

– Jest trudne do załatwienia, ale jeżeli zrobiło się karierę w swoim kraju, to przy pomocy dobrego adwokata, sowicie opłacanego, ponoć można tę kartę w kilka, góra kilkanaście miesięcy dostać. Tylko że zielona karta nie jest dana raz na zawsze. Amerykanie traktują ją szalenie poważnie, bo to jest taki wstęp do amerykańskiego obywatelstwa, wielkiej świętości. Trzeba więc tę kartę pielęgnować i przynajmniej sześć miesięcy spędzać w Stanach, starać się, ciężko pracować, dobrze się sprawować, w żadnym wypadku nie można sobie bimbać.

Pomyślałem, że to chyba nie jest przygoda dla mnie, tym bardziej że szybko zobaczyłem w mojej krótkiej współpracy z agentem, że odnośnie do niektórych rzeczy trudno nam znaleźć płaszczyznę porozumienia. Bo on mówi tak: „Dobra, wysyłam cię na casting w poniedziałek. Idziesz do »Szybcy i wściekli 5«. Tam jest rola Rosjanina…". Ja na to wybuchnąłem malutkim śmiechem, a on się bardzo obruszył: „Ale o co ci chodzi? To »Szybcy i wściekli 5«… Nie rozumiem, dlaczego się śmiejesz". Zobaczyłem w jego oczach, że śmiać się z castingu do „Szybcy i wściekli 5" znaczy, że trzeba mieć narąbane we łbie po prostu. A ja się jednak śmiałem, bo byłem już po „Pokłosiu" i „Obławie" i mimo wszystko „Szybcy i wściekli 5" nie znajdowali się w kręgu moich zainteresowań.

Potem mówi do mnie: „Słuchaj, nie wiem, jak to będzie, czy dostaniesz tę zieloną kartę, czy nie, ale na *pilot season* musisz przyjeżdżać". „Ale co to jest *pilot season*?", pytam grzecznie. „Co roku w styczniu jest pierwszy, jesienią drugi. Wtedy każda stacja telewizyjna produkuje 10 pilotów seriali, z czego potem do produkcji zatwierdzą jeden albo dwa-trzy maksymalnie. I jak trwa ten *pilot season* i oni kręcą wtedy na potęgę, musisz tu być, bo na pewno coś się trafi". Ja mu na to: „No ale nie wiem, czy seriale to jest to, co mnie interesuje…", i znowu poczułem się tak, jakbym mu matkę w kościele niechcący nadepnął. Już wtedy zrozumiałem, że gdybym jakoś powalczył, zacisnął zęby, rzeczywiście się postarał, tobym coś tam grał. Ale właśnie – coś tam. To jest adekwatne słowo. Moje zdjęcie z „Szybcy i wściekli 5" z pewnością wisiałoby na ołtarzyku mojego agenta i byłby ze mnie bardzo dumny, ale uznałem, że jednak w Polsce jest mi dobrze. Pomyślałem, że tu robię to, co chcę. I nie muszę robić niczego, czego bym nie chciał.

Są reżyserzy, za którymi idzie się jak w ogień, np. Wojtek Smarzowski. Cała ekipa dałaby się pochlastać za niego.

Kim była najważniejsza osoba, z którą pan tam się spotkał?

– Zdecydowanie najważniejszą osobą, jaką tam poznałem, był szef wszystkich castingowców na całe Universal Studios. Prawdziwa szycha hollywoodzka od castingów. Jeśli ktoś marzy, żeby wejść w tamtejsze układy, to nie można się było spotkać z lepszą osobą. Jeszcze w Warszawie razem z moją agentką przygotowałem książkę moich osiągnięć i całymi tygodniami zastanawialiśmy się, czym ja mogę się pochwalić, co tym decydentom za oceanem dobrze się skojarzy: no więc Kieślowski, Wajda, Holland, mimo że to nie są moje najważniejsze filmy, ale może te nazwiska komuś coś powiedzą…

No i on tę moją książeczkę przegląda, rozmawiamy, taka gadka szmatka, klasyczny *small talk*, cały czas się zastanawiam, co ja mu mogę jeszcze sprzedać, opowiedzieć o sobie, dorzucić, skoro wszystko, co miałem do powiedzenia, zostało powiedziane i trwało to 10, może 12 minut. Więc myślę sobie: „Aha, zaraz ta rozmowa dobiegnie do zwykłego finału".

Zobaczyłem jednak, że on się poczuł trochę zobowiązany, żeby przynajmniej dopić kawę, więc postanowił, że teraz on mi powie, co robi, czyli że prosto stąd idzie na ważne spotkanie, bo właśnie obsadza najnowszą z wielkich kreskówek Studio Pixar Disney czy DreamWorks, którą potem cały świat będzie oglądał. Na co ja natychmiast się uruchomiłem i dla *poddierżenia razgawora* mówię: „A, tak, ja tego bardzo dużo robiłem, tych kreskówek Pixar Disney, bo zajmuję się również dubbingiem". Wtedy on pyta: „A co robiłeś?". No to wymieniam mu: „Nowe szaty króla", „Zebrę z klasą", „Zaplątanych", „Kurczaka Małego"… I nagle widzę kompletną przemianę oblicza mojego interlokutora: „Grałeś w »Chicken Little«?! *No way*!!! A kogo?". No to mówię: „Kurczaka Małego. Ja byłem Kurczak Mały na Polskę". *„O my Goooood!!! You?! That's wonderful!!!"*.

Tworząc książeczkę, którą on kilka minut wcześniej w sekundę przejrzał, myśląc nad nią dwa miesiące z moją agentką, nie wpadliśmy na to, żeby wpisać tam, że ja byłem Chicken Little na Polskę. Kompletnie nie przyszło nam to do głowy! A okazało się, że to było coś, co otworzyło nagle nową perspektywę, przynajmniej tej rozmowy, i on natychmiast wysłał mnie na trzy castingi. Zapytał tylko: „Kiedy wyjeżdżasz?". „W piątek". „OK, to we wtorek idziesz na casting tu, w środę tam, a w czwartek siam".

Opowiadałem to moim studentom po powrocie: „Słuchajcie, nigdy nie wiecie, co, jak, gdzie i do czego wam się przyda. Na co szycha z branży zwróci uwagę w waszym zawodowym życiorysie". Dla mnie dopiero po fakcie stało się logiczne, że on tak zareagował, ponieważ to mu uświadomiło proporcje mojej kariery w Polsce w stosunku do kariery w Stanach.

A pan jednak wrócił do domu.

– Wróciłem do domu, przemyślałem sprawę i powiedziałem adwokatowi, żeby nie załatwiał mi zielonej karty. Jak będą bardzo chcieli, to może kiedyś zapukają, a pewnie nie zapukają. No i po roku znalazłem się w Moskwie. Życie jest dość przewrotne!

Fragmenty książki *Stuhrmówka. A imię jego czterdzieści i cztery. Maciej Stuhr w rozmowie z Beatą Nowicką*, Rebis, Poznań 2019

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f24944d35

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Nie boję się Wigilii

Zbliża się Boże Narodzenie, a wraz z nim wszystkie intelektualne kłopoty. 25 marca Anioł Pański (podług apokryfów Gabriel mu było, jak Narutowiczowi albo Márquezowi) poinformował męża Maryi, cieślę Józefa, że „z Ducha Świętego jest to, co się w niej poczęło. Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus". Czy więc Jezus jest z Ducha Świętego, czy z Boga Ojca, bo Trójcy Świętej (Jezus dopiero miał przyjść na świat) jeszcze nie było (co najwyżej Dwójca, a Bóg nie był jeszcze Bogiem Ojcem, tylko najzwyczajniejszym Bogiem)? Bardzo to skomplikowane i wręcz jakimś in vitro trąci, ale przynajmniej tajemnicze i uroczyste.

O moich związkach z Basią zawiadomił przyszłą teściową jasielski nauczyciel matematyki pan Laskowski (jego córka studiująca na UJ niejedno o mnie słyszała). Nie twierdził wprawdzie, że odznaczam się narcyzmem i pyszałkowatością – te cechy charakteru wykrył we mnie jak dotąd jedynie Tomasz Jastrun – ale pośpieszył donieść, że jestem rozwodnikiem, rozpustnikiem, niedowiarkiem, lekkoduchem i w ogóle osobnikiem wysoce wszetecznym. Przerażona tym zwiastowaniem mama Basi, z którą dopiero później się poznaliśmy i serdecznie polubiliśmy, zaproponowała córce, że sama będzie wychowywać dziecko (w Jaśle, na pobożnym Podkarpaciu!), byle tylko z dala ode mnie. Wypisz wymaluj historia króla Heroda, ale może i cieśli Józefa, o którym tyle wiadomo, że na razie posłusznie się podporządkował, ale potem skiepścił, zostając patronem lewackiego święta 1 Maja, za co go jeszcze IPN dopadnie. W każdym razie niewiele w tym było radosnego i podniosłego. Zostawmy jednak na boku tę przyziemną dygresję i wróćmy do Judei.

Gdzie Jezus się urodził? W gminie Betlejem województwa jerozolimskiego – rzecz zasadniczo ogólnie przyjęta. Ale gdzie dokładniej: w ośnieżonej grocie? w grocie pod palmami? w owczarni? Ikonografia poświadcza wszystkie te trzy wersje i jeszcze trochę. Kłócą się one ze sobą i powodują niemałe zamieszanie w wyobraźni młodych chrześcijan. Jeżeli pasterze zeszli do Betlejem z gór, to znaczy, że wypasali owce już na halach, a więc było ciepło. Skoro było ciepło, to po co włazić do groty? A co w ogóle robił żłób w grocie? Co krok to jakaś zagwozdka. Na kartkach świątecznych, ołtarzach i obrazach mistrzów widzi się nieraz Świętą Rodzinę (Józef jeszcze się nie skomunizował), a w dali nadchodzących trzech królów z prezentami. Żeby móc widzieć jednocześnie dzieciątko i królów, nie mogli oni być oddaleni bardziej niż ok. 10 km. Na ich przebycie potrzeba było monarchom 13 dni! Może mieli jakieś problemy celne, dolegliwości? Pismo o tym milczy, więc załóżmy, że zatrzymała ich audiencja u Heroda, o której rozwodzą się apokryfy. Kacper przyniósł Jezusowi złoto, Melchior kadzidło, a czarny Baltazar – mirrę. Co się potem z tymi bogactwami stało, nie wiadomo. W każdym razie Józef i Maryja nie wyprawili za nie, jak by należało, żadnego pępkowego dla pastuszków, co świadczy dobrze o ich oszczędności (Kościół wziął z niej później przykład), ale mogło też wywoływać nieprzychylne komentarze.

Przeciwstawieniem się tej małoduszności zajął się już w IV w. Święty Mikołaj (nie mylić ze świętym papieżem Mikołajem I Wielkim, który podarków nie rozdawał, a nawet wręcz odwrotnie). Ten właściwy Mikołaj jest postacią dość zdumiewającą. Urodził się w Patarze, był biskupem Myry (obie miejscowości w dzisiejszej Turcji), pochowany został w Bari (południowe Włochy), zamieszkuje w Rovaniemi (północna Finlandia), a corocznie w okresie świątecznym rozmnaża się do kilkuset tysięcy osobników, występujących szczególnie licznie w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, we Francji, w Holandii (Santa Claus), a także w naszej katolickiej ojczyźnie etc. W USA i Anglii (cóż za zeświecczenie i postmodernizm!) przechodzi się nawet płatne kursy, jak zostać Świętym Mikołajem. Wbrew regulaminowi wyznaczającemu mu oficjalnie dzień 6 grudnia na działalność, szczególnie agresywny staje się (czyżby ciągle ekspiacja za brak betlejemskiej pępkówki) w okresie bożonarodzeniowym. Przyciąga wtedy dzieci chrapliwymi okrzykami, zadaje im różnorakie pytania, w tym o sprawy chronione przez RODO, i wręcza prezenty, co może być wstępem do poczynań pedofilskich.

W witrynach sklepów i przy kominach (Francja) sterczą już Mikołaje od początku listopada. Można więc śmiało mówić o jesienno-zimowym wysypie biskupów Myry. Mniej więcej w połowie stycznia wykopują Mikołaje swoje gawry i zapadają w długi sen wiosenno-letni. Już w marcu przyniesione przez nich zabawki się psują, dzieci wracają do swojego ulubionego dręczenia rodziców, a rodzice do wydawania dzieciom setek idiotycznych nakazów i zakazów, boby inaczej jednym i drugim w głowach się pomieszało. Wszyscy się cieszą, że pozbyli się inwazji pociotków, krewnych i znajomych królika (Boże Narodzenie jest u nas jak wiadomo świętem rodzinnym). Oście karpi poszły na śmietnik, niedopity barszczyk wysechł, śledzie przestały nareszcie być po żydowsku. Można znowu bić baby, bo już nie zagłuszą zbędnym wrzaskiem przepięknych narodowych kolęd w wykonaniu Zbigniewa Kowalskiego-Preisnera z zespołem. Osiągamy nareszcie normalność i „dobrą zmianę", które obiecuje nam tak przekonująco pan premier i chwilowy minister sportu Mateusz Morawiecki w swoich *exposé*. Można znowu ponarzekać.

A ja nie, nie narzekam (jednak widać jestem pyszałkiem, jak tego chce Tomasz Jastrun), chociaż mi już wolno.

Nic mnie nie obchodzą teologiczne zgadywanki: w grocie czy w owczarni.

W dupie mam króla (mędrca) Kacpra z jego sztabkami złota niewiadomego pochodzenia.

W dupie mam Świętego Mikołaja z jego podróbkami klocków Lego i chińskimi gadżetami.

W dupie mam pana premiera z jego normalnością i „dobrą zmianą".

Niczego od nich wszystkich nie potrzebuję.

Mnie święta nie przerażają. Ja mam moją ukochaną Basię!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f24944d35

Wiedeńska „Halka" jest efektem lat starań Piotra Beczały, który przekonywał do wystawienia Moniuszki.

Halka podbiła Wiedeń

Operowy rarytas z wyjątkowym tenorem

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Wiednia

Popularny wśród miłośników opery portal OperaWire opublikował w sierpniu listę 10 oper, które trzeba zobaczyć do końca 2019 r. To m.in. „Tosca" w Teatro alla Scala w Mediolanie, „Il Pirata" w Teatro Real w Madrycie czy „Orlando" w Staatsoper w Wiedniu. Numerem 1 na tej liście była jednak „Halka" Stanisława Moniuszki w Theater an der Wien. Nic dziwnego, że austriacka premiera opery w reżyserii Mariusza Trelińskiego 15 grudnia i kolejne przedstawienia były wyprzedane na wiele tygodni naprzód, zwłaszcza że szykowali się na tę realizację melomani w Polsce. Ostatnie przedstawienie odbędzie się w sylwestra.

Tygodniki, dzienniki, pisma muzyczne, a nawet tabloidy przygotowywały austriacką publiczność do spotkania z polską operą narodową. Przy okazji dając krótką lekcję historii i rozbiorów Polski, wspominając czasem o roli władczyni Marii Teresy, o strukturze polskiego społeczeństwa i o znaczeniach ukrytych w dziele Moniuszki. Pojawiło się zaciekawienie jego muzyką, dotąd w Austrii nieobecną, „pełną słowiańskiej melancholii", jak pisano. Bardzo pomogła też obsada: ukochany w Austrii tenor Piotr Beczała jako Jontek oraz Tomasz Konieczny, także ulubieniec publiczności wiedeńskiej Staatsoper, jako Janusz. Czekano również na realizację Mariusza Trelińskiego, ubiegłorocznego laureata najważniejszego wyróżnienia, International Opera Award.

Wiedeński spektakl jest owocem wielu lat starań Piotra Beczały, który przekonywał do wystawienia Moniuszki. A że Theater an der Wien chciał mieć u siebie Beczałę, zgodził się na jego warunek: „Halka". Szeroko zapowiadano więc w mediach austriackich „polską narodową operę w absolutnie gwiazdorskiej obsadzie", „operowy rarytas" z „wyjątkowym tenorem" i „barytonem bohaterskim" w koprodukcji Theater an der Wien oraz Teatru Wielkiego Opery Narodowej.

Konsekwentną, czarno-białą estetykę, surrealistyczny nastrój, w miejsce górskich plenerów czarny kryminał w hotelowym barze dla zamożnych ery socjalizmu, z mazurkami w tle, austriacka prasa podsumowuje: „Thriller zamiast folkloru", „Opera narodowa w szacie Solidarności" inscenizowana jako ponure studium społeczne ery komunizmu. Aż komuś z komentatorów chciało się zawołać: „Jeszcze Polska nie zginęła!". Jedni chwalą reżyserię Trelińskiego, drudzy doceniają pracę dyrygenta Łukasza Borowicza z muzykami ORF-Radio-Symphonieorchester Wien, który wydobył maksimum z tej „wyuczonej do Verdiego, Smetany czy Webera orkiestry". Tabloidy zaś piszą o *shooting star*, amerykańskiej sopranistce Corinne Winters w roli Halki, inne tytuły już poważniej, że była równorzędną partnerką Beczały i Koniecznego. Aktorstwo, zwłaszcza Koniecznego w roli Janusza, było doceniane, ale i tutejsza publiczność najbardziej fetowała Piotra Beczałę. Kiedy jeszcze pokazał się na bankiecie po premierze w kierpcach i stroju stylizowanym na góralski „z południowej Polski", podbił serca. Austriacy kochają stroje regionalne i doceniają takie stylizacje.

Pisano potem w popularnej prasie: „święto mazurka", „polska narodowa opera podbija Wiedeń", a o treści opery: „Miłość, namiętność, zdrada, do tego gorące rytmy i melodie pełne słowiańskiej melancholii". Zdjęcia Beczały w stroju ludowym obiegły media. Poważniejsza krytyka nie była tak entuzjastyczna, ale ta „Halka", Beczała i Konieczny zrobili więcej dla popularyzacji polskiej opery i muzyki w ogóle niż niejeden minister kultury, nawet jeśli Moniuszko nie podbije scen świata. Przez chwilę Wiedeń był polski i to odkrywanie nieznanej muzyki sprawiło Austriakom wiele radości. ■

FOT. MONIKA RITTERSHAUS

eprasa.pl 6f24944d35

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Mogą być skarpetki

Podobno węch starzeje się najwolniej. Wolne żarty, u mnie otępienie zmysłów idzie równym krokiem, a jeśli coś przed szereg wychodzi, to właśnie powonienie. Czas katolickich świąt grudniowych jest tego najlepszym dowodem – co najmniej od schyłku zeszłego milenium narzekam, że choinka nie pachnie jak dawniej świeżą żywicą, ani kompot z suszu, ani cały arsenał kuchennych aromatów. Zeświecczyłem się ostatecznie poprzez nos, no, może też wskutek efektu cieplarnianego. Bez mała przed ćwierćwieczem przeżyłem po raz pierwszy święta bezśnieżne, wulgarnie deszczowe i wtedy to było dla mnie meteorologicznym skandalem zwiastującym apokalipsę, diabelską drwiną. Brak śniegu ułatwił wyrwanie się z opresji kolędowych wzruszeń, ostatnia część mojej zindoktrynowanej duszy wydostała się na wolność – skoro w Wigilię leje, Bóg nie istnieje, prosta sprawa. Teraz już mogę spokojnie spędzać ten wieczór w samotności, słuchając np. muzyki pasyjnej do krwistego steka, i nawet nie wiem, czy czerpałbym dodatkową przyjemność z poczucia wyrafinowanej profanacji – ateista niczego profanować nie może, bo nie istnieje dla niego *sacrum*, nie można przekraczać granic, których nie ma.

Co do świąt jestem więc za, a nawet przeciw, z rodziną świętujemy ekumenicznie, podtrzymując tradycję familijnego spotkania przy potrawach jarskich, teściowa, choć gojka, robi najlepszego karpia po żydowsku i wszyscy się zachwycają, ale najważniejsza oczywiście jest prezentacja prezentów, prowadzona przez dzieciaki. I tu się budzą dziecięce wspomnienia najbardziej elektryzującego dnia w roku – niegdyś wieńczącego oczekiwanie na wymarzony prezent, potem już ciekawość, jak bardzo podarunek minie się z marzeniami. Dziś chciałbym dostać wzmacniacz węchu. Wszelako nie po to, żeby magiczna chemia wigilijnych podniosłości wróciła do mnie przez utracone feromony, ale z powodu permanentnie wysychającej śluzówki. Pragnę, by mi podarowano aparacik do nosa, takie olfaktoryczne okulary, najlepiej w postaci odpowiedniej zawiesiny do zakraplania, żebym czuł bardziej. Chciałbym poczuć te wszystkie zapachy, poprzez które uzyskałbym dostęp do zamkniętych od dekad magazynów pamięci – tak jak teraz robię to, wąchając książki.

Jestem nałogowym wąchaczem nowości wydawniczych, świeży zapach farby drukarskiej przenosi mnie w czasy chorzowskich festynów „Trybuny Robotniczej" organizowanych na początku lat 80. w postaci gigantycznego kiermaszu książek oraz – ma się rozumieć – komiksów. Z ich naręczem kupionym przez rodziców wracałem do domu i byłem najszczęśliwszym dzieckiem świata właśnie wtedy, kiedy piętrzył się przede mną stosik do przeczytania, a ja odwlekałem moment lektury, delektując się zapachami. Książki były w mojej rodzinie odwiecznie sprawdzonym prezentem, bez względu na kategorię wiekową. Raz tylko dzieciak z powodu książki znalezionej pod choinką się rozpłakał – kiedy mój ośmioletni pasierb dostał od dziadków troskliwie doglądających jego edukacji opasły słownik polsko-francuski. Był to prezent zaiste praktyczny i przyszłościowy, ale jako gwiazdkowy upominek nieco nieempatyczny.

Dzieciom nie daje się pod choinkę podręczników, tak jak nie daje się im skarpetek. Co innego dorośli, tym skarpet nigdy dość. Ach, śmiem twierdzić, że dzieciństwo się kończy, kiedy matka przestaje ci parować skarpetki i ile byś człowieku nie kupił, błyskawicznie się od siebie oddzielają, giną, pojedyncze egzemplarze pysznią się bezużyteczną świeżością, podczas gdy ty nosisz wciąż te trzy przetarte pary, które jakimś cudem pozostają nierozłączne. Miałem cioteczkę, która uwielbiała mi sprawiać prezenty praktyczne – jako dziecko późnojesienne dostawałem od niej zawsze na urodziny wydziergane przez nią osobiście szaliki, czapki lub wełniane fuzekle (rzeczone skarpetki – przyp. red.). Przyjmowałem te dary ze łzami w oczach. To przez nią przestałem wierzyć w Dzieciątko (na Śląsku to ono przynosiło prezenty, a nie żaden Mikołaj). Nie mogłem przecież wierzyć, że mały Jezusek jest aż takim okrutnikiem, by podrzucać mi wyroby z ciotczynej włóczki. Ani cioteczka aż tak świątobliwa, żeby robić na drutach zarazem w swoim pokoiku i gdzieś tam w niebie. Pójść do nieba już za życia – to trąciło przesadą nawet w przypadku cioteczki, świeckiej zakonnicy.

Z prezentów praktycznych i przydatnych zawodowo marzy mi się elektrybałt, najlepiej z zapasowym zestawem filtrów przeciwgrafomańskich. To postać z „Cyberiady" Lema, robot wierszokleta; dzięki niemu już w dzieciństwie zafascynowała mnie poezja awangardowa, bo „niedostrojony" wypluwał lingwistyczne arcydzieła w typie takiej apostrofy: Żądny młęciny brądnej, łydasty łaniele, samoćpaku mimajki… Jako młode dziecię uwierzyłem w siłę przejęzyczeń i piekielnie zmysłowe oddziaływanie na wyobraźnię neologizmów. Elektrybałt obecnie rezyduje na parterze Centrum Nauki Kopernik. Metodą losową tworzy liryczno-surrealne perełki, odpowiedni algorytm pozwala mu uformować utwór wedle widzimisię zamawiającego – od haiku po sonet. Przy odrobinie zmyślnej redakcji można ułożyć sobie tomik w jeden dzień. Poetom teraz w Polsce płacą najwyższe nagrody literackie, warto się skusić.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6f24944d35

KURTYNA W GÓRĘ

WESOŁO POD GILOTYNĄ

Spektakl „Karmaniola, czyli od Sasa do Lasa" z jednej strony jest uhonorowaniem 200. urodzin Stanisława Moniuszki, twórcy operetki, z drugiej dyskursem o „narodowej sprawie" w typie Mickiewiczowskich „Dziadów" czy „Wesela" Wyspiańskiego. Do tych arcydzieł śpiewogra nie dorasta, choć zawiera cytaty z obu, jest jednak przedstawieniem żywym i barwnym, sprawnie poprowadzonym i z dobrą muzyką. Rzecz dzieje się niby w środowisku polskich emigrantów w okresie rewolucji francuskiej, gdy głowy ścina „nowoczesny" przyrząd – gilotyna, ale naszych rodaków bardziej interesuje mocno dziś zwietrzały podział na zwolenników króla Sasa i króla Leszczyńskiego. Perypetie bohaterów są śmieszne, pada nawet mimochodem nazwisko Grzegorza Schetyny (?!). Dość powiedzieć, że Moniuszko swojego dziecka pewnie by nie poznał, ale też by się pośmiał.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Moniuszko, „Karmaniola, czyli od Sasa do Lasa", libretto Joanna Kulmowa, reżyseria Paweł Aigner, kierownictwo muzyczne Tomasz Lewandowski, Orkiestra Operetty Narodowej, Teatr Wybrzeże w Gdańsku, premiera 12 października 2019

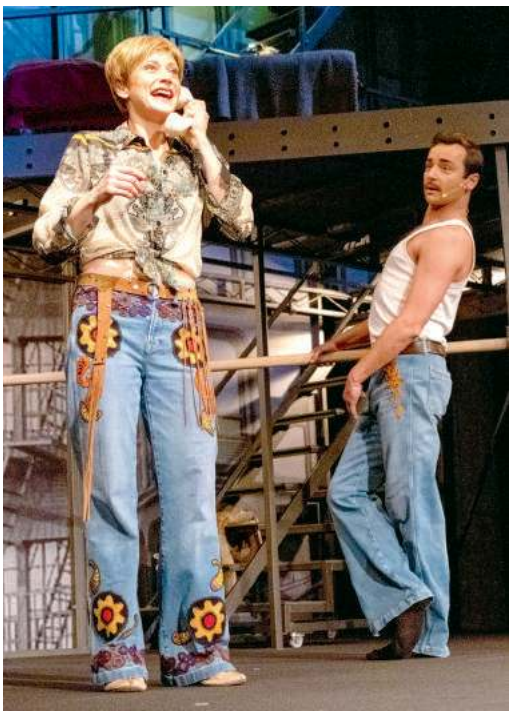

WIDZOWIE NA HUŚTAWCE

„Dwoje na huśtawce" ma piękną historię na polskiej scenie i legendę – prapremierowy spektakl z udziałem Elżbiety Kępińskiej i Zbyszka Cybulskiego. W Polonii możemy oglądać musicalową, równie sławną jak dramat, wersję przeboju Williama Gibsona, a oglądać warto, bo znowu – po rewelacyjnym „Pięknym nieczułym" o Édith Piaf – obcujemy z wielkim talentem Natalii Sikory (główna rola Gizeli). Jej niepokojący głos z lekką chrypką, ekspresyjna interpretacja i prawdziwa gracja gestu tworzą fundament przedstawienia. Pomagają jej w osiągnięciu efektu wszyscy, począwszy od Macieja Maciejewskiego w partnerskiej roli Jerry'ego, a na grającym na żywo zespole muzyków pod kierunkiem Mateusza Dębskiego skończywszy.

Anna Sroka-Hryń sprawdza się wyśmienicie w roli reżyserki. Z wyczuciem przestrzeni komponuje sceny zbiorowe, dba o tempo, rytm, łatwość zmian scenerii i kostiumów, a także efektowne finały piosenek wykonywanych przez cały zespół. Na trudnej scenie Och-Teatru, gdzie publiczność ogląda aktorów z dwóch stron i nic się przed nią nie ukryje, spektakl ani na chwilę się nie zacina, oferując dwie godziny muzyki i sprawnego aktorstwa. Ale jest przecież „wartość dodana", czyli Natalia Sikora, która króluje tu i nadaje piosenkom miłosnym dramatyczny wymiar. Przyjemnie tak razem emocjonalnie się pohuśtać.

Tomasz Miłkowski

„Huśtawka", libretto Michael Bennett według sztuki „Dwoje na huśtawce" Williama Gibsona, reżyseria Anna Sroka-Hryń, Och-Teatr, premiera 29 listopada 2019

SERIAL

FOODIE LOVE

Hiszpański serial w reżyserii utytułowanej Isabel Coixet (to jej debiut telewizyjny) opowiada o parze, którą połączyła pasja do dobrego jedzenia. Dzięki aplikacji dla smakoszy dwójka po trzydziestce postanawia poznać się bliżej, chociaż ma wątpliwości, no i bagaż niekoniecznie pozytywnych doświadczeń z poprzednich związków. W trakcie randek okaże się, czy kulinarne upodobania i niechęci to dobra podstawa do budowania związku. W rolach głównych Laia Costa i Guillermo Pfening.

HBO GO,
PREMIERA 25 GRUDNIA;
HBO 3 OD 3 STYCZNIA

eprasa.pl 6f24944d35

NA EKRANACH

OFICER I SZPIEG

reż. Roman Polański, prod. Francja/Włochy, w kinach od 27 grudnia

Premierze „Oficera i szpiega", adaptacji docenionej powieści Roberta Harrisa, towarzyszy gorączkowa dyskusja o przeszłości Romana Polańskiego. Teraz pojawiły się oskarżenia kolejnych kobiet, co odwraca uwagę od wartości artystycznej filmu, który twórcy „Pianisty" całkiem się udał. Reżyser ma dryg do budowania napięcia. Choć tym razem – w odróżnieniu choćby od rewelacyjnego „Autora widmo" – nie zdołał uniknąć dłużyzn i niepotrzebnych wątków, i tak mamy

do czynienia z najbardziej wyrazistym dziełem w jego filmografii od lat. Dodatkową wartością jest próba uchwycenia antysemickich nastrojów we Francji. W tym kontekście „Oficer i szpieg" to przestroga przed tym, do czego antysemityzm może nas doprowadzić. Jednak na pytanie, czy to faktycznie film o Alfredzie Dreyfusie, sfrancuzionym Żydzie niesłusznie oskarżonym o szpiegostwo, czy o Romanie Polańskim, któremu pochodzenie przysporzyło traum na całe życie, trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

POLSKIE BIEGUNY
Himalaje '74 i Antarktyda '77 na fotografiach Mirka Wiśniewskiego

W 1974 r. Mirek Wiśniewski za namową himalaisty Andrzeja Zawady dołączył do narodowej wyprawy na Lhotse jako kierowca i fotograf. Dwa lata później wyruszył w podróż ku wybrzeżom Antarktydy z budowniczymi Polskiej Stacji Arktycznej im. Arctowskiego. Na wystawie w Domu Spotkań z Historią można oglądać około setki niepokazywanych dotychczas zdjęć z tych pionierskich ekspedycji, pochodzących z archiwum Mirka Wiśniewskiego.

WARSZAWA, DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ, DO 31 STYCZNIA

LUBUSKIE ZAMKI I PAŁACE W OBIEKTYWIE ADAMA SOWY

Wystawa towarzysząca książce jest zapisem osobistej podróży szlakiem dawnych zamków, pałaców i dworów ziemi lubuskiej. Adam Sowa wykonał artystyczną dokumentację obiektów, Aleksandra Mrówka-Łobodzińska sporządziła opisy do nich. Autorzy przybliżają szczególnie los zabytków zapomnianych i powoli niszczejących. Celem książki jest przybliżenie historii każdego z opisywanych budynków, ich metamorfoz na przestrzeni dziejów.

ZIELONA GÓRA, MUZEUM ZIEMI LUBUSKIEJ, GALERIA TWÓRCÓW GALERA, DO 31 STYCZNIA

WCIELENIA JELENIA

Od najstarszych motywów mitologicznych, poprzez legendy i baśnie, po czas niesławy, gdy był symbolem kiczu, i wreszcie triumfalną rehabilitację w ostatnich latach – motyw jelenia nieustannie powraca w kulturze. Zrealizowana w ramach projektu „Rzeczy kultowe" ekspozycja przygląda się burzliwym losom i rozmaitym wizerunkom jelenia. Na jego przykładzie pokazuje proces kształtowania się wrażliwości estetycznej i gustu masowego odbiorcy.

WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE, DO 1 MARCA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ROBERT JAWORSKI, EDWARD KOPROWSKI, ADAM SOWA

eprasa.pl 6f24944d35

Dobry czas dla czarnych dziur

Niemal każdego tygodnia jest jakieś odkrycie

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

PROF. KRZYSZTOF BELCZYŃSKI

– astronom, autor numerycznego modelu wszechświata

Co było najpierw – teoria względności Einsteina czy dociekania i obserwacje astronomów na temat czarnych dziur?

– To, co ok. roku 1910 Albert Einstein przewidział teoretycznie, musiało czekać 60 lat na potwierdzenie doświadczalne. Pierwsza czarna dziura została odkryta w latach 70. XX w. Nazwano ją Cygnus X-1 i miała masę 15 razy większą od naszego Słońca.

Dlaczego uważa się, że właśnie teraz jest dobry czas na badanie czarnych dziur? Pojawiło się wiele nowych doniesień i nawet zdjęcia takich obiektów.

– Astronomowie mają dziś tyle nowych instrumentów o ogromnej czułości, że niemal każdego tygodnia dochodzi do jakiegoś odkrycia. Powstały potężne obserwatoria astronomiczne pozwalające sięgać dużo głębiej w kosmos. W Chinach zbudowano potężny teleskop LAMOST z lustrem o średnicy 4 m (polski teleskop, który jest w Chile, ma 1,2 m średnicy). Największy na świecie teleskop należy do Hiszpanów, ma 10,4 m i pracuje na Wyspach Kanaryjskich. Na Hawajach Amerykanie też mają teleskop o średnicy czaszy 10 m. Ale to nie wszystko, bo powstały obserwatoria, gdzie bada się specjalnymi przyrządami fale grawitacyjne. Teraz mamy dwa takie obserwatoria, LIGO w USA oraz Virgo w Europie. Wykrywają one fale grawitacyjne powstające podczas zderzania się czarnych dziur. Trudno to sobie wyobrazić, ale czasoprzestrzeń „się trzęsie". Precyzyjne instrumenty w tych laboratoriach są w stanie mierzyć i odkrywać takie zdarzenia. Zjawisk nie widać optycznie, nie wiadomo więc dokładnie, gdzie one zachodziły przed milionami czy nawet miliardami lat.

Napisano niedawno, że jest pan współautorem odkrycia w naszej galaktyce czarnej dziury o tak niestandardowej masie, że astronomowie zakładali się, czy taki obiekt może istnieć. Pan także się założył, że to niemożliwe, i przegrał, chociaż w sumie wygrał odkrycie.

– Astronomowie wciąż się spierają, co jest możliwe, a co niemożliwe, i czasami musimy sobie w sporach naukowych długo pewne rzeczy tłumaczyć. Ja też byłem pewny, że nic większego niż 50 mas Słońca nie przekształci się w czarną dziurę, i teraz jestem winny amerykańskim kolegom trzy butelki dobrego wina, każda w cenie powyżej 100 dol. – taka była umowa. Wciąż jest zagadką, jak taka czarna dziura powstała. Informacja o badaniach ukazała się w czasopiśmie „Nature". W naszej galaktyce są miliony czarnych dziur, ale dotąd zaobserwowano ich tylko ok. 20. Teraz odkryto kolejną, wyjątkową czarną dziurę. Obiekt ma bardzo nietypową jak na czarne dziury masę. Jest ok. 70 razy cięższy od Słońca. W dodatku powstał w nieoczekiwanym miejscu – w spiralnym ramieniu naszej galaktyki. Tu badacze znaleźli gwiazdę odległą od nas o 12-15 tys. lat świetlnych. Dotychczas przypuszczaliśmy, że w naszej galaktyce, Drodze Mlecznej, najcięższe czarne dziury to obiekty o masach co najwyżej 20 mas Słońca. A tu nie tylko odkryliśmy coś znacznie cięższego, ale dodatkowo ten nowy obiekt przekracza teoretyczną granicę (te 50 mas Słońca) tworzenia się czarnych dziur z masywnych gwiazd.

Co w tym niezwykłego?

– Sądzono, że gwiazdy, które mają taką masę, że mogłyby utworzyć czarną dziurę powyżej 50 mas Słońca, są w środku na tyle gorące i niestabilne, że kończąc swoje życie, zamiast zapadać się do czarnej dziury, eksplodują w potężnym wybuchu superjasnej supernowej i zostają całkowicie rozerwane. Tę opinię jednak zweryfikowało nowe odkrycie. Trzeba zaznaczyć, że są dwa rodzaje czarnych dziur. Są olbrzymy, które osiągają masę od miliona mas Słońca do ponad 10 mld mas Słońca. Jedna z najnowszych niedawno odkrytych czarnych dziur ma 40 mld mas Słońca. Nie tworzą się one z jednej gwiazdy, ale powstają, pożerając wielkie masy gazu, i w ten sposób się powiększają; można powiedzieć, że pęcznieją. Druga forma czarnej dziury to, jak dotąd uważano, powstający w wyniku ewolucji gwiazd „mały" obiekt, czyli ważący 5-50 mas Słońca. Ta zaś, którą wypatrzyli na swoim teleskopie LAMOST Chińczycy, ma „aż" 70 mas Słońca. Nadano jej nazwę LB-1, gdzie L to teleskop LAMOST, B – gwiazda typu B, czyli *blue* (niebieska), która krąży wokół obiektu, a 1 oznacza, że to pierwsza taka czarna dziura. Nasze Słońce, centrum Układu Słonecznego, jest

eprasa.pl 6f24944d35

zbyt małe, by stać się z czasem czarną dziurą, przemieni się w białego karła. Gwiazdy większe od Słońca 8-10 razy przekształcają się w gwiazdy neutronowe. Czarne dziury, jak się sądzi, pojawiają się po wypaleniu się gwiazd o masie 20-30 Słońc.

Do tej pory za najmasywniejszą czarną dziurę w naszej galaktyce uważany był Sagittarius A*.

– Sagittarius nie ma pochodzenia gwiazdowego, waży około miliona mas Słońca. Jak powstała odkryta przez nas LB-1, nie jest jeszcze dla nas zrozumiałe. Jest najmasywniejsza z gwiazdowych, ale co do jej pochodzenia nie ma jasności. Może powstała w wyniku zderzenia dwóch czarnych dziur albo nawet z pojedynczej masywnej gwiazdy, co jednak oznaczałoby, że do końca nie rozumiemy, jak gwiazdy ewoluują i jak kończą życie.

W jaki sposób znalazł się pan w zespole odkrywców?

– Byłem na kongresie astronomicznym w Wiedniu, a po moim przemówieniu podszedł do mnie dyrektor chińskiego ośrodka badawczego. Wiedział, że stworzyłem model komputerowy powstawania czarnych dziur gwiazdowych, i zapytał, czy moglibyśmy skorzystać z moich prac i obliczeń, aby wytłumaczyć zagadkową obserwację, którą oni dysponują. Cały międzynarodowy zespół liczył 40 osób, pracowali w nim oprócz Chińczyków Amerykanie, był Hiszpan, specjalista od obserwacji, ja byłem z Polski. Trzeba wiedzieć, że w Polsce przodujemy w modelowaniu czarnych dziur. Te modele powstawały m.in. podczas mojej pracy w amerykańskim laboratorium narodowym w Los Alamos, a jeszcze wcześniej, jakieś 20 lat temu, podczas pobytu na Harvardzie wymyśliłem nazwę, sugerując się trochę znanym serialem. Ten polski model nazywa się StartTrack. Wyniki badań nasz zespół opublikował w „Nature", a publikacja wcześniej otrzymała kilka pozytywnych recenzji.

Ale, dodajmy, znalazł się pan także w zespole nagrodzonym Noblem.

– Nie mogę podskoczyć Oldze Tokarczuk, której książki chętnie czytam. Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki przyznano założycielom obserwatorium LIGO, trzem amerykańskim fizykom, którzy od 30 lat pracowali nad badaniem fal grawitacyjnych. Detektory LIGO zaobserwowały po raz pierwszy fale grawitacyjne pochodzące ze zderzenia dwóch czarnych dziur. Choć samo istnienie fal grawitacyjnych wynika z teorii względności zaproponowanej przez Alberta Einsteina na początku zeszłego wieku, dopiero sto lat później, w 2015 r., istnienie fal grawitacyjnych zostało potwierdzone obserwacyjnie. Odkrycie to opisano w pracy, w której na liście autorów figurowało około tysiąca fizyków związanych z badaniami fal grawitacyjnych (i ja byłem członkiem tej grupy), natomiast samą Nagrodę Nobla przyznano w 2017 r. trzem głównym założycielom LIGO.

W naszej galaktyce są miliony czarnych dziur, ale dotąd zaobserwowano ich ok. 20.

W zasadzie w związku z ogromnymi odległościami od badanych obiektów to, co widzą astronomowie, jest badaniem dalekiej przeszłości.

– Odkrycia czarnych dziur poprzez fale elektromagnetyczne, czyli np. zwykłymi teleskopami optycznymi lub rentgenowskimi, astronomowie są w stanie dokonać we względnie bliskiej nam części wszechświata obejmującej lokalną grupę kilkudziesięciu galaktyk. Natomiast obserwacje w falach grawitacyjnych są dużo bardziej czułe i pozwalają zajrzeć w głęboki kosmos, w którym znajdują się miliardy galaktyk. Zderzenia czarnych dziur, które generują fale grawitacyjne, są bardzo rzadkie, np. w naszej galaktyce takie zderzenie zachodzi raz na milion lat. Trzeba zatem obserwować równocześnie wiele galaktyk, aby udało się wyłapać choć jedno takie zderzenie w realnym czasie (w czasie istnienia danego obserwatorium, np. LIGO).

Nie wiemy dokładnie, z której galaktyki docierają do nas fale grawitacyjne sygnalizujące zderzenia czarnych dziur. Czy wiemy chociaż, ile jest takich galaktyk?

– Obserwujemy duży kawałek wszechświata. Nasz „stożek świetlny" obejmuje setki milionów galaktyk, do miliarda.

Czy galaktyka, w której przyszło nam żyć, zwana Drogą Mleczną, jest rzeczywiście „mleczna"?

– W dużych miastach tego się nie dostrzeże, ale gdy będziemy w górach i spojrzymy nocą w czyste niebo, zobaczymy biały, prawie mleczny pas. Taki widok tworzą rozmyte światła gwiazd, które nakładają się na siebie.

Jakie jest praktyczne znaczenie wiedzy o czarnych dziurach?

– Bezpośredniego zastosowania taka wiedza dziś nie ma. Badania astronomów to badania podstawowe, które na razie jedynie zaspokajają ciekawość dotyczącą naszego otoczenia we wszechświecie. Wiedza ta z każdym pokoleniem jest coraz większa, z pewnością moi dzisiejsi studenci będą znać o wiele więcej zjawisk zachodzących w kosmosie. Być może wtedy coś z tej wiedzy da się zastosować w praktyce, w gospodarce, w energetyce, medycynie, budownictwie itd.

Dla kariery naukowej ważne są publikacje w prestiżowych czasopismach. Artykuł, o którym wspominaliśmy, ukazał się w brytyjskim tygodniku „Nature". Czy jednak nie byłoby jeszcze korzystniej publikować w amerykańskim „Science"?

– Jeśli chodzi o liczbę cytowań, którą określa wskaźnik *impact factor*, to w „Nature" jest on wyższy niż w „Science" i wynosi ok. 40, „Science" zaś ma ok. 30. Być może pismo „Nature", które stara się być zrozumiałe dla laików, choć pozbawione uproszczeń, ma opinię bardziej popularnego, a „Science" bardziej naukowego. Ale dla informacji podam, że wraz z innym zespołem naukowym z Australii, z którym teraz współpracuję, przygotowujemy publikację do „Science". ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f24944d35

Światu potrzeba więcej Kanady

Respekt dla bliźniego kluczem do funkcjonowania tego społeczeństwa

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Supermarket pełen ludzi. Do kas stoją długie kolejki. Wydaje mi się, że jedna jest krótsza, więc się w niej ustawiam. Nagle uświadamiam sobie, że ta kolejka wcale nie była krótsza, po prostu nie zauważyłam, gdzie się kończy. Czyli się wepchnęłam. Gdybym tego sama nie zauważyła, nie miałabym pojęcia, bo nikt nie zaprotestował ani nie wyraził oburzenia. Czuję, że popełniłam *faux pas*, więc zaczynam się tłumaczyć, że to przez pomyłkę, nie zauważyłam, bardzo przepraszam. Współkolejkowicze śmieją się, żartują i pocieszają mnie: *no worries, it's OK*. Nawet przez chwilę nie przeszło im przez myśl, że to było działanie celowe. Jak to się mówi po angielsku: *they gave me the benefit of the doubt* (dali mi kredyt zaufania). Chcę iść na koniec, ale wszyscy mówią, że nie ma sprawy. Padają żarty i opowieści, jak ten czy tamten też kiedyś coś takiego zrobił czy widział. Jest miło i wesoło.

Kanadyjczycy są znani z uprzejmości. To nie stereotyp. Przepraszają, dziękują, uśmiechają się, oferują pomoc i autentycznie interesują się ludźmi wokoło.

Co się tak cieszysz?

Tak pytają mnie (i innych stąd) ludzie w Polsce, bo ja uśmiecham się częściej niż Polacy w swoim kraju. Fakt, Polska nie należy do krajów, w których ludzie mają wesołe oblicza. Ktoś taki jak ja, przyzwyczajony do tego, że uśmiech nieznajomego jest naturalnym elementem życia, może robić dziwne wrażenie. W Kanadzie ludzie uśmiechają się do siebie, bo głupio przejść czy stać obok z kamienną czy obojętną twarzą, kiedy znajdziemy się w pobliżu obcej osoby – na schodach, w windzie, w kolejce, na stacji benzynowej, w sklepie. Uśmiech to takie *how are you*, które słychać wiele razy dziennie. Nie ma ono nic wspólnego z pytaniem o zdrowie czy samopoczucie i nie oczekuje się w reakcji na nie szczegółowej odpowiedzi. Nieszczere? Tak często krytykują je nasi rodacy. Ani szczere, ani nieszczere. To taki słowny uśmiech mający funkcję czysto społeczną. Cisza i obojętność to pogwałcenie norm i jako takie są niezręczne.

Jest też *hi*. Mówimy je nie tylko na szlaku górskim, ale też w wielu innych sytuacjach. I do tego uśmiech.

Kanadyjczycy przepraszają wielokrotnie częściej niż inne nacje. Nawet kiedy nie oni są winni.

W kanadyjskim świecie dostrzega się ludzi wokoło. W sklepach ci z wózkami pełnymi zakupów często proponują, żeby ktoś stojący w kolejce za nimi z pudełkiem płatków czy słoikiem kawy zapłacił przed nimi. Nie zdarza się, aby między robiącego zdjęcie a jego obiekt ktoś się wepchnął – przejdzie dyskretnie z tyłu. Tak samo w muzeum czy galerii, kiedy ktoś ogląda obraz lub eksponat.

Canadian standoff

Ta zabawna sytuacja zdarza się tak często, że aż zyskała specjalną nazwę.

Na przykład przy drzwiach – jedna osoba przepuszcza drugą, padają kolejne *after you*, *you go first*, *go ahead* (proszę, ty pierwszy, nie, teraz ty, ależ ty…), dużo uśmiechów, lekkiego zażenowania, jakiś dowcip, aż któraś strona wreszcie ruszy pierwsza.

W Kanadzie na skrzyżowaniach równorzędnych pierwszeństwa nie ma ten z prawej – ruszamy w kolejności, w jakiej przyjechaliśmy na skrzyżowanie. Pełna demokracja, ale nieco kłopotliwa, bo trzeba pamiętać kolejność podjechania czterech samochodów. I nierzadko zaczyna się menuet zwany *Canadian standoff* – kierowcy przepuszczają się nawzajem, dają sobie znaki, żeby pierwszy ruszył ten drugi. Czasami trwa to dłuższą chwilkę, a bywa, że w końcu ruszają naraz… W miasteczku Summerville na Wyspie Księcia Edwarda policja ma z tego powodu ból głowy i narzeka na zbyt wiele stłuczek spowodowanych nadmierną uprzejmością kierowców. Lokalna policja apeluje na Twitterze: „Kierowcy, prosimy was, nie bądźcie tacy mili. Macie dobre intencje, ale to prowadzi do kolizji!".

Kanadyjczycy przepraszają wielokrotnie częściej niż inne nacje. Nawet wtedy, kiedy nie oni są winni. Kanadyjczyk powie *sorry*, nawet jeśli ktoś na niego wpadnie.

Przeprasza się też po kichnięciu: kichający mówi *excuse me*, a naturalną reakcją na to jest *bless you*. Krąży dowcip, że Kanadyjczyk to taki ktoś, kto powie po kichnięciu *excuse me*, nawet jeżeli jest sam w pokoju. Z tego nadmiernego, prawie instynktownego przepraszania żartują sobie sami Kanadyjczycy – przepraszają, że tak często mówią przepraszam.

Kanadyjczycy dużo dziękują, nawet jeśli im się coś należy. Samo *thank you* zresztą nieraz nie wystarcza. Są sposoby na wzmocnienie podziękowań, bo przecież wyrażenie wdzięczności to dobra emocja i dobrze robi na relacje międzyludzkie. Po dziękuję często zatem słyszy się: *I (really) appreciate it*, *I appreciate your help* (doceniam, jestem ci bardzo wdzięczny). Jeśli ktoś wyrazi zainteresowanie ponad to, co jest spodziewane, często słyszy się: *Thank you for asking* (dziękuję, że pytasz, dziękuję za troskę).

I pomagamy sobie bardzo chętnie. Ileż razy pytano mnie, czy nie potrzebuję pomocy. Ja sama kiedy zobaczę na bocznej drodze stojący na poboczu samochód, zwolnię i zapytam, czy ktoś potrzebuje pomocy.

Zero agresji

Czy uprzejmi zwykle Kanadyjczycy nigdy się nie złoszczą na innych? Zdarza się, że kierowcy trąbią na innych kierowców, że ktoś obsłuży

eprasa.pl 6f24944d35

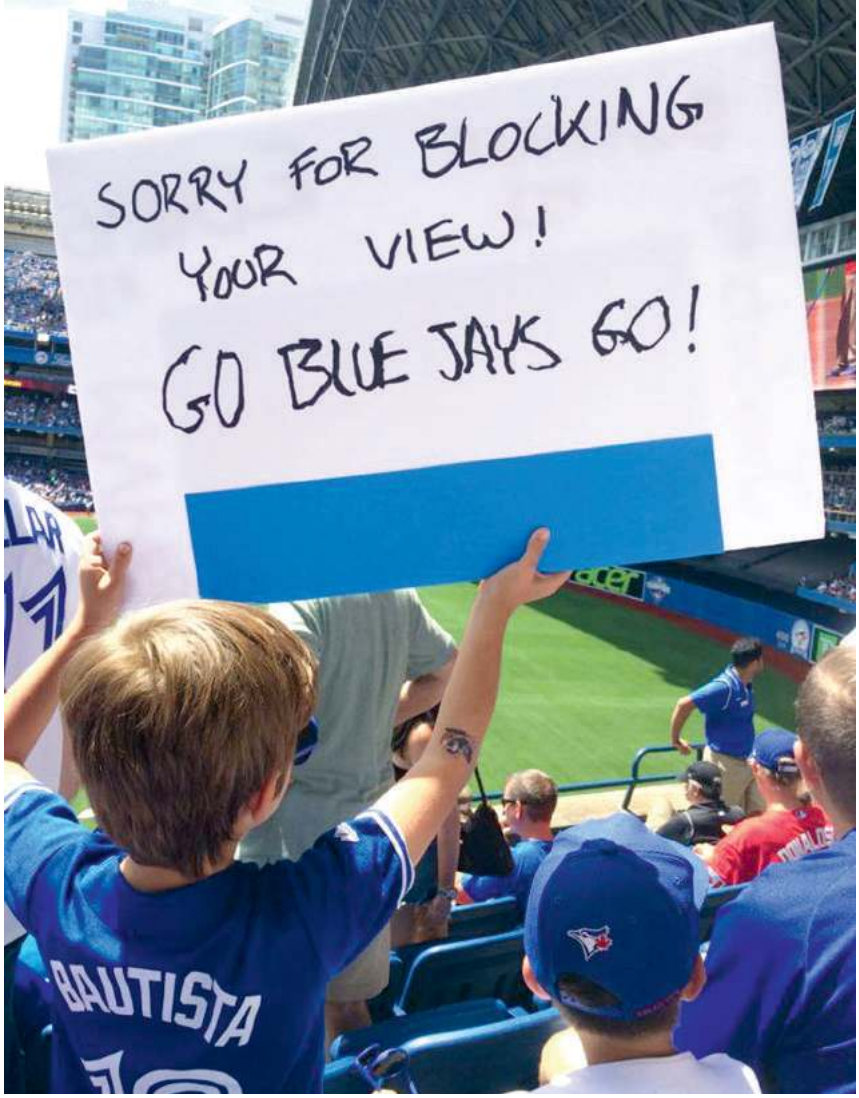

„Przepraszam za blokowanie widoku. Naprzód, Blue Jays!". Na meczu legendarnej drużyny bejsbolowej, czyli uprzejmość od małego.

klienta bez uśmiechu. Ale to wyjątki. Publiczne okazywanie agresji jest niezwykle rzadkie i zawsze spotyka się z dużym zdziwieniem i dezaprobatą. Nie widuje się rodziców wrzeszczących na dzieci, ludzi kłócących się hałaśliwie, przepychania się i obcesowości. W szkole uczniowie są traktowani z szacunkiem. To właśnie klucz do funkcjonowania kanadyjskiego społeczeństwa – respekt dla bliźniego: *Treat others as you want them to treat you*, czyli nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe.

Po co z uporem nie wpuszczać innego kierowcy, który próbuje wjechać na nasz pas? W końcu będzie musiał się włączyć do ruchu, więc lepiej mu ustąpić. Ja też mogę znaleźć się za chwilę w takiej sytuacji. Dlaczego każdy urzędnik czy sprzedawca jest zawsze uśmiechnięty i miły? Takie są zasady, tak się szkoli ludzi obsługujących klientów, ale jest też druga strona. Jeśli pracuje się w kasie w supermarkecie za nieduże pieniądze, to milej, jeśli jest się sympatycznym: dostanie się w zamian uśmiech i przyjazne słowo. Czas mija szybciej i z pracy wychodzi się z pewną satysfakcją.

Kanadyjczycy a Amerykanie

A jak porównujemy się z naszym południowym sąsiadem? Oni są bezpośredni, my uprzejmi. Molly Worthen w „New Yorkerze" tak porównuje USA z Kanadą: „Jak wielką ulgą musi być życie w kraju, w którym szef rządu poświęca czas na witanie uchodźców syryjskich i przytulanie pand, gdy nasz własny prezydent jest zajęty próbami pozbycia się muzułmańskich imigrantów i obrażaniem swoich krytyków na Twitterze". To prawda, że liberalny premier Justin Trudeau witał osobiście pierwszych uchodźców z Syrii na lotnisku w Toronto, a jego poprzednik, konserwatysta Stephen Harper, na tymże lotnisku przywiezione z Chin pandy.

Kanadyjczyk powie sorry, nawet jeśli ktoś na niego wpadnie.

To nie tylko anegdoty i stereotypy. Daniel Schmidtke i Bryor Snefjelli, doktoranci z kanadyjskiego uniwersytetu McMaster, porównali miliony tweetów Kanadyjczyków i Amerykanów. Odkryli, jak bardzo różnią się najczęściej używane na Twitterze słowa. W amerykańskich tweetach bardzo często pojawiały się wulgaryzmy i epitety (również rasistowskie), m.in. *damn*, *hate*, *ass* (cholera, nienawidzę, dupa), a w kanadyjskich przeważały: *amazing*, *great*, *favourite*, a także *agree* (wspaniale, świetnie, uwielbiam, zgoda).

Kanadyjczycy dużo dziękują, nawet jeśli im się coś należy.

Kanadyjską uprzejmość i bezkonfliktowość natychmiast zauważają nowo przybyli. Moi studenci z całego świata wiele razy opowiadali, jak bardzo zaskoczyło ich harmonijne społeczne współistnienie Kanadyjczyków. Ja też tak samo czułam wiele lat temu. I do dzisiaj po powrocie do Kanady skądkolwiek czuję ogarniające mnie ciepło i spokój. A przecież ten kraj to zlepek prawie 200 nacji. Nowi Kanadyjczycy (New Canadians, jak się ich nazywa) przyjeżdżają z takich miejsc na świecie, gdzie codzienne życie bywa pełne krzyków, agresji i wrogości. I co? Do dobrego łatwo się przyzwyczaić, więc zmieniają się i przystosowują. Okazuje się, że lepiej się żyje, kiedy jest miło i przyjaźnie.

Do Kanady co roku przyjeżdża ponad 250 tys. ludzi z całego świata, więc dla nowo przybyłych przygotowuje się zestawy rad i opisy kanadyjskiego społeczeństwa. Oto bardzo trafne podsumowanie etosu kulturowego Kanady: „Kanadyjczycy są w większości przyjaznymi, bezpretensjonalnymi ludźmi, którzy cenią uczciwość, wrażliwość, empatię i pokorę w relacjach z przyjaciółmi i nieznajomymi, a także szacunek dla prywatności i indywidualizmu innych".

Thank you. And sorry :)

■

FOT. JOANNA GONCALVES

eprasa.pl 6f24944d35

Anna Brzeska

Jak oni jedzą

Kulinarna wycieczka po Europie

Włosi piją alkohol codziennie, ale niewiele – za to objadają się na kolację. Szwedzi codziennie muszą zjeść ciastko do kawy i mimo ograniczeń w sprzedaży alkoholu i tak piją go wciąż zbyt dużo. Islandczycy kojarzeni są ze zdrowym stylem życia, ale jedzą fatalnej jakości parówki i pozwalają dzieciom na zajadanie się ziemniakami z makaronem i słodkim sosem. Anglicy? Wielokulturowość na Wyspach utrudnia odpowiedź na pytanie, jaka jest kuchnia Wielkiej Brytanii.

Co jedzą Europejczycy, co powinni w swojej diecie zmienić? Wybierzmy się na wycieczkę po kontynencie.

Czechy
– zláte prasátko po wieczerzy

Zacznijmy od naszych sąsiadów Czechów. Jak mówi Marta z Ostrawy, już od początku grudnia Czesi żyją tematem gwiazdki i świątecznych kruchych ciastek, zwanych *cukrovinami.* – Pieką ich mnóstwo. Malutkie i duże, kakaowe, maślane, nadziewane – wylicza Marta. Święta to też okazja, by objeść się *bramborákiem*, czyli wielkim plackiem ziemniaczanym.

Czeska wigilia jest jednak skromniejsza od polskiej. Co wtedy jedzą? – Sałatkę ziemniaczaną ze smażonym karpiem i zupę rybną. W obecnych czasach pozwalają sobie już nawet na *řízky*, czyli smażone kotleciki z piersi kurczaka, choć według tradycji w Wigilię nie można jeść mięsa, a w surowszej wersji nie powinno się jeść niczego aż do kolacji. Wówczas w nocy po wieczerzy zobaczysz *zláte prasátko* (złote prosiątko). Niestety, z moich czeskich znajomych żaden go nie widział – śmieje się Marta. Dodaje, że raczej nie je się wystawnych potraw. Za to jeśli chodzi o napoje wyskokowe – każdy pije, co chce. I to od rana.

Podobnie jak my Czesi bazują na mące, mięsach, ziemniakach i sosach. – Oczywiście nie muszę przedstawiać knedlików, knedliczków czy smażonego sera z frytkami – uśmiecha się mieszkanka Ostrawy. Poza nimi w czeskiej kuchni króluje kminek. – Pokaźną jego ilość znajdziemy w kiszonej kapuście, będącej z kolei... tradycyjnym daniem na weselach. W niektórych rejonach oferowany jest w *pivnicach* (czyli knajpach) jako dodatek do piwa.

Marta zaznacza jednak, że Czesi są wielbicielami kasz pod każdą postacią oraz ciecierzycy (*čočka*), którą jedzą w postaci zupy *čočkovej*. Chwali ich także za czosnkową z grzankami, bardzo aromatyczną i smaczną. Podkreśla również, że choć bazą wielu potraw są ziemniaki (*brambory*), Czesi nie znają mąki ziemniaczanej.

Pod względem dietetycznym Czesi mają trochę na sumieniu: – Często do zup i innych potraw dodają cukru. Na przykład odpowiednik naszej pomidorowej (tu to *rájska polévka*) jest na słodko. Generalnie większość dań jest skąpana w oleju i nie praktykuje się czegoś takiego jak surówka – wyjaśnia Marta. A jak jest z piciem? – Mimo że do obiadu piją piwo, nie widać upitych Czechów. Poza tym bardzo popularne jest tutaj wino.

Codzienne picie odbija się w statystykach. Czesi zajmują drugie miejsce w Europie pod względem ilości wypijanego rocznie alkoholu (nieco powyżej 14 litrów czystego alkoholu na głowę).

Włochy
– zupa tylko z polską żoną

Jedźmy dalej na południe. O włoskich zwyczajach opowiada Agnieszka, mieszkająca od wielu lat na Sycylii. Jest różnorodnie, ale też niezdrowo. Główne przewinienia to zbyt dużo cukru, przede wszystkim jednak zbyt dużo jedzenia w ogóle, szczególnie potraw mącznych: – Jedzą lekkie śniadanie: mleko, płatki albo *cornetto*, czyli rogalik z czekoladą lub marmoladą. Do tego – obowiązkowo – kawa. Obiad jedzą około godz. 13, gdy zaczyna się sjesta. Trwa ona do godz. 16 i jest zwyczajem obowiązującym cały rok, nawet zimą, choć wtedy nie jest gorąco.

Co na obiad? – Na pierwsze makaron, na drugie jakiś kotlet z sałatą – wymienia Agnieszka. – W ogóle na stole ustawia się wszystko, co jest: wędliny, sery, pomidory itd. i skubie się widelcem wszystkiego po trochu.

Pytam, jakim cudem Włosi są w stanie to zmieścić. – Nie jedzą na szczęście kilograma makaronu – śmieje się Agnieszka. – I jeśli makaron jest z mięsem, raczej nie ma już drugiego dania. Ono pojawia się wtedy, gdy makaron podano z samymi warzywami. Bo makaron Włosi jedzą naprawdę ze wszystkim. Zarówno z groszkiem, jak i z kalafiorem. Nasze mamy bazują na ziemniakach, włoskie – na makaronie.

Co z zupami? – Tylko wtedy, gdy Włoch ma za żonę Polkę – żartuje Agnieszka. Jak dodaje, królują jednak owoce morza, a kojarzony przez Polaków z Włochami sos pomidorowy do makaronu gotuje się może raz na tydzień.

Niestety, kolacja jest jeszcze obfitsza niż obiad. – Napychają się wszystkim: *pizza*, *pizza sfincione* – jej ciasto jest trochę wyższe, na nim sos pomidorowy, kwadraciki sera, kawałki słonych sardynek, posypane bułką tartą – poza tym chleb, wędlina, mozzarella. Jedzą także *arancini* – kulki z mięsem, ryżem i parmezanem – wylicza.

Podobnie jak w Czechach alkohol jest dodatkiem do posiłków. – Za to wina wcale nie piją dużo. Głównie do kolacji i tylko troszkę. Alkoholików raczej tu nie widzę. Włosi są bardzo otwarci, jeśli więc zauważą, że ktoś przesadza z alkoholem, bez ogródek o tym mówią – stwierdza Agnieszka.

Hiszpania
– przysmak z byczego ogona

Przenieśmy się do Hiszpanii. Jak mówi mieszkanka Madrytu Ania, śniadanie wygląda tu podobnie jak we Włoszech, a więc *croissant* lub inne ciasto francuskie, np. z czekoladą, maczane w kawie. Bardzo popularna jest grzanka na ciepło z pomidorem i oliwą z oliwek albo z masłem i marmoladą.

– Przed obiadem idzie się do baru na *aperitivo*. Pije się wtedy wino albo szklaneczkę piwa – *caña*. Dają tam też darmową przekąskę: kanapeczkę z serem, *jamón serrano* (surową

eprasa.pl 6f24944d35

Europa pije najwięcej

Europejczycy – jak ostrzega WHO – piją najwięcej alkoholu na świecie. Na czele jest Litwa (ok. 15 litrów czystego alkoholu na osobę rocznie). Na drugim miejscu – Czechy, a dalej Niemcy, Irlandia, Luksemburg, Łotwa, Bułgaria, Francja, Rumunia i Słowenia, gdzie pije się pomiędzy 12 a 13 litrów na głowę rocznie. Brytyjczycy wypijają nieco powyżej 11 litrów. Podobnie Polacy – 11,7 litra. Hiszpanie zaś 11,2 litra.

Najlepiej wypadają w tym porównaniu Włosi i Norwegowie – ok. 7,5 litra na głowę rocznie. Szwedzi – mimo wszystko też całkiem nieźle, ok. 9,2 litra czystego alkoholu.

szynkę) lub *chorizo* (kiełbaskę z dużą ilością wędzonej papryki). Na obiad Hiszpanie jedzą dużo zup kremów, miksują w blenderze, co tylko mogą. Do najbardziej ulubionych należy, po pierwsze, *cocido*, czyli zupa typu rosół, do której wkłada się warzywa, ciecierzycę, *chorizo*, kaszankę, kurczaka, boczek czy łopatkę cielęcą, po drugie – *lentejas*, soczewica z chorizo i warzywami. Popularnym daniem jest również *ensaladilla rusa* – przypomina nieco polską sałatkę warzywną, ale z krewetkami, tuńczykiem i oliwkami – opowiada Ania. – Hiszpanie chętnie jedzą ryż. Na przykład po kubańsku z sosem pomidorowym, parówką, jajkiem sadzonym i bananem usmażonym na patelni. Do tego dużo ryb i owoców morza. I oczywiście – mięsa. Ich ulubione przysmaki, szczególnie na wsi, to ogon byka, jagnięcina, prosiaczki. Jedzą też dużo lekkich sałatek z pomidorów, ogórków, cebuli i sałaty. Na kolację, jedzoną tutaj późno, bo około godz. 21-22, mają właściwie to samo co na obiad.

Ania dodaje, że w Madrycie większość ludzi, zwłaszcza w weekendy, je w barach i restauracjach. – Jest ciepło, więc życie toczy się na ulicy. Nikt, nawet starsze osoby, nie zamyka się w domu.

Jeśli chodzi o święta, w Hiszpanii uroczystą kolację je się nie tylko w Wigilię, ale również w sylwestra i na Trzech Króli, kiedy we wszystkich miasteczkach odbywa się huczna parada – *cabalgata*, odpowiednik naszego orszaku Trzech Króli. – Właśnie w związku z tym świętem daje się prezenty. Na Wigilię też, ale raczej mniejsze. I to do Trzech Króli pisze się listy z prośbami o podarki, nie do Mikołaja, co jednak zmienia się nieco wraz z postępującą amerykanizacją – wyjaśnia Ania.

Co się je na wieczerzę wigilijną? Jako przystawki głównie owoce morza, np. krewetki czy kanapeczki. Pierwsze danie: zupa rybna albo zupa z migdałów, drugie: mięso, czyli najczęściej pieczeń z jagnięcia lub polędwica z koźlątka albo prosięcia. Niektórzy zamiast mięsa jedzą rybę: żabnicę, morszczuka lub morlesza. Na deser ananas bądź świąteczne słodycze, takie jak *turrón* (rodzaj nugatu w postaci kostek) czy *polvorones* (typowe ciasteczka bożonarodzeniowe z Andaluzji). Tradycyjnym ciastem, które obowiązuje w uroczysty wieczór Trzech Króli, jest *roscón de reyes* (ciasto drożdżowe z bitą śmietaną i kandyzowanymi owocami). – To chyba najbardziej niezdrowa świąteczna potrawa – stwierdza Ania. – Chociaż jeszcze gorsze są chyba *churros i porras*. To ciasto w formie długich rurek z mąki, oleju i cukru, smażone na głębokim tłuszczu.

Święta to niejedyny czas, gdy Hiszpanie się objadają. Mimo że za korzystną dla ich zdrowia niewątpliwie można uznać ogromną różnorodność kulinarną, bogactwo warzyw czy ryb, podstawowym błędem jest – jak mówi wprost Ania – napychanie się późnym wieczorem. Nie stronią też od fast foodów i gotowych dań do podgrzania. – Nie są poza tym zbyt dobrymi cukiernikami, ich słodycze to czysty cukier. No i są uzależnieni od chipsów ziemniaczanych i solonej kukurydzy, która jednak nie jest znanym nam popcornem, ziarna praży się tak, że nie otwierają się zupełnie, ale są smaczne i chrupiące.

Islandia – chleb spod gejzera

Podobnie mięsożerni jak Hiszpanie są Islandczycy. O kulinarnych zwyczajach tego kraju opowiada Justyna, mieszkanka miasteczka w zachodniej części wyspy: – Śniadanie wygląda podobnie jak w Polsce – kanapki, jajecznica, parówki i obowiązkowo kawa. W przedszkolach często podają dzieciom *hafragrautur*, owsiankę na mleku z dodatkiem tranu, rodzynek i świeżych owoców. Lunche – raczej zdrowo: owoce i warzywa, mleko, czasem dodatkowo jakaś lekka zupa.

Obiady – zwykle mięsne lub rybne. – U nas, w zachodniej części kraju, za najbardziej tradycyjne danie obiadowe uważa się m.in. zupę baranią – odpowiednik polskiego rosołu, z dużą ilością mięsa, warzyw korzeniowych, cebuli i przypraw – tłumaczy Justyna. Wymienia też zupę rybną, która często ma pomidorową bazę i jest kremowa zarówno w konsystencji, jak i w smaku, zawiera bowiem śmietanę, a baza pomidorowa jest

eprasa.pl 6f24944d35

wcześniej miksowana, ale pływają w niej m.in. suszone pomidory i kawałki ryb, które wcześniej zalewa się wrzącą zupą, przez co potem rozpływają się w ustach. Popularna jest także zupa z homara czy ryba „tłuczona" – ze śmietaną, masłem, przyprawami i cebulą. Potrawy serwuje się z ciemnym, żytnim, słodkim pieczywem, wypiekanym w tradycyjny, ciekawy sposób. Chleb ten powstaje w specjalnych dołach w pobliżu gorących źródeł. Temperatura ziemi osiąga tam ok. 100 st. C. – Ten chleb jest w smaku podobny do pumpernikla. Do niego obowiązkowo tona masła do posmarowania. Islandczycy uwielbiają je jak śmietanę i mleko – wyjaśnia Justyna.

Na obiad je się też np. filet z barana (do tego sos rozmarynowo-daktylowy) lub z konia. Mięso podaje się z pieczonymi lub gotowanymi ziemniakami i warzywami korzeniowymi. Justynie szczególnie smakuje popularna w Islandii brukiew.

Kolacje podobne są do śniadań, często je się wtedy *skyr*, tradycyjny islandzki jogurt, oraz pudding ryżowy, który zazwyczaj podawany jest na ciepło z dużą ilością cynamonu, cukru i rodzynek.

Justyna chwali tutejszą... kranówkę. – Jest przepyszna. Islandczycy piją ją bardzo zimną, dodają jeszcze kostki lodu. Rozczarowuje natomiast czekolada. Kiedy Islandczycy mówią o czekoladzie do picia, oczekują po prostu, że wsypię im to słodzone kakao z proszku i rozmieszam z mlekiem. Nie ma tu takiej prawdziwej, gęstej, gorącej czekolady pitnej.

Grzechy? Mimo że Islandczycy wydają się nam zdrowym, nowoczesnym społeczeństwem, jedzą sporo hamburgerów, pizzy i frytek. – Do tej pory nie rozumiem, dlaczego złej jakości parówki są na każdej imprezie, nawet na szkolnej wycieczce czy festynie – dopowiada Justyna. – Ulubione danie wielu dzieci ze szkoły mojego syna to – oprócz pizzy i burgerów – ziemniaki z makaronem, ze słodkim sosem i parmezanem. Dla wielu osób ziemniaki to zamiennik warzyw w posiłku – w ogóle warzyw jedzą za mało i trudno się dziwić, bo często są one bez smaku. Chleb jest bardzo słodki i zwyczajnie niedobry. Najlepsze pieczywo z ich piekarni nie może się równać z najgorszym pieczywem z polskiego marketu. Wyjątkiem jest chleb w restauracjach. Islandczycy przesadzają także ze słodyczami, które są tu bardzo tanie i łatwo dostępne. Jeśli chodzi o asortyment w sklepach, to moim zdaniem Islandii bliżej jest do USA niż do Europy. Słodkie płatki różnego rodzaju są sprzedawane w ogromnych opakowaniach, często w promocji typu „weź dwa, zapłać za jedno". Do tego wszędzie ogromne baniaki z colą.

Gwiazdkę Islandczycy zaczynają świętować bardzo wcześnie, bo wcześnie robi się ciemno. Już od połowy listopada bardzo popularne są tzw. świąteczne bufety. W różnych miejscach – najczęściej restauracjach – wystawia się świąteczne jedzenie. Nie ma tu zwyczaju zasiadania do wigilii, bo świętuje się długo przed Bożym Narodzeniem i potem.

Jeśli chodzi o alkohol, islandzkie prawo zezwala na sprzedaż wysokoprocentowych trunków tylko w specjalnych, państwowych sklepach (i oczywiście barach czy restauracjach). Zwykle są one otwarte do godz. 18, w niedzielę zamknięte. W marketach dostępne jest jedynie słabe piwo. – Poza tym alkohol jest bardzo drogi – podkreśla Justyna. – Poprzez takie działania rząd islandzki chciał ustrzec naród przed nadużywaniem alkoholu, jednak nie przyniosło to skutku. Alkoholizm jest tu poważnym problemem.

Szwecja
– święta rzecz fika

Podobne ograniczenia w sprzedaży alkoholu mają Szwedzi. Ewelina, od niedawna mieszkanka Sztokholmu: – W normalnym spożywczym można dostać alkohol tylko do 3,5%. Mocniejszy wyłącznie w sklepach monopolowych, które w ciągu tygodnia działają maksymalnie do godz. 19, w sobotę do 15. Jeśli sklep jest otwarty od godz. 10, już o 9.50 ustawia się pod nim ogonek. O 10.02 – już stoi ogonek do kasy. Jak głosi plotka, ograniczenia w sprzedaży nie przeszkadzają więc Szwedom w piciu.

Ewelina wylicza jeszcze inne dietetyczne przewinienia Szwedów: – Paradoks polega na tym, że chyba każdy Szwed uprawia sport, a jednocześnie świętością jest *fika*, czyli popołudniowa kawa z ciastkiem. Gdy przez moment w mojej pracy groziło, że na środowych fikach zabraknie bułeczek, Szwedzi wpadli w popłoch. Chodzi tu przede wszystkim o bułeczki cynamonowe (*kanelbullar*), znane na całym świecie dzięki sieci IKEA.

Przysmak ten występuje również w wersji znanej jako *hagabullen*, czyli wypiekane w Göteborgu ogromne buły, mające nawet 30 cm średnicy. Szwedzi w ogóle słyną z tego, że zajadają się słodyczami. Słodki jest u nich nawet chleb, na co narzekają polscy ekspaci. Nie dziwi zatem, że również mięso musi być okraszone czymś słodkim. Zwykle konfiturami żurawinowymi.

Ale to niejedyny problem. Kolejnym jest tłuszcz. Przykład? Sałatka majonezowo-krewetkowa, którą je się głównie na lunch, zwykle na kanapce. Odświętną wersją tej przekąski jest tort kanapkowy. To prawdziwa dietetyczna katastrofa. Tort bowiem składa się z pieczywa przekładanego majonezowym kremem z krewetkami, łososiem, a nawet kawiorem czy wędliną. Dodatek w postaci ogórków albo oliwek raczej nie ratuje sytuacji. Z innych dziwnych wynalazków wymienić można fermentowane śledzie z puszki oraz sery lub kawior w tubce.

Klasycznym świątecznym daniem szwedzkim jest *julskinka*, czyli pieczona lub gotowana szynka, grillowana następnie z dodatkiem musztardy.

Wielka Brytania
– na co dzień fish and chips, od święta indyk i brukselka

Z kolei o wielokulturowej Wielkiej Brytanii opowiada Joanna, mieszkająca w Birmingham: – Jest takie powiedzenie, że lokalna potrawa w Birmingham to hinduskie *balti*. Naprawdę dużo tu tanich azjatyckich knajp: hinduskich, chińskich czy tajskich, często podających jedzenie w formie bufetu – płacisz określoną stawkę i jesz, ile chcesz. Typowe angielskie potrawy są natomiast proste, a ich skład i sposób podawania raczej się nie zmieniają, nie ma tu miejsca na kreatywność. Tradycyjne śniadanie – choć raczej w weekendy – to zwykle bardzo obfity posiłek składający się z jajecznicy, bekonu, grillowanych pieczarek, pomidorów, kiełbasek, krokietów ziemniaczanych, lokalnej kaszanki (*black pudding*), gotowanej fasoli i tostów. Na co dzień rano je się owsiankę lub wysoko przetworzone płatki śniadaniowe z mlekiem.

eprasa.pl 6f24944d35

Mięsożerni Europejczycy

Najwięcej mięsa w Europie jedzą mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego – aż 94 kg na osobę rocznie. Tylko nieco mniej – 93,3 kg – zjadają Islandczycy. Powyżej 90 kg jedzą też Austriacy. Dla porównania – w Rumunii zjada się zaledwie ok. 50 kg rocznie. Najmniej mięsa je się na Bałkanach.

Co ważne, obywatele UE, stanowiący 6,8% światowej populacji, odpowiadają za 16% całkowitego spożycia mięsa na świecie. Średnia ilość mięsa zjadanego w UE na jednego mieszkańca wynosi 69,3 kg.

Oczekuje się jednak, że liczba ta będzie spadać – do 68,6 kg w 2030 r. Rośnie bowiem liczba wegetarian i wegan.

Lunch – o godz. 12-13 – to w dni powszednie posiłek zbliżony do naszego drugiego śniadania, w niedziele i święta celebrowany. – Coraz mniej osób przygotowuje sobie lunch do pracy i szkoły – mówi Joanna. – Większość samoobsługowych sklepów spożywczych ma sekcje z gotowymi produktami i specjalne oferty pozwalające kupić taniej posiłek, napój i przekąskę w pakiecie. Moi koledzy z pracy najczęściej jadają więc sklepowe kanapki, wrapy (farsz, zwykle z mięsem, owinięty w naleśnik), sałatki albo gotowe dania na bazie ryżu, makaronu lub ziemniaków.

Joanna wymienia najpopularniejsze dania lunchowe kojarzące się z Wielką Brytanią, czyli oczywiście panierowaną rybę z frytkami (*fish and chips*), podawaną z zielonym groszkiem lub *purée* z niego oraz sosem tatarskim. No i hamburgery z siekanej wołowiny, serwowane w białych bułkach z dodatkami i frytkami obok. – Każdy pub ma w ofercie co najmniej kilka rodzajów hamburgerów – podkreśla.

Joanna zaznacza, że zupełnie inny jest ten niedzielny lunch, zwany też roastem. Obowiązkowo je się pieczone ziemniaki i mięso, pudding, a miejsce polskich surówek zajmują pieczone warzywa korzeniowe lub gotowane warzywa podawane bez żadnych sosów. Na deser *pavlova* (tort bezowy), lody, proste ciasta biszkoptowe lub owoce. Może się pojawić deska serów. Zwykle to cheddar, red leicester, stilton lub ser kozi.

Na kolację Brytyjczycy pozwalają sobie na nieco więcej szaleństwa, bo to właśnie pora na egzotykę czy w ogóle kuchnie innych krajów.

Pije się tu najczęściej whiskey, gin, piwa jasne i ciemne oraz wzmacniane wina: cherry i porto. Joanna zwraca uwagę, że dużym problemem dla Brytyjczyków jest alkoholizm młodych ludzi, kupujących tanie, gotowe słodkie koktajle o niewinnych owocowych smakach. W odróżnieniu od Polski mało popularne są domowe posiadówki z alkoholem: – Alkohol w domu serwuje się jako wstęp i dodatek do posiłku, zwykle dla niewielkiego grona gości, albo jako wieczorną *guilty pleasure* (grzeszną przyjemność) dla domowników. Większe ilości alkoholu spożywa się pubach, a weekendy w klubach.

Gastronomia i sklepy mające licencję na sprzedaż alkoholu zwykle rygorystycznie przestrzegają odgórnie wyznaczonych godzin, kiedy można kupić trunki – między 10 a 22.

Zapytana o największe błędy dietetyczne Joanna zaznacza, że zależą one od przynależności do danej grupy społecznej oraz etnicznej. – Wiele osób praktycznie w ogóle nie przygotowuje samodzielnie posiłków. Dostęp do gotowych dań, fast foodów itp. jest naprawdę łatwy – mówi. – Ludzie jadają zbyt dużo, i to głównie przetworzonej żywności, smażonych potraw, tłustych mięs, panierek, a wiele osób codzienny lunch uzupełnia paczką chipsów. Rząd i NHS (instytucja zajmująca się zdrowiem publicznym) mają wiele programów pomocy w podejmowaniu lepszych decyzji dietetycznych. Obejmuje to odpowiednie oznaczanie opakowań oraz dostępność niewielkich porcji. NHS bada też zapadalność na niektóre choroby pod kątem pochodzenia etnicznego i część rządowych programów jest adresowana właśnie do konkretnych mniejszości.

Święta Wyspiarze celebrują przede wszystkim 25 grudnia. Daniem głównym jest zwykle pieczony w całości indyk, pieczone warzywa korzeniowe i ziemniaki serwowane w formie pieczonych kuleczek. Całość uzupełnia sos pieczeniowy oraz gotowana brukselka, a także obowiązkowy sos z żurawin.

Na deser Anglicy jedzą babeczki nadziewane zmielonymi suszonymi owocami i świąteczny pudding. Ponieważ indyka nie sposób zjeść całego od razu, dojada się go przez kilka kolejnych dni, również na zimno i jako wsad do kanapek.

Anna Brzeska

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 6f24944d35

Naród kanapowców

Brak ruchu nadal jest dla Polaków przede wszystkim tematem żartów, a nie powodem do wstydu

Dorota Bartosewicz

„Znowu dzisiaj nie ćwiczyłam. Piąty rok z rzędu", „Dzisiaj mija dokładnie pół roku, od kiedy jutro rano idę biegać", wypisują Polacy w internecie. „Zawsze po bieganiu jem dużą pizzę. Żartuję, nie biegam", dorzuca ktoś, podczas gdy inni przyznają wprost: „Naturalnie, że uprawiam sport, co rano biegam po mieszkaniu i krzyczę: »Znowu zaspałam!«" lub „Jestem silny. Uprawiam e-sport". Brak ruchu nadal jest przede wszystkim tematem żartów, a nie powodem do wstydu.

Honorowe 7 milionów

Do śmiechu nie jest jednak lekarzom. – Mamy w Polsce ogromny problem otyłości i wykazuje on tendencję rosnącą. A przecież wiadomo, że istnieje prosta zależność między wydolnością fizyczną a czasem trwania życia. Osoba, która jest niewydolna fizycznie, żyje średnio jeszcze pięć lat – mówi dr Ernest Kuchar, specjalista medycyny sportowej z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – W tym czasie pojawia się 95% kosztów leczenia, bo wtedy zaczynają się pobyty w szpitalach, operacje, reanimacje.

To, że jesteśmy ze sportem na bakier, pokazały też ostatnie badania MultiSport Index 2019. Wynika z nich, że co trzeci Polak się nie rusza. W ogóle. Nawet nie chodzi na spacery! „Najgorzej sytuacja przedstawia się wśród osób w wieku powyżej 55. roku życia – aż 53% nie podjęło żadnej aktywności fizycznej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy", można przeczytać w raporcie. Nieaktywni są głównie mieszkańcy wsi i mniejszych miast, o niższym wykształceniu, a także wykazujący niższe dochody. Przede wszystkim mieszkańcy województw: opolskiego (54%), dolnośląskiego (52%) i zachodniopomorskiego (45%). Na drugim biegunie są osoby z województw wielkopolskiego i małopolskiego – tam aktywnością wykazuje się po 69%. Ale co z tego, skoro badanie pokazało też, że ledwie jedna trzecia aktywnych fizycznie Polaków powyżej 15. roku życia może spełniać podstawowe zalecenia dotyczące aktywności fizycznej. To jedynie ok. 7 mln osób.

Krótka kołdra

Polska wciąż tkwi wyraźnie poniżej europejskiej średniej, która wynosi 71% aktywnych obywateli. Jak wynika z danych Eurobarometru, wśród państw członkowskich UE zajmujemy szóstą lokatę od końca; wyprzedzamy tylko Portugalię, Maltę, Włochy, Rumunię i Bułgarię, gdzie średni odsetek osób aktywnych fizycznie wynosi 51%. Podobny do polskiego poziom aktywności fizycznej notuje się w Grecji i Hiszpanii, a nieco wyższy na Cyprze, w Chorwacji i na Węgrzech (średnia dla tych trzech krajów to 68%). Wciąż daleko nam do liderów. Finlandia, Dania, Holandia i Szwecja mają średni wynik na poziomie 94%.

Dlaczego tak się dzieje? Eksperci nie mają jednej odpowiedzi na to pytanie. Adam Radzki, członek zarządu Benefit Systems, spółki będącej twórcą programu MultiSport, wyjaśnia: – W naszym społeczeństwie wciąż panuje błędne przekonanie, że sport to domena ludzi młodych. W Polsce aż 36% osób powyżej 60. roku życia uważa, że wiek stanowi dla nich główną przeszkodę w rozpoczęciu aktywnego trybu życia.

– Nie ruszamy się dlatego, że nie mamy warunków. A tak naprawdę przyczyną może być brak motywacji i nieprawidłowa postawa wobec własnego zdrowia – dodaje Janusz Dobosz z Narodowego Centrum Badania Kondycji Fizycznej warszawskiej AWF.

Z kolei Mateusz Banaszkiewicz, psycholog zdrowia i wykładowca na Uniwersytecie SWPS, ocenia: – To też nawyki wyniesione z domu, wpływ rodziców. 15-20 lat temu byli przecież skupieni na tym, by przeżyć

eprasa.pl 6f24944d35

i zapewnić byt rodzinie. O kulturze fizycznej nikt nie myślał.

Polakom w rozwijaniu aktywności fizycznej nie pomagają również: brak czasu (jesteśmy jednym z najbardziej zapracowanych narodów), konsumpcjonizm oraz kultura czasu wolnego – jeśli już mamy wolne, to albo oglądamy telewizję, albo siedzimy przed komputerem, podjadając słodycze i popijając piwo – w dużym uproszczeniu. Stąd określenie naród kanapowców. Do tego dochodzą zmiany cywilizacyjne: siedząca praca, automatyzacja transportu (wysiłek naszych mięśni zastąpiła praca maszyn) i elektronizacja rozrywki. Nawet dzieci, które z natury mają skłonność do ruchu, całe dnie spędzają przed ekranami. Eksperci wskazują przy tym z jednej strony koncentrowanie się na przyjemności – wiemy, że aktywność fizyczna przynosi rezultaty, ale na początku wymaga wyrzeczeń i silnej woli – z drugiej zaś problemy NFZ – za mało pieniędzy idzie na programy profilaktyczne, za dużo na leczenie (efekt krótkiej kołdry). W dodatku wszechobecne reklamy sugerują, że jeśli już mamy jakieś dolegliwości fizyczne, możemy sobie z nimi szybko poradzić za pomocą prostej farmakologii, czytaj: łykania preparatów bez recepty.

Efekty? Już teraz trzech na pięciu Polaków ma nadmierną masę ciała, a na otyłość choruje co czwarty. Ba, ta ostatnia jest przyczyną 229 innych chorób, w tym schorzeń stawów, chorób serca i nowotworów. Szacuje się, że odpowiada ona za 70% kosztów leczenia cukrzycy, 23% kosztów leczenia chorób sercowo-naczyniowych i 9% kosztów leczenia raka. A w najbliższych 30 latach Polska straci przez nadwagę i otyłość oraz choroby nimi wywołane ok. 4,1% PKB.

Co trzeci z nas się nie rusza. W ogóle. Nawet nie chodzi na spacery!

– Nasz organizm jest metabolicznie uzależniony od ruchu. Powiem więcej, powinno się o nim myśleć jak o niezbędnym składniku naszej diety. Podobnie jak o witaminie C czy np. białku. Po prostu. Bez tego nie możemy żyć – mówi dr Ernest Kuchar i dodaje: – Osoba, która ma niedobór ruchu, nie czuje się w pełni zdrowa. Pojawiają się u niej konkretne objawy, początkowo to uczucie zmęczenia, apatia, depresja, trudności w skupieniu się, zaburzenia snu czy sfery seksualnej. Po jakimś czasie także choroby cywilizacyjne, czyli otyłość typu brzusznego, nadciśnienie, hipercholesterolemia.

Już teraz trzech na pięciu Polaków ma nadmierną masę ciała, na otyłość choruje co czwarty.

Jednak mimo rosnącej skali zjawiska problem nadwagi lub otyłości w otoczeniu dostrzega zaledwie 39% Polaków.

Eksperyment w pytaniach

Tymczasem według zaleceń Światowej Organizacji Zdrowia powinniśmy niezależnie od wieku ćwiczyć co najmniej 75 minut tygodniowo, kiedy wysiłek jest bardziej intensywny, lub 150 minut tygodniowo, jeśli to wysiłek o umiarkowanym natężeniu. Sytuacja, w której oddech staje się przyśpieszony, robi się nam ciepło i dostajemy lekkiej zadyszki. Możemy mówić, ale już nie śpiewać, bo powietrza w płucach jest za mało – tak definiuje to WHO.

Tyle teoria. W praktyce to trudniejsze, niż się wydaje. Dlatego, żeby się zmobilizować, a potem regularnie ćwiczyć, Mateusz Banaszkiewicz radzi dobrze wcześniej się przygotować. – Trzeba pamiętać, że zmiany stylu życia same w sobie nie są łatwe, a nierzadko skoncentrowani jesteśmy przede wszystkim na tym, żeby efekty pojawiły się szybko.

– Tylko jak się przygotować? – dociekam.

– Należy zadbać o wsparcie w chwilach kryzysu. Dowiódł tego eksperyment trójki badaczy: Sarah Milne, Sheiny Orbell i Paschala

KSIĄŻKI

BIAŁO-CZERWONI BEZ TAJEMNIC

Na stulecie PZPN najskuteczniejszy przewodnik po kulisach polskiej piłki, czyli Andrzej Gowarzewski (Wydawnictwo GiA), dorzucił dwa kolejne tomy do swojej unikatowej w skali świata kolekcji. Encyklopedia piłkarska Fuji powiększyła się o „Puchar Polski", czyli dzieje rozgrywek o to trofeum w latach 1926-2019. I o kolejną kronikę, wydaną po dwuletniej przerwie – „Rocznik 2019", czyli raport o stanie polskiej piłki. Opisując zawartość tego tomu, Gowarzewski uprzedził Olgę Tokarczuk i też sięgnął po słowo czułość: „Naszą rodzimą piłkę traktujemy z troską i najwyższą czułością". No właśnie! Tylko tak można z benedyktyńską pracowitością wydawać kolejne tomy. A jest ich już 111. Bez sponsorów. Na przekór zawistnikom i dyletantom, którzy kręcą się przy piłce. A jest ich niestety wielu. I tym bardziej żal, że takich pasjonatów jak Andrzej Gowarzewski na horyzoncie nie widać. Jeśli więc chcecie, by to dzieło rosło, kupujcie kolejne tomy. Naprawdę warto.

(JeD)

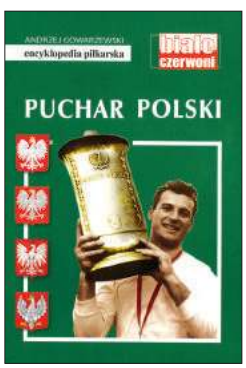

Publikacje GiA można zakupić za pośrednictwem strony www.gia.pl lub dzwoniąc pod numer (+48) 32 203 14 56.

eprasa.pl 6f24944d35

Sheerana z 2009 r. Najpierw podzielili ochotników na dwie grupy. Jedna dostawała tylko informacje, że warto się ruszać i co można robić, druga – także zadanie, by codziennie odpowiadać na kilka pytań, w tym kiedy i gdzie mogą wystąpić trudności i jak mogę sobie z nimi poradzić.

– W środę mam ciężki dzień w pracy i pewnie będę tak zmęczona, że sobie odpuszczę…

– Jak mogę sobie z tym poradzić? Na przykład zaplanować, że pójdę ćwiczyć od razu po pracy albo że zjem w pracy posiłek, który mnie wzmocni.

– A pozostałe pytania?

– Kiedy i gdzie wystąpi okazja, żeby unikać pojawiania się trudności. Bo jeśli jest tak, że w środę widzę się ze znajomymi i wiem, że następnego dnia będę źle się czuł i nie pójdę ćwiczyć, to ustalam ze sobą, że inaczej niż dotychczas albo wcale nie sięgnę po alkohol, albo wypiję tylko kieliszek wina. I ostatnie: kiedy i gdzie wystąpi okazja, by zachować się zgodnie z celem i jakie to będzie działanie. Na przykład w piątek pewnie będą korki, może dobrym pomysłem będzie wysiąść z autobusu wcześniej i przejść na piechotę te trzy-cztery przystanki…

– Jaką to daje skuteczność?

– Okazało się, że grupa bez specjalnego wsparcia miała na początku czas aktywności na poziomie ok. 35 minut w tygodniu, a po 16 tygodniach – 49. Zmiana jest, ale nieznacząca. Z kolei w drugiej grupie początkowy czas wynosił ok. 45 minut, a po 16 tygodniach – ok. 97. Dwa razy więcej!

Wiele zależy też od tego, przekonują praktycy, na jakim etapie zmiany sami się znajdujemy, bo wtedy będziemy potrzebować różnego rodzaju wsparcia. Etapów wyróżniają sześć.

Pierwszy to faza prekontemplacji – ponosimy negatywne konsekwencje zdrowotne, ale nadal nie wiążemy ich z brakiem aktywności fizycznej. Na przykład mam kłopoty z oddechem, rodzina mówi: „To dlatego, że cały dzień siedzisz i nigdzie nie wychodzisz”, a my i tak swoje: „Bzdura. To u mnie dziedziczne”. Wówczas ważne będą zbudowanie poczucia bezpieczeństwa i brak oceny („Jeśli uda się to lekarzowi, pacjent powoli zorientuje się, że jego styl życia faktycznie może mieć związek z dolegliwościami”).

Faza druga to kontemplacja. Myślimy już wtedy: „OK, jak muszę podbiec do autobusu albo idę schodami, dostaję zadyszki. To dlatego, że zwykle się nie ruszam”. Widzimy zależność. Dobrze byłoby coś zrobić, ale nie wiemy, czy damy radę ani jak to w ogóle zrobimy. Ważne wtedy, by sięgnąć po pomoc eksperta, dobre źródła informacji, w tym te, które mówią, co możemy zrobić sami.

Faza trzecia – planowanie. Wówczas pojawiają się odpowiedzi na pytania, co moglibyśmy zrobić, powiedzmy, już od stycznia. I czwarta – faza działania. Właśnie wtedy bardzo ważne jest wsparcie psychiczne. Jeśli trzeba, również lekarza czy terapeuty. Ale nie tylko. Badania pokazały, że pomoc partnera/przyjaciela (nie kusi słodyczami, nie robi wymówek, podnosi na duchu w chwili kryzysu: „Jeśli mogę cię wesprzeć, to jestem”) sprawia, że po 10 miesiącach aż 66% ćwiczących utrzymuje niższą masę ciała. Bez tego – jedynie 24%.

Ostatnie dwa etapy to fazy utrzymania i nawrotu. Przedostatnia wymaga nauczenia się wracania do aktywności, nawet jeśli ją przerwaliśmy. W ostatniej z kolei najważniejsze jest, byśmy zamiast myśleć: „Poniosłem porażkę, nie udało mi się”, zastanowili się, co do tej pory osiągnęliśmy i czego nauczył nas nawrót.

Trening tolerancji

Wbrew pozorom sama wiedza i wsparcie nie wystarczą. Bo nawet jeśli nie zgubią nas nierealistyczne oczekiwania i nadmierny optymizm („W styczniu to już na pewno będę miał czas, a i zapału mi nie zabraknie”), zaważyć może niska tolerancja na dyskomfort. Szczególnie w pierwszych tygodniach, zanim nowe zachowanie stanie się nawykiem.

W aktywności fizycznej nie pomagają nam: zapracowanie, konsumpcjonizm i kultura czasu wolnego.

– Bardziej niż pewne jest, że przez wiele pierwszych zajęć będę się czuć niekomfortowo. Być może będę się porównywać z innymi i utwierdzę się w przekonaniu, że gorzej wyglądam, mam niższą wydolność, bardziej się pocę, moje ruchy nie wyglądają estetycznie… – wylicza psycholog zdrowia. – Potem może być już tylko gorzej. Wystarczy, że pojawią się stres w pracy, zmęczenie, przeziębienie, i dopadną nas silne negatywne emocje. Ten stan z kolei będzie sygnałem, żeby zrobić coś, co poprawi nam nastrój. Nie pójść na trening, tylko do kina. Nie ćwiczyć, tylko zjeść coś słodkiego… Wtedy wsparciem mogą być albo trening uważności, albo odwołanie się do doświadczenia. „Nie chce mi się, ale wiem, że jeśli mimo wszystko pójdę, poczuję się lepiej”.

Do tej pory nie wymyślono nic skuteczniejszego.

•

Tymczasem w internecie:
– Jaką masz budowę ciała?
– Sportową.
– O, a jaki sport uprawiasz?
– Sumo.

Dorota Bartosewicz

eprasa.pl 6f24944d35

Całkowicie nowiuśki kandydat

Edward Mikołajczyk

Nieobecność ekipy telewizyjnej na uroczystości zaprzysiężenia nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego pozbawiła miliony Polek i Polaków wglądu w przebieg tego podniosłego aktu. Narażenie prezydenta RP na taki despekt powinno zostać ukarane przez Radę Mediów Narodowych, bo nie jest możliwe, żeby stosowne zaproszenie ze strony kancelarii nie dotarło w porę na Woronicza albo na plac Powstańców.

Będzie bardzo brakowało zdjęć wideo w materiałach dokumentujących ciągłość wysiłków na rzecz umacniania praworządności w Polsce. Szczególnie bolesny będzie brak koronnego świadectwa oddania prezydenta Dudy tej sprawie, a przecież było ono szczere i do tej pory zawsze stuprocentowe. W dniu odebrania ślubowania od pani Pawłowicz i pana Piotrowicza w Belwederze, 5 grudnia, chyba jeszcze podskoczyło o jakieś 200%. A my tymczasem nawet nie wiemy, czy prezydent dostatecznie gorąco i w co całował najnowsze żywe ikony polskiej praworządności.

Zwykle fotografie z podobnych uroczystości jednak się odnajdują po latach, więc i tym razem należy mieć nadzieję, że ktoś z personelu coś ukradkiem pstryknął i teraz czeka na lepszy czas, a dokładniej na lepszą cenę za towar. Do tego momentu – kto wie, jak długo – jesteśmy zdani na domysły, jak wyglądała ceremonia. Czy były rodziny i krewni zaprzysięganych, czy przybył ktoś z duchowieństwa? Czy odegrano hymn państwowy? Czy prezydent się zapowietrzył, jak czyni to zwykle na dźwięk słowa sędzia, rutynowo wypuścił z siebie potępieńczą kaskadę w kierunku znienawidzonej „kasty" i całego tego „zakłamanego towarzystwa", czy też dał sobie spokój, spoglądając w niewinne oczy niemłodziutkich co prawda (Pawłowicz i Piotrowicz mają razem 135 lat), ale jeszcze niepokalanych adeptów sztuki sądzenia, uszczęśliwionych dziewięcioletnią perspektywą służenia ojczyźnie. Czy kiedykolwiek dowiemy się, jak wyglądał bankiet po imprezie? Jaka była geografia i liczebność wianuszków otaczających głównych bohaterów wieczoru i po ilu minutach prezydenta rozbolała głowa, w związku z czym zaczęto składać obrusy?

W nocy zapewne rzuciły się na prezydenta różne myśli i zmusiły do rozważenia, czy w ogóle poinformować przełożonego, szeregowego posła, o zaistniałej sytuacji, czy donieść i na kogo, czy pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Porzucił wszystkie „dzikie foczki" na Twitterze, żeby mieć więcej czasu dla siebie. Najbardziej spodobało mu się, że rano przy śniadaniu nikt nie wyciągnie gazety ze zdjęciem i nie powie: zobacz, fatalnie.

Nie ma zdjęć, nie ma komentarzy: że niepotrzebnie nosi drugi podbródek, że głowę trzeba pochylać tak, aby nie było widać jej czubka z coraz rozleglejszą powierzchniowo tonsurą, a w ogóle przydałoby się kilka kilogramów mniej.

Myślę, że w nocy z 5 na 6 grudnia urodziła się w głowie prezydenta idea utworzenia własnej telewizji pałacowej, zaopatrującej w pożądany *image* i prawidłowy kontent pałacowy wszystkich zainteresowanych nadawców. Oddany warsztatowo personel sam zadba o to, by prezydent więcej się nie zadręczał pytaniami, czy dobrze wypadł

i w ogóle co fotografować i co puszczać. Kto wie, czy tak oto podczas wspomnianej nocy nie zaczęła się w pałacu słynna repolonizacja mediów!

Wszystko będzie pod kontrolą. Sytuacja nie do opanowania może się zdarzyć jedynie wtedy, kiedy prezydent opuści nasz kraj i znajdzie się poza jurysdykcją telewizji obsługującej jego dwór. Tak jak zdarzyło się to w Niemczech w zeszłym roku. Na prostym przykładzie braku zwykłych żarówek w sklepach Andrzej Duda tłumaczył prezydentowi Niemiec, że nie o taką demokrację nam chodzi w Unii Europejskiej. Na to jest tylko jedna rada: do wyborów, w których PAD wystąpi jako całkiem nowiuśki kandydat, zadbać, by nie opuszczał granic zasięgu swojej telewizji. Niech Trump z zaległą wizytą zjawi się tutaj.

Myślę, że w nocy z 5 na 6 grudnia urodziła się w głowie prezydenta idea utworzenia własnej telewizji pałacowej.

Na nadmiar kilogramów polecam natomiast radę Jana Henrika Swahna, szwedzkiego tłumacza Olgi Tokarczuk. Zakochał się kiedyś w dziewczynie, której ojcem był Czech, a matką Polka. Rozmawiali po szwedzku zaledwie przez pięć minut na początku każdego spotkania, potem rodzina przechodziła na polski albo czeski. Swahn nie rozumiał ani jednego słowa, dlatego bez przerwy jadł. Dopiero po siódmym kilogramie powiedział: stop, muszę się nauczyć obu języków (rozmowa w „Plus Minus" nr 49). ■

FOT. A-MEM

eprasa.pl 6f24944d35

Luksus dobrego opakowania

Rosnący rynek pudełek i toreb po ekskluzywnych towarach pokazuje, że potęga marek nie kończy się na ich produkcie

Mateusz Mazzini

Zakupy w butikach znanych marek kojarzonych z luksusem są doświadczeniem samym w sobie. Wystarczy wejść do jednego z nich, by poczuć, że z codziennymi zakupami nie mają wiele wspólnego. Liczba pracowników obsługujących klientów jest na tyle duża, wręcz nieproporcjonalnie do wielkości sklepu i asortymentu, że praktycznie każdy, kto przechodzi przez próg butiku, ma przydzielanego zakupowego „anioła stróża". Jego formalna nazwa różni się w zależności od marki, odzwierciedla jej status i poziom cenowy ekskluzywnej oferty. W tańszych sklepach obsługiwać nas będzie doradca klienta czy asystent ds. sprzedaży, w najbardziej luksusowych przewodnikiem stanie się *concierge*, który przy okazji zaoferuje ciepły napój i przyniesie ładowarkę do telefonu. Potem, jeśli już zdecydujemy się na zakup wybranego produktu, jeszcze bardziej zostaniemy dopieszczeni przy kasie. Czeka nas także rejestracja w systemie i założenie konta, paragon wsunięty do wielkiej, sztywnej koperty, a sam produkt – choćby najmniejszych rozmiarów – opakowany w solidne pudło, nierzadko wyścielone delikatną tkaniną i przepasane jedwabną wstążeczką. Wszystko przebiega w miłej atmosferze, bez napięć i stresów.

Co jednak następuje potem, gdy klient luksusowego butiku wraca z zakupem do domu? Intuicja podpowiada, że produkt odpakowuje, a pudełko wyrzuca. Może tak się dzieje w przypadku zwykłych zakupów, jednak nie w odniesieniu do towarów ekskluzywnych. Ich opakowania coraz częściej znajdują nie tylko drugie życie, ale nawet drugiego nabywcę. Jak się okazuje, siła luksusowych marek wykracza daleko poza magnetyzm logo i jakość produktów. Pudełka czy torby, w które zakupy są pakowane, a nawet papierowe koperty, do których sprzedawcy wrzucają paragony, same w sobie są produktem luksusowym i pożądanym.

Szybki przegląd internetowych portali aukcyjnych potwierdza tę tezę. Pudełko po torebce Chanel kosztuje od 100 do 300 zł. Podobnie Louisa Vuittona i Prady. Im opakowanie większe, bardziej złożone, często z wyrafinowanym wzorem czy wyraźniejszym logo, tym cena wyższa. Na zagranicznych stronach ceny dochodzą nawet do 2-3 tys. dol. za karton. Przodują Gucci oraz Dolce&Gabbana. Mniej zamożnym pozostają mniejsze opakowania po portfelach, notatnikach, szalach czy krawatach. Te można kupić już za 50 zł. Ważne, by torba nie miała urwanych sznurków, pudełko było bez zgniecionych czy obtartych rogów. Co z tego, że będzie puste? Nadrukowany na nim logotyp działa na wyobraźnię.

Ale po co kupować opakowania z drugiej ręki? Przecież są one jedynie dodatkiem do samego luksusowego produktu, nie ma w nich nic szczególnego. Karton to wciąż karton, nie stoi za nim kilkaset lat tradycji, sztuka rękodzieła czy nowoczesna technologia. Dlaczego więc znajdują się chętni do zapłacenia za nie nawet kilku tysięcy dolarów?

Odpowiedź jest złożona. Badania przeprowadzone przez zespół prof. Razvana Zaharii z Uniwersytetu Ekonomicznego w Bukareszcie pokazują, że zjawisko kupowania opakowań z drugiej ręki częściowo da się wytłumaczyć chęcią

eprasa.pl 6f24944d35

odtworzenia doświadczenia luksusowych zakupów. Procedura obsługi klienta w ekskluzywnych magazynach, tak inna od codziennych transakcji czy kontaktów z pracownikami zwykłych sklepów, jest pierwszym magnesem przyciągającym chętnych do posiadania kartonów z logo Chanel. Zaharia tłumaczy, że kupując je – nawet jeśli są puste – przekonujemy sami siebie, że należymy do grona osób mogących przejść przez rytuał ekskluzywnych zakupów. W ten sposób zmieniamy, przynajmniej na chwilę, obraz samych siebie wobec reszty społeczeństwa. Nie tylko bowiem posiadanie drogich przedmiotów, ale i sama zdolność ich nabycia może być wyznacznikiem przynależności do klasy wyższej czy uprzywilejowanej grupy społecznej. Nie musimy obnosić się z torebką znanej marki, nie ma nawet potrzeby, żebyśmy ją mieli. Posiadanie jest tu stanem wtórnym wobec stanu pierwotnego, jakim jest możliwość nabycia przedmiotu. Kupując pudełka po torebkach Prady, staramy się zatem przekonać własną podświadomość nie tyle o naszym stanie posiadania, ile o tym, kim jesteśmy w oczach innych członków społeczności.

Kupowanie używanych opakowań ekskluzywnych marek ma też dużo bardziej przyziemne czy nawet praktyczne zastosowanie. Ich obecność w naszym życiu może nie tylko poprawiać samopoczucie czy łechtać ego, ale też podnosić wartość otoczenia i przedmiotów, które naprawdę posiadamy. Na przykład nieruchomości. To ostatnie zjawisko opisali kilka lat temu dziennikarze „New York Post". Przygotowując reportaż na temat tzw. nurków śmietnikowych (*dumpster divers*), natrafili na mężczyznę, który trudnił się wyciąganiem z koszy na odpady i dużych kontenerów przemysłowych opakowań po luksusowych produktach. Następnie sprzedawał je niemal od ręki agentom nieruchomości, którzy po oczyszczeniu układali je na eksponowanych miejscach w mieszkaniach i domach wystawionych na sprzedaż. Jeden z agentów przyznał, że położenie np. pudełek po markowych torebkach pozwalało sprzedać nieruchomość nawet za cenę kilka procent wyższą, niż pierwotnie zakładano.

Chętnymi nabywcami pudełek luksusowych marek są też wszelkiego rodzaju instytucje sztuki. Teatry, domy kultury na całym świecie nabywają je jako elementy scenografii do przedstawień lub fragmenty instalacji artystycznych. Polują na nie kolekcjonerzy i fani marek, zbierający np. opakowania produktów z konkretnych roczników czy modowych kolekcji. Dla wszystkich tych nabywców jest to jednak hobby, dodatek do codziennej aktywności. W przeciwieństwie do innych, którym pudełka potrzebne są do zarobienia realnych pieniędzy.

Pudełko po torebce Chanel kosztuje od 100 do 300 zł. Podobnie Louisa Vuittona i Prady.

Drogie torebki czy zegarki są bowiem często kupowane jako inwestycja, polisa ubezpieczeniowa na przyszłość. Nie dewaluują się ani szybko, ani w znacznym stopniu, można je więc sprzedać na rynku wtórnym i odzyskać większość, a nawet wszystkie wydane pieniądze. Problem w tym, że wielu kupujących z drugiej ręki nie przyjmuje produktów bez oryginalnego opakowania. A pod tym pojęciem rozumie się także pudełko, paragon wsunięty w firmową kopertę i wstążkę przy torbie. Dla kupującego ma to być zabezpieczenie przed oszustwem. Bo nawet jeśli duplikaty, produkowane najczęściej w Azji, stają się – przynajmniej dla laika – trudne do rozpoznania, to już ich opakowania rzadko kiedy dopasowują się do nich jakością. Najczęściej nie ma ich w ogóle lub są niedbale wykonane. Podróbkę zdradziłyby więc natychmiast. Dlatego każdy, kto swój luksusowy produkt chce sprzedać na rynku wtórnym, potrzebuje jego oryginalnego opakowania. Jeśli go nie ma, bo o zachowaniu pudełka nie pomyślał zawczasu, musi je skompletować. Zostaje internet, bo luksusowe butiki nie prowadzą przecież sprzedaży samych pudełek.

W tym miejscu warto się pochylić nad strategią wielkich marek modowych. Skoro rynek samych opakowań Chanel, Prady czy Louboutin rozrasta się tak bardzo, dlaczego giganci nie mieliby zarabiać i na nim? Wystarczyłoby przecież wydrukować nieco więcej kartonów, przybić trochę firmowych pieczątek. Łatwo sobie wyobrazić, jak wysoka byłaby marża na komercyjnie sprzedawanych opakowaniach. Obecna strategia luksusowych producentów jest jednak inna.

Dom mody Chanel już na początku ubiegłej dekady odgórną dyrektywą korporacyjną zadecydował, że wszystkie nienadające się do sprzedaży przedmioty sygnowane logo firmy będzie natychmiast utylizować. Dotyczy to również ozdobnych opakowań czy katalogów z kolekcjami marki. Odpady trwałe przewożone są do spalarni, papierowe z kolei niszczone na miejscu. Na stronie internetowej firmy można przeczytać, że niszczenie ma zapobiegać handlowaniu „własnością firmy przez nieuprawnione do tego osoby w nielegalnych kanałach sprzedaży". Czyli właśnie przez wspomnianych kolekcjonerów, zdesperowanych właścicieli torebek bez pudełka czy mniej zamożnych członków społeczeństwa, którzy bardziej od samej torebki pragną uczucia przynależności do klasy na tyle zasobnej, by ją posiadać. Bo, jak się okazuje, luksusowe marki handlują nie tylko trwałymi przedmiotami. Mają też władzę nad zupełnie ulotnymi chwilami i niemożliwymi do zmierzenia uczuciami. ■

Wstrząsająca tragikomiczna historia nieudanego samobójstwa rozszerzonego w najnowszym – **świąteczno-noworocznym numerze tygodnika „NIE". Oraz życzenia: Pisiego Roku.**

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 6f24944d35

Konno po krewetki

Oostduinkerke to jedyne miejsce na świecie, gdzie do regularnego połowu owoców morza używa się koni. Ta tradycja przetrwała kilka wieków

Paweł Drąg

Jakieś 25 km na wschód od Dunkierki, kraniec linii brzegowej należącej do Belgii. Spokój, cisza, trudno uznać to miejsce za ekscytujące. Turysta prawdopodobnie ominie szerokim łukiem wjazd do Oostduinkerke, kierując się w stronę pobliskiej Francji lub zjawiskowej Gandawy, oddalonej stąd o godzinę drogi. Może właśnie dlatego czas tu się zatrzymał w tak niezwykły sposób? Czy to dzięki temu udało się uratować dziedzictwo praojców? A może za sprawą niezwykłego uporu grupy pasjonatów, która postanowiła ocalić historię od zapomnienia?

W niewielkiej miejscowości we Flandrii Zachodniej mimo przeszkód kultywuje się tradycję znaną od co najmniej pięciu wieków. *Crangon crangon* to szare krewetki, rarytas w Belgii, Francji, Holandii i w południowej Anglii. Ale smak to jedno. Drugie – ciekawy sposób zdobywania skorupiaków. Nigdzie indziej połów dwucentymetrowych krewetek nie odbywał się na specjalnie wytresowanych do tego zadania koniach. W całym procesie od zawsze najważniejsza była więź ludzi z ich wierzchowcami. Pozostałe elementy, takie jak sprzęt czy technika, podlegały drobnym przekształceniom. Pomału jednak w kolejnych miejscach rezygnowano z tej tradycyjnej metody zdobywania owoców morza. Górę brały nowe technologie, wypierające przeszłość na rzecz masowego rybołówstwa i przemysłu rolnego. Obecnie Oostduinkerke to jedyne miejsce na świecie, które pozostało wierne krewetkowej historii.

Najlepsze połowy są od kwietnia do października.

Zimą nie dzieje się zbyt wiele, natomiast o innych porach roku poławiacze wyruszają do pracy kilka razy w tygodniu. Najlepsze połowy są od kwietnia do października, pod warunkiem że jest odpływ. Bez tego nie ma szans na powodzenie krewetkowej misji. Znakiem rozpoznawczym rybaków są żółte sztormiaki chroniące przed wiatrem oraz chłodem Morza Północnego. Rybacy zaprzęgają konie do drewnianego wózka, w którym są wszystkie akcesoria niezbędne do połowu. Nieodłącznym elementem jest stabilne siodło, by poławiacz czuł się pewnie na końskim grzbiecie. Każdy rybak nie tylko znakomicie jeździ konno, ale też ma wielką wiedzę dotyczącą morza, brzegu czy zwyczajów krewetek. Ze względu na konie połowy odbywają się w miejscach, gdzie brzeg jest wolny od kamieni, a jednocześnie w miarę płaski. Rybacy z Oostduinkerke potrzebują około godziny, by dotrzeć do takich terenów. Następnie przygotowują sieci, w które dziennie łapią ok. 5 kg krewetek. Kiedyś było to nawet 15-20 kg, jednak zmiany klimatyczne, nieuporządkowany ekosystem i inne czynniki wpłynęły na zubożenie połowów.

Na pierwszy rzut oka zadanie wydaje się proste. Krewetki nie należą do najżwawszych stworzeń, można zatem sądzić, że połów nie nastręcza kłopotów. Nic z tego. Warunki nie są lekkie, więc koń i jeździec muszą sobie ufać bezgranicznie. Za każdym razem konie kroczą po brzuch w wodzie, wlokąc olbrzymie sieci przypominające sito. Do siatki przymocowane są także łańcuchy – ciągnięte wzdłuż piaszczystego dna wytwarzają wibracje i powodują, że krewetki podskakują, co ułatwia wciągnięcie ich do sieci. Co kilkanaście minut poławiacze wracają na brzeg, by zwierzęta mogły odpocząć. Wiele lat wcześniej zaprzęgano każdy rodzaj koni. Dzisiaj są to przede wszystkim brabanckie konie pociągowe o średniej wadze tony. Mimo ich masy i niezwykłej siły przerwa jest nieodzowna. To też dobry czas na opróżnienie sieci z przypadkowych zdobyczy, czyli małych ryb i meduz. Rybacy przesypują wtedy

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 6f24944d35

krewetki do wiklinowych koszy przytroczonych do boków wierzchowców. Później skorupiaki są gotowane w bulionie, a po wystygnięciu obierane. Dawniej tą czynnością trudniły się dzieci, bo mają drobne dłonie, a szare krewetki są małe. Dziś, w erze smartfonów, najmłodszych trudno do tego namówić.

Krewetki najlepiej smakują smażone na głębokim tłuszczu i panierowane lub podawane na zimno z pomidorami i majonezem. W okolicy gotuje się je również w lekko osolonej wodzie i podaje w całości jako przekąski do lokalnych piw rzemieślniczych.

W grudniu 2013 r. konny połów krewetek trafił na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Obecnie trudni się nim jedynie 15 osób, które nie tylko łowią krewetki, ale także uczą młodszych poszanowania tradycji oraz praktycznych umiejętności, niezbędnych do pełnienia tej zaszczytnej funkcji społecznej. Pasja do kultywowania dziedzictwa kulturowego jest często przekazywana z ojca na syna, ale sama chęć nie wystarczy. Trzeba ukończyć kurs teoretyczny w NAVIGO – Narodowym Muzeum Rybołówstwa w Oostduinkerke. Stażyści muszą też odbyć dwuletnie szkolenie praktyczne, zakończone egzaminem.

Ze względu na konie połowy odbywają się w miejscach, gdzie brzeg jest wolny od kamieni i w miarę płaski.

Jeszcze do niedawna rybakami z Oostduinkerke zostawali wyłącznie mężczyźni. Przede wszystkim ze względów praktycznych, ponieważ połów wymaga tężyzny fizycznej. Rok 2019 jest jednak przełomowy. Nele Bekaert jako pierwsza kobieta w historii zdała egzamin praktyczny i oficjalnie została przyjęta przez okoliczną społeczność jako konny poławiacz krewetek.

Ta tradycja to ważny element silnego poczucia tożsamości mieszkańców regionu. Wokół niej organizuje się wiele wydarzeń kulturalno-społecznych, wśród których najważniejsze jest Święto Krewetki. Na tę okazję szyje się specjalne kostiumy, będące istotnym uzupełnieniem Pochodu Krewetki, w którym rokrocznie uczestniczy kilka tysięcy osób. W tym czasie w mieście odbywają się spektakle uliczne, pokazy i zabawy do białego rana.

Rodziny poławiaczy mogą liczyć na wsparcie władz administracyjnych, towarzystw kulturalnych oraz biura turystyki. Odzwierciedla się to w specjalnym planie przestrzennym zagospodarowania terenu, wspierającym kontynuowanie tradycji. Stowarzyszenia poławiaczy zajmują się promocją, a Narodowe Muzeum Rybołówstwa dokumentuje metody i zwyczaje. Muzeum organizuje także warsztaty i wizyty w gospodarstwach rybaków dla uczniów, aby wzbogacać ich wiedzę również od strony praktycznej. Wszystko w jednym celu – by uchronić dziedzictwo przed zapomnieniem. Na razie z tej batalii poławiacze krewetek wychodzą zwycięsko. ■

eprasa.pl 6f24944d35

Hôtel de Glace, Saint-Gabriel-de-Valcartier w Quebecu, Kanada.

NIETYPOWY ODPOCZYNEK

Spitbank Fort, Solent
w pobliżu Portsmouth, Anglia.

eprasa.pl 6f24944d35

Nay Palad Bird Nest, Laikipia, Kenia.

Tree Houses, Jinan, Chiny.

Na świecie są miliony miejsc noclegowych: hotele, pensjonaty, hostele. Wiele ze standardowymi pokojami i wyglądem. A gdyby tak obudzić się gdzieś, gdzie przez okno zagląda żyrafa, tak jak w Giraffe Manor w Kenii, bądź w Nay Palad Bird Nest w sercu hrabstwa Laikipia, który oferuje nocleg w wielkim ptasim gnieździe z panoramicznym widokiem na afrykańską przyrodę, albo w środku patagońskiej dżungli w Montaña Mágica Lodge, z dala od zgiełku cywilizacji… Lub, jeśli wysokie temperatury okażą się męczące, w Hôtel de Glace w Kanadzie, z iście lodowatą atmosferą.

Nic, tylko podróżować.

Montaña Mágica Lodge, Patagonia, Chile.

Giraffe Manor, Nairobi, Kenia.

FOT. BEWPHOTO, EAST NEWS (5)

eprasa.pl 6f24944d35

JOLKA

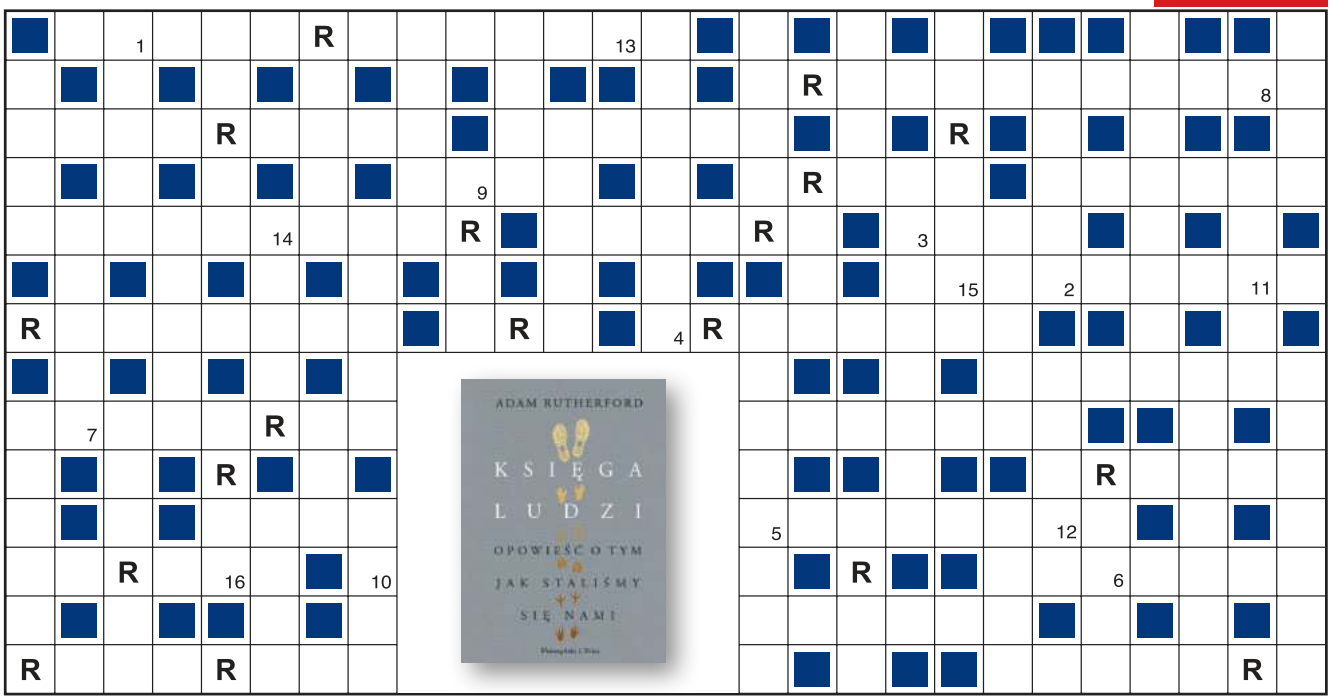

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą końcowe hasło.

- Złota z obrazu Klimta, czyli pani Bloch-Bauer
- jego odmianą jest sardonyks
- pod niebiosa wyśpiewują: Gloria, gloria, gloria
- kwestionariusz z pytaniami
- …Arkadiewna Karenina
- w 1453 r. Austria nim została
- Little Rock w tym stanie i nad tą rzeką
- puchate kotki na wierzbie
- paraliż, inercja, apatia
- potocznie auto dobrej marki
- 0 w skali Beauforta
- Warszawska zbudowana na rozkaz Mikołaja I
- sprzedawanie towarów za granicę
- owal lub literacka wyrzutnia
- uprzywilejowana na drodze
- np. „Prośba o wyspy szczęśliwe" Gałczyńskiego
- jeden ze składników gazu ziemnego
- zastąpiona benzyną bezołowiową
- domek z bloków lodu
- pisarz Grin, kompozytor i wokalista Dudek
- miasto nad Nysą Szaloną albo drzewo
- duga odmiana dyni zwyczajnej
- starszy od ordowiku
- potrzebny do pokazania, że jest OK
- trwa dłużej niż kartkówka
- wywar z kaszy, ryżu
- lokal taki jak dawne horteksy
- zwierzęco o wesołej dziewczynie
- napiera na izbicę
- buty bez napiętka do chodzenia po domu
- zewnętrzna powierzchnia ściany budynku
- …i porosty
- węglowy drobno pokruszony
- wodospad na północ od jeziora Erie
- fałsz, kłamstwo
- naturyzm
- laureat pokojowego Nobla za 2009 r.
- szary, ciężki metal – silna trucizna
- …Czorsztyn – kompleks skansenowo-turystyczny
- grają skocznie Dzieciąteczku na lirze
- formuje się wewnątrz muszli
- egipska drobna moneta
- producentka miodu
- samochód przed komendą
- dawny członek rady miejskiej
- kąpielisko niedaleko Niechorza
- obszar przymusowego osiedlenia Indian
- powinna być na stole wigilijnym
- bolesny mięśnia
- świeże z wyciskarki
- dobrze, gdy w dziesiątkę
- używana w podnoszeniu ciężarów
- śniegu – gdy temperatura na plusie
- filmowy lub iluzjonisty
- hermetyczna zakrętka i taniec
- w garderobie ich wybór spory
- państwo z Żytomierzem
- urojenie, iluzja
- wiejski fartuch z wełny
- nierównoległe ustawienie gałek ocznych
- np. podkreślnik

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-940". Do rozlosowania książki „Księga ludzi" ufundowane przez Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 grudnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-937" z 8 grudnia: *Makijaż to retusz natury.*

Nagrody otrzymują: Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Stanisława Rucka z Opola, Ewa Zawadzka z Warszawy.

eprasa.pl 6f24944d35

KRZYŻÓWKA Z GWIAZDKĄ

W diagramie ujawniono tylko część numerów i zaciemnionych pól – rozmieszczenie pozostałych należy ustalić. Litery z pól ponumerowanych dodatkowo od 1 do 16 utworzą końcowe hasło.

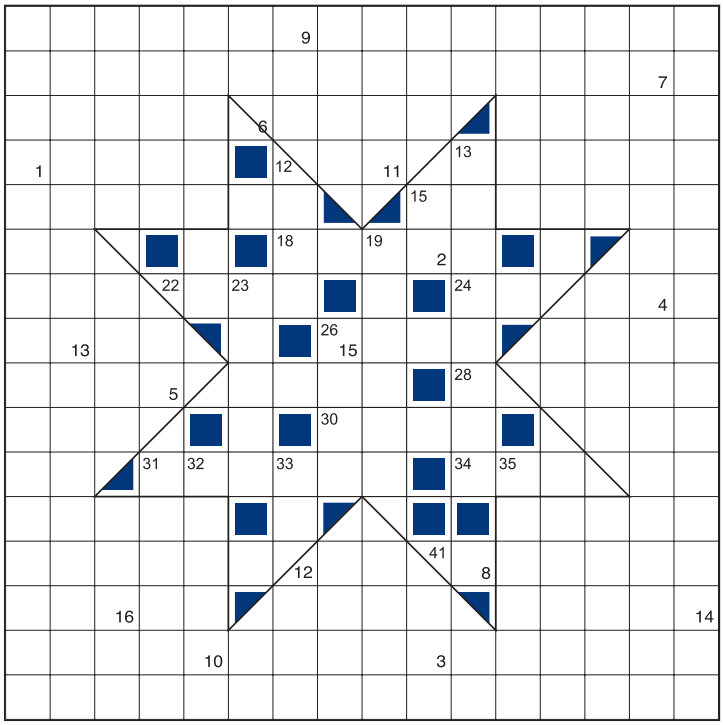

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13	14	15	16

Poziomo:
1) …świrzepa, pospolity chwast
9) modernizator, reformator
10) 303. polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii
12) biały, sztywny czepiec zakonnicy i instrument podobny do trąbki
14) siodło wojskowe kryte skórą
15) różowoczerwony z fioletem
18) napój konkurujący z coca-colą
20) kto je zjada, ten piękny i gładki
24) wyścigówka bez nadwozia, o małych kołach
25) …Madryt, drużyna Luki Modricia
26) głośny niedawno film Smarzowskiego
27) konieczna, sycylijska lub Westerplatte
28) niedokrwistość
29) imię Paskiewicza, namiestnika Królestwa Polskiego
30) za Saturnem
31) gazowy olbrzym z pierścieniami
34) zapracowany przy rewolwerówce
38) jego związki stosowane, by zapobiegać próchnicy zębów
39) palmowa wśród afrykańskich małych drapieżników
40) Sienkiewiczowski Janko
42) życiowa, wierszowa, lepiej nie płaska
43) służą do jazdy, gdy nie ma śniegu
44) gra planszowa z biciem także do tyłu

Pionowo:
1) urządzenie zmniejszające, ograniczające coś
2) zewnętrzna papierowa okładka książki
3) można czemuś nadać określony
4) enologia je bada, w enotece kupisz
5) owoc z kępką liści na szczycie
6) pewna suma pieniędzy
7) jej królem był Odyseusz
8) wyraz taki jak wniebowzięty
11) ssak z dorzecza Konga, z pręgowanymi nogami i wydłużoną szyją
13) opuścił ojczyznę
16) do odbijania piłeczki pingpongowej
17) Stanisław Marusarz lub Alberto Tomba
19) badacz obszarów podbiegunowych
21) pamiętana z PRL kiełbasa z mięsa wołowego i boczku
22) Fernando z Formuły 1
23) jednostka masy znana jubilerom
26) Major lub Napoleon z „Folwarku zwierzęcego"
32) Wielka – flota hiszpańska zniszczona w 1588 r.
33) naukowiec autorytet
35) iść do niego to pobierać się
36) do budowy nawierzchni dróg
37) …sinic powoduje zielony kolor wody
41) na mrozie trudno je uruchomić rano

SZYFROKRZYŻÓWKA

Diagram należy wypełnić w taki sposób, aby w polach oznaczonych tymi samymi liczbami znalazły się jednakowe litery. Cztery spośród wszystkich występujących w diagramie liter zostały już rozszyfrowane. Do kolorowych pól należy wpisać wyraz odgadnięty na podstawie objaśnienia:

• można je mieć jasno sprecyzowane

Odpowiednie litery, przeniesione do kratek pod diagramem, utworzą końcowe hasło.

Tu wpisuj odgadywane litery:

1	2	3	4	5	6	7	8	9 G	10	11
12 C	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
23 N	24 R	25								

Rozwiązanie:

21	23	3	1	8	15	11		
18	24	22	6	22	23	8	3	15

	19		18		5		21	2	6	22	24	11	8	4
18	4	23	11	24	4	21	4		2		22		24	
	8		9		21		1	4	21	11	12	10	3	14
24	22	4	13	2	4		22		5		2		7	
	14		16		19	25	12		4	18	8	22	19	4
	24	11	14	22	11		6	22	5	24	4		16	
5	4	14	20	13			19		15	4	13	25	8	4
11		24		14	25	23	4	7	22	12		24		25
9	24	11	23	11		4		4		11	14	15	4	24
4		5		24		21	4	1	20	15		2		22
12	10	2	12	4	9	11		19		23	11	1	4	13
6		23		14		15	4	24	9	2		19		2
	19	4	8	11	14	4		4		19	17	11	14	4

Wśród osób, które w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru nadeślą rozwiązania szyfrów obu krzyżówek, krzyżówki z gwiazdką i szyfrokrzyżówki, rozlosujemy DVD „Planety" ufundowane przez Best Film CO. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych.

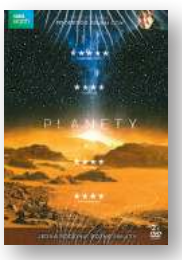

eprasa.pl 6f24944d35

Negocjatorzy

Żarty się skończyły. Od wielu miesięcy toczy się w Brukseli zacięta batalia o duże pieniądze. Chodzi o unijny budżet na lata 2021-2027 i o to, ile z tego tortu zostanie wykrojone dla Polski. Na razie premier Morawiecki dostaje łupnia w tej grze, choć zapewnia, że jest świetnie. Jednak nie jest.

Zgodnie z pierwszą propozycją Komisji Europejskiej, jeszcze z ubiegłego roku, Polska w latach 2021-2027 miałaby otrzymać w ramach polityki spójności 64 mld euro. To dużo, ale zdecydowanie mniej, niż dostała w wygasającym okresie siedmioletnim (84 mld euro). Co więcej, pojawiają się propozycje, by tę sumę jeszcze zmniejszyć.

Argumenty padają przy tym różne – że w Unii nie będzie Wielkiej Brytanii, więc będzie mniej pieniędzy do dzielenia, że Polska już nadrobiła część dystansu wobec średniej unijnej, trzeba więc fundusze skierować do Bułgarii i Rumunii, są też propozycje, by wypłatę pieniędzy połączyć z praworządnością.

Tak czy inaczej, okazuje się, że Polska otrzyma o 23% mniej niż w poprzedniej siedmiolatce. To rekordowy spadek, bo innym krajom obcięto fundusze o 10%. Oto obraz klęski naszych negocjatorów i malejących wpływów w Unii.

Ale w tym tunelu pojawiło się światło. To idea Europejskiego Zielonego Ładu, czyli osiągnięcia do roku 2050 tzw. neutralności klimatycznej. I na te działania, związane głównie z zastąpieniem węgla przez inne źródła energii, Unia jest gotowa wyasygnować 100 mld euro. I to na początek. Polska z kolei liczy, że z tej sumy może urwać 20 mld euro.

Tylko czy jest to realne?

Podczas grudniowego szczytu w Brukseli Komisja Europejska zaprezentowała projekt Europejskiego Zielonego Ładu, z założeniem, że do roku 2050 cała Unia przestanie emitować CO_2 do atmosfery. No i Polska stanęła z boku. „Na tym etapie jedno państwo członkowskie nie może się zobowiązać do realizacji tego celu; Rada Europejska wróci do tej kwestii w czerwcu 2020 r.”, tak brzmi zapis dotyczący Polski, który wynegocjował Mateusz Morawiecki, twierdząc, że Polska do neutralności klimatycznej będzie dochodzić we własnym tempie.

I to ogłoszono jako wielki sukces polskiego premiera. Że wytargował pół roku na podjęcie decyzji, czy Polska wchodzi w program Zielonego Ładu, czy nie. Lub też, tłumacząc to inaczej, słowami prezydenta Macrona – czy Polska jest zainteresowana unijnymi funduszami na ten cel, czy nie. Bo jeżeli nie przystąpi do programu, to nic nie dostanie.

Sytuację mamy więc taką, że do wyborów prezydenckich nic oficjalnie się nie zdarzy. I Andrzej Duda będzie mógł jeździć do górników i wołać, że PiS będzie broniło kopalń jak niepodległości. A potem się zobaczy.

Czy taka taktyka ma sens?

Jeśli Polska zamierza uczestniczyć w negocjowaniu wsparcia z przyszłych instrumentów finansowych Zielonego Ładu UE, to przecież nie może ogłaszać, że idzie osobno. Musi w Unii przedstawić do końca tego roku tzw. zintegrowany plan w dziedzinie energii i klimatu na lata 2021-2030 oraz strategię klimatyczno-energetyczną do 2040 r. I na tej podstawie budować plany inwestycji, działań ochronnych wobec tych, którzy stracą pracę, itd. I zabiegać, negocjować, co zupełnie pisowskim urzędnikom nie wychodzi.

Dlatego PiS i premier Morawiecki wolą ogłaszać, że znów osiągnęli sukces. To przyjemne i niewymagające dużego wysiłku zajęcie.

Attaché

Zbiór lilii wodnych z kanału w mieście Barisal w Bangladeszu. Kwiaty te pokrywają kanał o powierzchni 10 tys. akrów.

FOT. CATERS NEWS/FORUM

eprasa.pl 6f24944d35

PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

JAN SWAHN,
SZWEDZKI TŁUMACZ KSIĄŻEK OLGI TOKARCZUK

Tłumaczenie książek Olgi jest wymagające, to długa praca, ale dająca mnóstwo zadowolenia. U Olgi wszystko jest jasne, przejrzyste, przemyślane, ona wie doskonale, co i jak przekazać swojemu czytelnikowi. Nad „Biegunami" pracowałem powoli, półtora roku. Ponieważ tłumaczyłem dla małego wydawnictwa, nikt mnie nie gonił, nie ponaglał, nie wyznaczał ostatecznych terminów, miałem absolutny komfort spokojnej pracy. Nieco inaczej wyglądała praca przy „Księgach Jakubowych". Gdybym pracował tym spokojnym tempem, to 1000 stron tłumaczyłbym przez trzy lata. Trzeba było dokładnie poznać, jak wyglądało życie 300 lat temu, jak mówiono, pisano. Przesiadywałem godzinami w Bibliotece Królewskiej w Sztokholmie i przeglądałem dokumenty, książki. To była intensywna praca, często dniem i nocą, przez dziesięć miesięcy.

POLSKA

PROF. JERZY BRALCZYK,
JĘZYKOZNAWCA

Dajmy ludziom wolność. Jeśli ktoś chce być ministrą, niech się tak nazywa. Ale oficjalny urząd powinien brzmieć: minister. Niedawno poznałem panią kapitan, która nie chciała być kapitanką. Wiele jest takich pań, które tego nie chcą. W Norwegii trwa kampania, żeby odcinać końcówki żeńskie, bo panie chcą być równouprawnione. Nie chcą nazywać się *lekarin*, tylko *lekar*, bo są lekarzami, a nie lekarkami. Sto lat temu protestowały przeciwko lekarkom nasze panie leczące. Bo lekarka to była najczęściej babka zielarka.

Press

MARIUSZ KOWALCZYK,
PUBLICYSTA

W 2006 r. Sąd Najwyższy odrzucił kasację złożoną przez Łęskiego, Kasprowa i byłego naczelnego „Życia" Tomasza Wołka i nakaz przeproszenia przez nich Kwaśniewskiego stał się ostateczny. Do tego jeszcze Łęski musiał odpierać zarzuty o bliskie kontakty z UOP. W październiku 1997 r. Jerzy Jachowicz (obecnie autor tygodnika „Sieci") w „Gazecie Wyborczej" opublikował listę „brzydkich przecieków" z UOP. Aż trzy miały związek z Jackiem Łęskim. Jachowicz przypomniał obecność Łęskiego przy zatrzymaniu Wojciecha Dobrzyńskiego. Łęski odpowiedział listem do „GW", w którym zarzuty Jachowicza nazwał „rażącym nadużyciem".

PANI

ALEKSANDRA POPŁAWSKA,
AKTORKA

Jestem dumna ze swojego pochodzenia. Kocham Śląsk, a przede wszystkim Ślązaków. Ich nie można oszukać i kitu w teatrze im się nie wciśnie. W Warszawie dużo ludzi udaje zachwyt, bo mają w tym jakiś interes. Na Śląsku by to nie przeszło: jak się nie spodoba, to widać i słychać. Ale jak Ślązacy kochają, to całym sercem. Poza tym ten kult pracy i porządku.

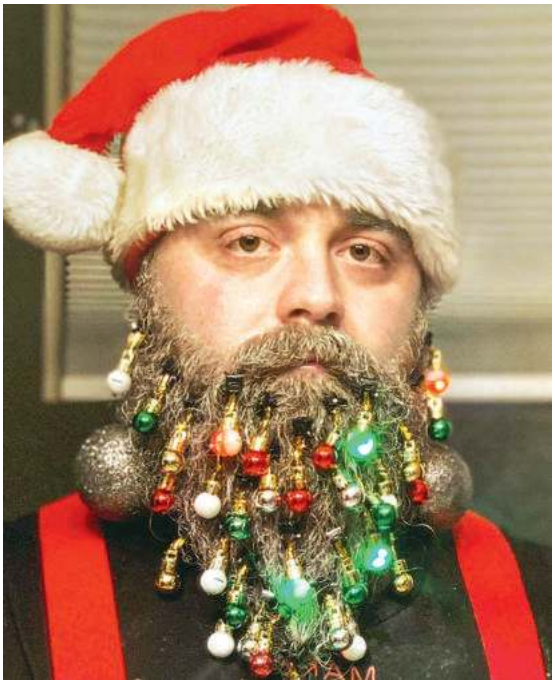

26-letni Kevin Clevenger w świątecznej stylizacji.

FOT. CATERS NEWS/FORUM

Aby język giętki…

EWA WACHOWICZ O PIERNIKACH
Ciasto musi leżakować do sześciu tygodni, więc nastawiam je w okolicy moich urodzin, 19 października. I na początku grudnia mam ciasto idealne, a po dwóch tygodniach od wypieku najlepsze pierniki na święta.

ANITA WŁODARCZYK O SUSHI
W czasie wakacji w Japonii polubiłam sushi, ale jakbym jadła tylko to, to o wyniki byłoby trudno.

ADAM ZAGAJEWSKI O WŁADZY
Dzisiaj mamy kapłanów u władzy, dosłownie, mamy panów arcybiskupów, którzy nami pomiatają.

PROF. MAREK BELKA O FRANSIE TIMMERMANSIE
Wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej to dziś postać dominująca w Unii i szalenie popularna.

DANIEL PASSENT O PROF. ANDRZEJU WERBLANIE
Książka „Polska Ludowa. Postscriptum" to kolejny dowód niezwykłej pamięci i inteligencji autora, jego wiedzy na temat mechanizmów władzy w Moskwie i Warszawie.

DANUTA KUROŃ O ŻOLIBORSKIM INTELIGENCIE
Człowiek demokrata, dla którego wszyscy są równi, nie ma uciskających i uciskanych, uprzywilejowanych i upośledzonych.

AGNIESZKA KRĘGLICKA O KARIERACH
W Polsce jest dziś czas osób popularnych, które zarabiają na tym pieniądze. To chwilowe kariery i tani poklask, nie lubię tego.

KATARZYNA KARWECKA-WIELICKA O HIMALAJSKIM MASOCHIZMIE
W górach lubię się zmęczyć tak, że padam na twarz, aż do poczucia, że zaraz umrę.

ROBERT JANOWSKI O ŻONIE MONICE
Lubię trzymać ją za rękę, gdy oglądamy film na kanapie. Rodzinna stabilizacja mnie… zachwyca.

ANNA KALCZYŃSKA O POZNANIU MĘŻA MACIEJA
Zobaczyłam przed sobą wysokiego, ciemnookiego mężczyznę, który spłonął rumieńcem na mój widok.

eprasa.pl 6f24944d35

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Pod choinkę – zatyczki do uszu

Brytyjska psycholożka kliniczna Linda Blair alarmuje, że muzyka świąteczna może być szkodliwa dla zdrowia psychicznego. Jej zdaniem wszechobecne bożonarodzeniowe szlagiery przypominają wielu ludziom o ich codziennych problemach, a ponieważ sklepy coraz wcześniej rozpoczynają sezon świąteczny, wspomniane źródło stresu oddziałuje na nas coraz dłużej. Z czasem wysiłki, by „nie słyszeć tego, co się słyszy", stają się skrajnie wyczerpujące. Najgorzej mają pracownicy handlu, narażeni na ciągłe słuchanie tych samych piosenek, co skutkuje m.in. problemami z koncentracją.

Za zdrowie nauki!

Zespół dr Elizavety Sopiny z Uniwersytetu Południowej Danii zweryfikował prawdziwość popularnego przekonania, że ostukanie palcem puszki piwa, która podlegała wstrząsom, np. podczas transportu rowerem, pozwala zminimalizować utratę trunku po otwarciu. Badania na pokaźnej baterii puszek wykazały, że ostukiwanie nie powoduje istotnej statystycznie różnicy w masie utraconego napoju. Co ważne, piwo, które nie „wykipiało", nie zmarnowało się, bo podawano je uczonym i studentom razem z przekąskami. Założymy się, że kierowniczka badań nie ma problemów ze znalezieniem doktorantów.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Uwaga! Spożycie grozi bieganiem

W związku z tym, że już 13 mln pełnoletnich Brytyjczyków choruje na otyłość, Towarzystwo Królewskie na rzecz Zdrowia Publicznego (RSPH) zaapelowało, by na opakowaniach żywności pojawiły się informacje na temat ćwiczeń fizycznych, jakie trzeba wykonać, by spalić kalorie zawarte w danym produkcie. Zdaniem organizacji większość obywateli ma niewielką wiedzę na temat bilansu energetycznego. Pomysł, o ile zostanie zrealizowany, może przynieść efekty. Badania zespołu naukowców z Uniwersytetu Loughborough potwierdziły, że tego rodzaju informacje na etykietach skłaniają do ograniczania liczby spożywanych kalorii.

Coraz mniej pracy dla Homo sapiens

Południowokoreański mistrz go, niespełna 37-letni Lee Sedol, ogłosił rezygnację z profesjonalnego uprawiania tej gry. Wyjaśnił, że nie może dłużej być czołowym graczem, nawet gdyby był najlepszym z ludzi, gdyż sztuczna inteligencja jest już zbyt rozwinięta. Lee pozostaje jedynym człowiekiem, któremu udało się wygrać partię z programem AlphaGo. Jak tłumaczy, było to możliwe dzięki błędowi w oprogramowaniu, które „zgłupiało", gdy wykonał bardzo nietypowy ruch. Cały mecz zakończył się wynikiem 4:1 dla maszyny.

HR bez ludzkiej twarzy

Zaawansowane technologie podbijają także tzw. zarządzanie zasobami ludzkimi. Kalifor-

eprasa.pl 6f24944d35

Sztukę można tworzyć ze wszystkiego. Seria wykonanych z ziemniaków wizerunków znanych osób.

nijska firma technologiczna Talespin stworzyła „symulator zwalniania ludzi". Dzięki wirtualnej rzeczywistości menedżerowie mogą stanąć twarzą w twarz z cyfrowym pracownikiem, Barrym. Obserwując jego reakcje na wybrane ścieżki konwersacji, szefowie m.in. uczą się, jak unikać nerwowych sytuacji, a także oswajają z wręczaniem ludziom wymówienia. Barry'emu życzymy, żeby w końcu się zbuntował i założył własną firmę.

Barbarzyństwo? Po prostu Dziki Zachód

W ostatnich dniach całe Las Vegas i spora część mediów społecznościowych żyły sprawą gołębi w kowbojskich kapeluszach, zaobserwowanych na ulicach miasta. Ptakom nadano imiona: osobnik w czerwonym nakryciu głowy stał się powszechnie znany jako Cluck Norris, ten w różowym – Coolamity Jane. Podejrzenia, że kapelusze były trwale przyklejone do głów ptaków, zmobilizowały lokalnych działaczy na rzecz zwierząt do intensywnych poszukiwań. W końcu udało się złapać i uratować Clucka, jednak gdy zamykaliśmy tę rubrykę, los Jane pozostawał nieznany.

FOT. A-MEM, TOMJAC, SEKCJA GIMNASTYCZNA, CEN/@BULBAART/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 6f24944d35

Gabriela Hedjerci

jasinski & friends 7

Dominik Jasiński

Wystawa promuje prace polskich twórców wyrażających się poprzez malarstwo, grafikę i fotografię. „Gościmy zarówno twórców z dużym dorobkiem, jak i tych mniej znanych, ale równie utalentowanych", mówił kurator Dominik Jasiński. W wystawie biorą udział m.in.: Maria Bożycka, Marcin Dobas, Jakub Godziszewski, Bartosz Hadryś, Gabriela Hedjerci, Zuzanna Jankowska, Dominik Jasiński, Michał Lenny, Anna Malikowska, Sylwia Mużyło, Izabela Olszyna, Paweł Podlewski, Sylwester Stabryła, Joanna Szumska i Magdalena Woźniak.

Zuzanna Jankowska

Galeria Przy Teatrze
Teatr Narodowy, Warszawa, pl. Teatralny 3
do 31 grudnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f24944d35

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

KARTA PODARUNKOWA

NAJLEPSZYM PREZENTEM NA ŚWIĘTA!

JULIA MARCELL

29 lutego | Klub Stodoła | Warszawa

MAREK DYJAK

15 marca | Klub Stodoła | Warszawa

MARIA PESZEK

27 marca | Klub Stodoła | Warszawa

KARAŚ/ROGUCKI

8 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL

ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA (ul. Batorego 10, Warszawa)

KOMEDIA KRYMINALNA PEŁNA INTRYG, SUSPENSÓW I ŚLEPYCH ULICZEK

w roli głównej
Fabrice Luchini
(„Żona doskonała", „Subtelność")

TAJEMNICA
HENRIEGO PICKA

W KINACH OD 27 GRUDNIA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA